

HORROR

HARRY ADAM KNIGHT

WWH1

X

Fi NIOM WPRE SS

HARRY ADAM KNIGHT

TUNEL

Przełożyła
Hanna Najdychor

Phantom Press International Gdańsk 1991

Tytuł oryginału:
„WORM”

© COPYRIGHT 1987 BY HARRY ADAM KNIGHT

© Copyright for the Polish Edition
by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL,
Gdańsk 1991

Wydanie I

Printed in POLAND

ISBN 83-85276-02-5

1.

Przedstawiała tak szczególny widok, że kiedy weszła na oddział nagłych wypadków Szpitala Middlesex, pozostali pacjenci zapomnieli na chwilę o własnych problemach.

Pomimo przerażającego wychudzenia, wciąż jeszcze była piękna, o długich, jasnych włosach, niebieskich oczach, szerokich ponętnych ustach i skórze tak cienkiej, że prawie przezroczystej. Lekki bawełniany płaszcz i bluzka zwiślały z jej ramion, które przypominały druciany wieszak na ubrania, a dżinsy trzepotały wokół cienkich jak patyki nóg.

Kiedy chwiejnym krokiem szła w kierunku biurka siostry dyżurnej, spoczęły na niej wszystkie oczy. A gdy pochyliła się ku siostrze i zaczęła mówić, wszyscy na próżno wyteżali słuch, aby usłyszeć jakieś słowa.

Siostra Anne MacDonald, która w ciągu swego czterdziestoletniego życia dwadzieścia lat przepracowała jako pielęgniarka, rzadko bywała wstrząśnięta tym, co widziała w szpitalu. Lecz nawet ona nie mogła oprzeć się uczuciu przerażenia, kiedy spojrzała na stojącą przed nią kobietę. W jej wyglądzie było coś niemal niezemskiego. Wydawało się, że piękne oczy kobiety nie pasowały do wychudzonej twarzy, w której były osadzone.

Kobieta mówiła coś, lecz siostra MacDonald słyszała jedynie słaby szept.

— Przepraszam — powiedziała — ale nie słyszę, co pani mówi. Pochyliła się ku niej z uspokajającym — jak sądziła — uśmiechem. Siostra MacDonald rzadko uśmiechała się do kogokolwiek.

Kobieta chwyciła się za brzuch, wystający nad dżinsów. Potem wyszeptała ochrypłym głosem:

— Muszę widzieć się z lekarzem... mój brzuch... boli. Zachwiała się i zanim siostra MacDonald zdążyła

podnieść się z krzesła, runęła do przodu. Upadła na biurko, a potem ześliznęła się na podłogę.

Zrywając się z krzesła, siostra MacDonald nacisnęła przycisk wzywający pomocy. Podeszła do kobiety, leżącej na podłodze z podciągniętymi pod brzuch kolanami. Chora miała na wpół otwarte oczy, cicho jęczała. Siostra położyła rękę na jej czole. Było bardzo gorące — musiała mieć wysoką temperaturę, może nawet 40°C.

Nadeszło dwóch sanitariuszy i jeszcze jedna pielęgniarka. Siostra MacDonald poleciła im zabrać kobietę do sali numer trzy, a sama poszła po lekarza dyżurnego, doktora Singha. W sali numer pięć zszywał on twarz pijanego młodzieńca, którego w trakcie bójkę w barze trafiła rozbita butelka.

— Doktorze, nagły wypadek, sala numer trzy — powiedziała. — Wygląda na ostatnie stadium anoreksji. Ciężkie wychudzenie. Pacjentka skarży się na ostre dolegliwości brzuszne. Wysoka temperatura i słaby puls...

Doktor Singh, przystojny Hindus około trzydziestki, westchnął i szybko dokończył ostatni z szesnastu szwów, jakie założył na gburowatej twarzy młodzieńca. Potem w pośpiechu pobiegł do sali numer trzy.

Kiedy tam wszedł, kobieta była już rozebrana. Singh widział w swojej ojczyźnie wiele przypadków wygłodzenia, ale taki widok w środku Londynu wstrząsnął nim. Kobieta, która półprzytomna leżała na boku, wyglądała tak, jakby jej ciało stanowiły tylko kości. Wystające żebra, łopatki i miednica przerażająco i groteskowo kontrastowały z brzuchem, okrągłym i pełnym, który wyglądał na czwarty lub piąty miesiąc ciąży.

Młoda pielęgniarka z Jamajki, która ją rozebrała, rzuciła w kierunku Singha zaintrygowane spojrzenie.

— Jak pan myśli, doktorze, co jej jest?

Nic jeszcze nie wiedział, ale nie chcąc przyznać się do tego wobec młodszej pielęgniarki, powiedział od niechcenia:

— Zapalenie otrzewnej. Przynajmniej tak to wygląda.

Kobieta jęknęła, kiedy wyprostował jej nogi i odwrócił na plecy. Jęknęła znowu, gdy palcami badał jej brzuch. Mięśnie były bardzo napięte, twarde jak kamień. Pomyślał, że mimo wszystko miał rację, stawiając taką diagnozę.

Kiedy pielęgniarka mierzyła chorej temperaturę, on sprawdzał ciśnienie krwi. Było alarmująco niskie. Kobieta była najwyraźniej w stanie ostrego szoku, który dodatkowo wskazywał na zapalenie otrzewnej.

— Doktorze, temperatura 40,1°C — oznajmiła pielęgniarka.

W zamyśleniu pokiwał głową i ponownie zbadał brzuch kobiety. Mięśnie były tak napięte, że nie mógł wyczuć żadnych organów wewnętrznych. Zaczął podejrzewać, iż jama brzuszna została przez coś rozdęta — przez gaz albo płyn z przekłutego jelita. Albo przez krew. Musiało być tego dużo. Podjął szybką decyzję.

— Potrzebna natychmiastowa operacja — powiedział do pielęgniarki.

Kiedy z pośpiechem wybiegła z sali, poczuł się rozluźniony na myśl, że ta kobieta nie będzie już jego problemem.

Tej nocy dyżurnym chirurgiem gotowym na wezwanie był Richard Pryce-Jones. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po czterdziestce, o arystokratycznych rysach twarzy i pozornie ociężałym sposobie bycia. Wiedział, że kiedy zostanie konsultantem, co już wkrótce miało nastąpić, będzie jednym z dziesięciu najlepszych chirurgów w kraju. Ale tej nocy — patrząc na kobietę, leżącą na stole operacyjnym — wątpił, czy jego zdolności na coś się przydadzą. Kobieta była wy-

rażnie zbyt osłabiona, aby poddać się poważnej operacji. Ale nie było wyboru. Gdyby nie zdecydował się na operację i tak by umarła.

Miał także obawy co do studenta piątego roku medycyny, który stał obok. Obiecał temu młodemu, tyczkowiatemu człowiekowi o niefortunnych ambicjach zostania chirurgiem, że będzie mógł wykonać pierwsze nacięcie brzucha pacjentki. Lecz teraz nie był pewien, czy to dobry pomysł. Anormalne napięcie mięśni brzucha kobiety mogło spowodować komplikacje. Ale z drugiej strony, byłoby to dla chłopaka ciekawe doświadczenie...

Anestezjolog oznajmił, że pacjentka jest gotowa. Pryce-Jones westchnął i szybko podjął decyzję. Skinął na studenta.

— Dalej, Henderson — powiedział.

Nazywam się Helpmann, proszę pana — poprawił student rozdrażnionym głosem.

— Nieważne, jak się nazywasz. Zaczynaj! — powiedział szorstko Pryce-Jones.

Pielęgniarka podała studentowi skalpel. Ten spojrzął na brzuch pacjentki, wysterylizowany jodyną i obłożony sterylną tkaniną, która okrywała jej klatkę piersiową, łono i biodra.

— Zrób głębokie nacięcie — polecił studentowi Pryce-Jones. — Będziemy potrzebować dużego pola manewru.

Po krótkiej chwili wahania student pewnym ruchem naciął skórę od punktu leżącego siedem centymetrów powyżej pępka i pociągnął w dół.

— Spokojnie — powiedział Pryce-Jones. — Za głęboko. Nie chcesz chyba zagłębiać się w brzuch, zanim nie będziesz gotowy.

Student milcząco kiwnął głową. Pryce-Jones powiedział:

— A teraz palcami rozdziel mięśnie.

Zrobił to, ale z trudnością. Włókna mięśniowe były napięte jak struny fortepianu.

Dwa rozwieracze prostokątne — zwrócił się do instrumentariusza Pryce-Jones.

Za pomocą rozwieraczy zdołał bardziej rozdzielić mięśnie. W tym momencie otrzewna — cienka, przezroczysta błona, okrywająca jamę brzuszną — zaczęła wydostawać się przez powstały otwór.

— Nie podoba mi się to — mruknął, do nikogo w szczególności, Pryce-Jones. Potem powiedział do instrumentariuszki:

— Proszę podać obydwie pary kleszczy.

Za ich pomocą wypchnęli otrzewną z rozwartego nacięcia.

— Jama jest pełna krwi — zmartwił się student.

— Sączek proszę — rzucił z werwą lekarz. — I na wszelki wypadek następne trzy litry krwi grupy „0”.

Kiedy pielęgniarka wybiegła z sali operacyjnej, aby przynieść dodatkową krew, Pryce-Jones zapytał studenta:

— A jaka jest twoja diagnoza? Co powiesz o przyczynie krwawienia?

Student pokręcił głową.

— Ciężki uraz brzucha lub jelit, ale nie mam pojęcia, co mogło go spowodować. Nie ma zewnętrznych śladów zranienia.

— Nie najgorzej — powiedział z aprobatą Pryce-Jones. — Ja też muszę na tym poprzestać. Szkoda, że nie wiemy nic o historii choroby pacjentki.

Nie znano również jej tożsamości. Nie miała torebki, a w kieszeniach jej płaszcza nie było nic oprócz kilku monet. Tak więc, nie można było skontaktować się z jej lekarzem. Pryce-Jones podejrzewał, że wypisała się z jakiegoś szpitala w trakcie leczenia anoreksji.

— Może coś połknęła — zasugerował student. — Jakiś ostry przedmiot.

Pryce-Jones kiwnął głową. Próba samobójcza, dokonana przez pacjentkę w tak zaawansowanym stadium anoreksji, była bardzo prawdopodobna.

— W porządku — powiedział. — Wykonam cięcie w głąb otrzewnej. Ty tylko przytrzymaj to dla mnie kleszczami.

Naciął otrzewną skalpelem, potem przy pomocy nożyczek otworzył ją, tnąc wzdłuż całej długości nacięcia na skórze. Kiedy to zrobił, trysnęła krew. Mnóstwo krwi.

— Sączek — mruknął.

Pielęgniarka przyłożyła wylot sączka do nacięcia.

— Co z jej funkcjami życiowymi? — spytał technika, który wpatrywał się w monitory.

— Niedobrze — padła odpowiedź. — Uderzenia serca miarowe, ale ciśnienie krwi ciągle spada.

— Hmm — mruknął Pryce-Jones, patrząc ponuro na rozwarte nacięcie. Pomimo sączka jama brzuszna była wciąż zalana krwią. Powinni szybko odkryć źródło krwawienia. Zdecydował się zacząć od żołądka. Prawą ręką sięgnął w głąb jamy brzusznej i wyciągnął żołądek pacjentki — płaski, w kolorze różowawo-brązowym, śliski w dotyku. Zbadał go ostrożnie.

— Żadnego śladu krwawienia — oznajmił. — To muszą być jelita albo okrężnica.

— Włożył żołądek na swoje miejsce i zaczął macać wokół niego, chcąc znaleźć jelito cienkie.

I wtedy coś go ugryzło.

Poczuł, jak zęby zatapiają się głęboko w jego dłoń, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, przecinając mięśnie i ścięgna. Krzyknął i gwałtownym ruchem wyszarpnął dłoń z brzucha pacjentki. Ku swemu ogromnemu przerażeniu zobaczył coś, co wyglądało na głowę olbrzymiego robaka uczepionego jego ręki. Kiedy wycofywał się od stołu operacyjnego, z brzucha pacjentki wyłoniły się dalsze części robaka. To „coś”

miało około czterech centymetrów średnicy i było przezroczyste. W połowie długości można było zobaczyć ostatni, niestrawiony jeszcze posiłek z ludzkiej krwi.

Końcówka robaka wyłoniła się z wnętrzości kobiety ze wstrętnym chlupotem. Stwór miał co najmniej metr długości. Pryce-Jones począł bezładnie wymachiwać nim dookoła jak biczem, na próżno usiłując odczepić go od dłoni.

— Weźcie to, weźcie to ode mnie! — krzyczał, Jecz inni stali tylko, gapiąc się w oszołomieniu i zdumieniu szeroko wytrzeszczonymi oczami.

Pryce-Jones wciąż dziwacznie poruszał się po sali operacyjnej. Czuł teraz, jak zęby tego stwora przegryzają się przez kość śródreżca, prowadzącą od palca wskazującego. W tym momencie, mimo szoku i przerażenia, zdał sobie sprawę, że jego kariera chirurga jest skończona.

To instrumentariuszka była pierwszą osobą, która wróciła do rzeczywistości. Chwyciwszy skalpel, podbiegła do doktora i krzyknęła:

— Stój spokojnie! Musisz stać spokojnie!

Pryce-Jones przestał wymachiwać jak szalony, pozwalając pielęgniarce chwycić to „coś” blisko bulwiastej głowy. Wtedy zadała cios skalpelem. Przezroczysty płyn wytrysnął z głębi robaka, kiedy ten wił się w zasięgu jej ręki z ogromną siłą. Zadała drugi cios — tym razem w głowę. I jeszcze raz. Jego okrągła jama gębowa z zakrzywionymi zębami puściła nagle dłoń Pryce-Jonesa. Pielęgniarka, zdając sobie nagle sprawę, że trzyma wciąż jeszcze wijącego się stwora, rzuciła go na podłogę.

— O Boże — jęknął Pryce-Jones z czymś w rodzaju zdławionego szlochu. Trzymał w górze zranioną dłoń. Z szeregu dziur w rękawicy chirurgicznej lała się krew.

— O Boże — powiedział znowu i zaczął deptać robaka. Mimo wysiłków instrumentariuszki i technika, by go powstrzymać, deptał po nim tak długo, aż na podłodze nie pozostało nic oprócz mieszaniny śluzu i krwi.

I wtedy — przecinając dziwną ciszę, jaka zapadła — anestezjolog drżącym głosem oznajmił, że pacjentka nie żyje.

2.

„Dziwne miejsce jak na biuro prywatnego detektywa” — pomyślała Olivia Finch, idąc ostrożnie pośród worków ze śmieciami, które leżały porozrzucane na Hanway Street. Wydawało się, że ulica, a właściwie uliczka, wijąca się za rogiem Oxford Street i Tottenham Court Road, wypełniona była samymi tylko hinduskimi restauracjami i obskurnymi sklepami sprzedającymi płyty.

Jej zdziwienie jeszcze bardziej wzrosło, gdy dotarła pod numer, który jej podano. Zmarszczyła brwi i ponownie sprawdziła numer, jaki miała na kartce. Nie było żadnej pomyłki. To ten dom, ale nie było na nim żadnej tabliczki z informacją, że na pierwszym piętrze znajduje się biuro prywatnego detektywa. Zamiast tego, napis na drzwiach wejściowych głosił: „Sax Club”. Zastanawiała się przez chwilę, czy biura gdzieś nie przeniesiono. Jeśli tak, to ludzie, którzy prowadzą klub, mogą wiedzieć, gdzie się ono teraz mieści.

Trochę niechętnie weszła w wąski korytarz. Przeszły ją ochrypły śmiech, dochodzący skądś z dołu. Wtedy zauważyła wejście do innego klubu, odchodzące z korytarza. Nad drzwiami widniał napis „El Toledo”, a schody za nimi prowadziły do piwnicy. Poszła dalej, aż do końca korytarza i krętymi schodami zaczęła wspinać się na pierwsze piętro.

Zawahała się przez moment, stojąc przed zamkniętymi drzwiami u szczytu schodów. Słyszała szum męskich głosów, dobiegający ze środka. Nagle wydało jej się, że to miejsce mogło być czymś w rodzaju gniazda rozpusty. Czy „Sax Club” nie oznaczał w rzeczywistości: „Sex Club”?

Powiedziała sobie, że jest niemądra; głęboko wciągnęła powietrze i pchnęła drzwi. Znalazła się w małej, lecz przestronnej sali z chińskimi lampionami, zwisającymi z sufitu i białymi ścianami ozdobionymi smokami, szczyrzącymi zęby. Na lewo znajdował się bar. Siedziało przy nim trzech mężczyzn. Odwrócili się i spojrzeli na nią z nie ukrywaną ciekawością. Dwóch z nich, ubranych w garnitury, było w średnim wieku Trzeci — w dżinsach i modnej luźnej kurtce — miał jakieś dwadzieścia lat. Zza baru wyłoniła się Chinka. Mogła być w każdym wieku pomiędzy trzydziestką a pięćdziesiątką. Miała na sobie jaskrawoczerwone kimono.

Uśmiechnęła się do Olivii i powiedziała z nieskazitelnym akcentem osoby, która od niedawna jest w Chelsea.

— Czy mogę nani w czymś pomóc?

Olivia, czując się zakłopotana, odpowiedziała:

— Mam nadzieję, że tak. Szukam człowieka, który najwyraźniej był właścicielem tego lokalu przed panią. Niejaki pan Edward Causey. Powiedziano mi, że ma tutaj biuro.

Jeden z mężczyzn w średnim wieku zachichotał. Chinka zaśmiała się. Jej śmiech brzmiał jak brzęczenie dzwonka. Potem powiedziała:

— Przepraszam. Proszę wybaczyć moją nieuprzejmość, ale...

Zakryła dłonią usta, żeby powstrzymać kolejny wybuch śmiechu, a drugą ręką wskazała kąt sali.

— ...To jest pan Edward Causey i jego biuro.

Olivia odwróciła się. Ujrzała mężczyznę śpiącego na krześle. Wchodząc tu, nie zauważyła go. Jego nogi leżały na drugim krześle, a głowa na aparacie telefonicznym.

— To ma być pan Causey? — wykrzyknęła, nie mogąc ukryć w swym głosie rozczarowania.

— Tak, tak. To on — powiedział jeden z mężczyzn, siedzących przy barze. — Nasz własny Mike Hammer i Philip Marlowe w jednej osobie. Towarzyszył mu śmiech pozostałych mężczyzn.

— Obudzę go — powiedziała Chinka.

Olivia miała właśnie powiedzieć, żeby nie robiła sobie kłopotu, ale było już za późno. Chinka szarpała śpiącego mężczyznę za ramię. Obawy Olivii wzrosły, kiedy mężczyzna niechętnie wracał do rzeczywistości. Zdecydowanie nie odpowiadał on jej oczekiwaniom. Wyobrażała sobie jakiegoś schludnego, niewysokiego mężczyznę w typie biznesmena, który byłby uosobieniem energii i sprawności w działaniu. Dokładnie taki właśnie był jedyny prywatny detektyw, jakiego wcześniej spotkała. Lecz Edwarda Causeya nie można było, mimo wysiłków wyobraźni, uznać za schludnego, niewysokiego mężczyznę w typie biznesmena.

Causey był uosobieniem niechlujstwa. Jego garnitur, upstrzony popiołem z papierosów, wyglądał jakby nie był czyszczony od dnia zakupu. A to musiało mieć z pewnością miejsce dawno temu. Twarz Causeya wyglądała jak zmięta. Olivia doszła do wniosku, że kiedyś był to całkiem przystojny mężczyzna, z rodzaju tych małomównych i poważnych, ale alkohol i Bóg jeden raczy wiedzieć, co jeszcze, przyczynił się do jego przedwczesnie zniszczonej powierzchowności. Domyślała się, że miał dopiero koło czterdziestki, ale wyglądał znacznie starzej.

— Ed., masz gościa — powiedziała Chinka, wciąż nim potrząsając.

— Ej, lepiej się obudź, Ed! — zawołał jeden z mężczyzn, siedzących przy barze. — To może być klientka.

Olivia poczuła, że się czerwieni. Narastało w niej uczucie zakłopotania. Cała ta sprawa była absurdalną pomyłką. Będzie musiała wydostać się z tego miejsca jak najszybciej...

Causey, już rozbudzony, próbował patrzeć przytomnie. Pierwsze co zrobił, to sięgnął po szklanekę z nie dokończonym drinkiem, stojącą obok na stole. Wyglądało to na „szkocką”. Zauważyła drżenie jego ręki. Pociągnął spory łyk, wzdrygnął się i nagle wydał się już świadomy jej obecności.

Causey gapił się ze zdziwieniem na stojącą przed nim kobietę. Przystojna blondynka około trzydziestki, ubrana w garnitur o męskim kroju, uzupełniony krawatem. Garnitur, tak jak i skórzana torba, którą miała na ramieniu, mówiły, że ich właścicielka nie należy do osób biednych.

— Kto to jest? — mruknął do Cathy, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu zmiętej paczki „Silk Cut”.

Cathy spojrzała pytająco na kobietę:

— Panna...

— Finch. Olivia Finch.

Causey zauważył, że mówi z lekkim amerykańskim akcentem.

— Nazywam się Cathy Li. Napije się pani czegoś, panno Finch? Na mój rachunek.

— Nie, nie — szybko odpowiedziała kobieta, a potem dodała, jakby po namyśle: — Właściwie tak... tak, dziękuję. Poproszę wytrawne Martini.

Kiedy Cathy poszła do baru, Causey poczęstował Olivie papierosem.

— Nie palę — przecząco pokręciła głową.

— Brawo. Proszę usiąść.

Usiadła z widoczną niechęcią. Uśmiechnął się do niej, próbując nie zwracać uwagi na pulsowanie w le-

wej części głowy i fale mdłości, jakie wywoływały w nim pierwsze pociągnięcia papierosa.

— Chciała się pani ze mną widzieć? O co chodzi?

— Potrzebuję prywatnego detektywa i... hm... polecono mi pana.

— Mnie? Do cholery, kto mnie polecił? — zapytał ze szczerym zdziwieniem.

— Mój radca prawny, Harold Stine, ze spółki „Hayward and Stine”.

— O rany! Stary, dobry Harry.

Minęły ponad trzy lata od czasu, kiedy robił coś dla tej spółki. Jego sytuacja wyglądała wtedy inaczej. Zupełnie inaczej.

Cathy Li wróciła z drinkiem dla OHvii. Causey poprosił o następnego.

Cathy zmarszczyła brwi:

— Myślisz, że powinieneś?

— Ależ oczywiście, że tak — powiedział z rozdrażnieniem. — Nie przelewaj na mnie całej swojej kwoczej troski.

Kiedy wróciła do baru, wydając po drodze pomruki niezadowolenia, kobieta powiedziała do Causeya:

— Niech pan posłucha. Może to wcale nie jest dobry pomysł. Myślę, że powinnam już pójść.

Wypiła duży łyk Martini.

Szybko odpowiedział:

— Ejże, ten pomysł wcale nie jest taki zły. Tylko przytapała mnie pani na moim wolnym dniu.

„O Boże, ale ze mnie kłamca” — pomyślał.

— To wcale nie o to chodzi — powiedziała, czerwieniąc się lekko.

Wyszczrzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu, ignorując ból, jaki to powodowało.

— A zatem niech mi pani powie, do czego potrzebuje prywatnego detektywa i zjeździemy z tego tematu. W porządku?

Zawahała się, a potem skinęła głową. Bez entuzjazmu.

— Nie ma jakiegoś spokojniejszego miejsca, gdzie moglibyśmy porozmawiać? — spytała.

— Przykro mi, ale nie mam biura. Oszczędzam na takich wydatkach.

— Aha — spojrzała na bar, gdzie trzech mężczyzn z wyraźnym rozbawieniem nadal obserwowało jej spotkanie z Causeyem.

— Niech się pani nimi nie przejmuj — powiedział Causey. — Są zbyt zalani, żeby zwracać na nich uwa-

Westchnęła i otworzyła torbę. Wyjęła kawałek złożonej gazety i podała mu.

— Czy pamięta pan tę historię? — spytała.

Zorientował się, że trzyma pierwszą stronę londyńskiej gazety „Standard” sprzed dwóch tygodni. Główny artykuł nosił tytuł „Horror na sali operacyjnej” i opisywał „dziwną śmierć tajemniczej kobiety w szpitalu Middlesex, we wczesnych godzinach porannych”. Szybko przebiegł wzrokiem resztę artykułu i pokiwał głową.

— Tak, oczywiście, że to pamiętam. Któż mógłby zapomnieć? Lekarz zaatakowany przez jakiegoś olbrzymiego robaka, którego znajduje w brzuchu pacjentki. Niezła historia dla brukowców.

Olivia wzdrygnęła się. Natychmiast zrozumiał. „Ach — pomyślał — jest w to zamieszana. Powinno być się domyśleć.”

— Ee... pani krewna? — spytał.

— Siostra.

— Rozumiem.

Na szczęście w tym momencie wróciła Cathy z drinkiem dla niego. Z wdzięcznością sięgnął po „szkoczkę”.

— Jeszcze jedno Martini dla pani? — zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową. Kiedy Cathy odeszła, powiedział:

— A zatem proszę o informacje, panno Finch. Jakie jest tło tej sprawy? Jak to się stało, że pani siostra skończyła tak nieprzyjemnie?

— Chcę, żeby właśnie pan się tego dowiedział.

— Rozumiem — powiedział znowu.

Wyciągnęła coś jeszcze ze swojej torby. Był to zwiitek kartek zapisanych na maszynie.

— Protokół śledztwa — wyjaśniła cierpko. — Zapadł werdykt: sprawca nieznanym, śmierć wskutek niešťczęśliwego wypadku.

— Nie wygląda pani na zadowolony z tego werdyktu.

— Bo nie jestem. To była farsa. Czułam wstręt.

— Jak wyjaśniono obecność robaka? W jaki sposób pani siostra została nim zarażona?

— Nikt nie potrafił tego powiedzieć. Wysunięto przypuszczenie, że robak był swego rodzaju mutantem tęgoryjca; lecz ten gatunek rozwija się wyłącznie w ciepłych krajach. A o ile wiem, moja siostra od kilku lat nie wyjeżdżała za granicę.

Uniósł brwi: — O ile pani wie?

— Przez ostatnie trzy lata mieszkałam w Ameryce. W Nowym Jorku — wyjaśniła.

Pokiwała głową:

— W porządku. A co z innymi krewnymi, tu na miejscu? Na przykład rodzice. Czy nie wiedzieliby czegoś o niej?

— Obydwoje rodzice nie żyją, a innych bliskich krewnych nie mamy.

— Męža też nie miała?

— Nie. Żadnego stałego przyjaciela. Laura lubiała mieć wokół siebie większe grono adoratorów.

— Ma pani może nazwisko kóregoś z tych... niešťatych przyjaciół?

Pokręciła przecząco głową.

— Z czego żyła pani siostra?

— Była modelką.

— Rozumiem — powiedział i pociągnął łyk „szkockiej”.

— Co pan ma na myśli? — zapytała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Jej oczy zwięziły się z gniewu, a obydwie policzki zrobiły się czerwone. Doszedł do wniosku, że do twarzy jej z tym. Powiedział niewinnym głosem:

— Nic, zupełnie nic, panno Finch. Kiedy myślę, rzucam wiele nic nie znaczących komentarzy. To taki mój nawyk.

— Uderzyła mnie barwa pańskiego głosu.

— Po prostu za dużo papierosów. Proszę posłuchać, zapewniam panią, że nie wygłosiłem żadnego sądu moralnego. Cokolwiek odkryła pani w moim głosie, to stało się tak tylko dzięki pani wyobraźni.

Spuściła wzrok.

— Przepraszam. Wszystko przez to, że mam już dosyć ludzi, którzy używają słowa „modelka” jako synonimu... — nie dokończyła.

Współczująco kiwnął głową.

— Pani też jest modelką?

— Skąd...? — znowu popatrzyła na niego hardo.

— Barwa pani głosu — powiedział i uśmiechnął się.

Nie odwzajemniła jego uśmiechu.

— Tylko częściowo pan odgadł. Byłam modelką. I w przeciwieństwie do Laury, nie bardzo mi się powiodło. Byłam za niska i nie miałam odpowiedniej twarzy.

— Bardzo ładna twarz — powiedział.

Zignorowała ten komplement.

— Przerzuciłam się na projektowanie mody i okazało się, że jestem znacznie lepszą projektantką niż modelką. Trzy lata temu jeden z amerykańskich kontrahentów zaproponował mi pracę w Nowym Jorku.

- Utrzymywała pani kontakt z siostrą?
- O tyle o ile. Laura nie lubiła odpisywać na listy. Zwykle pisałam do niej raz na miesiąc i w zamian dostawałam kartkę. Czasem dzwoniła.
- Kiedy ostatnio miała z nią pani jakiś kontakt?
- Około półtora miesiąca temu. Sądząc po głosie była załamana. Powiedziała mi, że ma jakieś problemy z brzuchem, ale jej specjalista stwierdził, iż nie ma powodu do zmartwienia.
- Czy powiedziała pani dokładnie, jakie to problemy?
- Nie.
- A pani nie starała się wrócić do tego tematu w kolejnej rozmowie? Sprawdzić, upewnić się, że wszystko jest w porządku?
- Opuściła wzrok na swoje dłonie, ciasno splecione na brzuchu. Potrząsnęła głową.
- To był okres, kiedy jestem najbardziej zajęta w ciągu całego roku. Miałam tyle spraw na głowie. Wiem, że to nie jest żadne usprawiedliwienie, ale...
- Proszę się tym teraz nie martwić — przerwał jej. — Ten specjalista, o którym wspominała przez telefon — nie domyśla się pani, kto to może być?
- Tak. Doktor Shayaz. Abdul Shayaz. Egipcjanin. Dowiedziałam się, że prowadzi bardzo drogą klinikę na Highgate. Widziałam go w czasie śledztwa — skrzywiła się. — Nie wierzę mu.
- Ponieważ jest Egipcjaninem?
- Niech pan nie będzie niemądry — powiedziała ostro. — Nie wierzę mu, ponieważ to najwyraźniej kiepski lekarz. Leczył Laurę na anoreksję. Śmieszne, że nie dało mu to do myślenia, skąd taka choroba u mojej siostry.
- Skąd ta pewność? Modelki zawsze martwią się o swoją wagę, a to może łatwo przerodzić się w obsesję. Znam kilka modelek, które cierpią na anoreksję.

Stanowczo potrząsnęła głową.

— Ale nie Laura. Ona miała szczęście. Przy swojej przemianie materii mogła jeść za dwóch i nie przybierała na wadze ani kilograma.

— Ile miała lat, kiedy...?

— Dwadzieścia pięć. Za dwa miesiące miała obchodzić dwudzieste szóste urodziny.

— Tak — powiedział powoli. — Przemiana materii może się w tym wieku zmienić. Wiem, jaka krótka jest kariera modelek. Może problem z wagą pojawił się u pani siostry niedawno. Powiedziała pani, że nie widziałyście się od trzech lat.

— Nie, to niemożliwe — powiedziała, znowu potrząsając głową. — A jeśli nawet, to Laura nie należała do takich osób, które mogłyby zachorować na anoreksję. Nigdy nie miała bzika na żadnym punkcie. Miała to wszystko gdzieś.

Pomyślał przez chwilę.

— A wiec twierdzi pani, że ten specjalista postawił pani siostrze błędną diagnozę?

— Do licha, myślę, że to jest oczywiste. Co to za lekarz, który leczy pacjentkę i nie widzi, że zjada ją jakiś olbrzymi pasożyt?

Causey potarł prawą skroń. Wykańczał go wysiłek, jaki wkładał w to, by wyglądać na osobę żywo zainteresowaną i inteligentną. Pękała mu głowa, czuł skręt kiszek i pieczenie w gardle. Jeśli ten wywiad miałby potrwać dłużej, to rozpadłby się przed nią na kawałki. A na to nie mógł sobie pozwolić. Potrzebował pieniędzy. Boże, jak strasznie ich potrzebował.

— Czy w czasie dochodzenia nie wyniknął ten problem? — spytał.

Wskazała na zapiski:

— Tak. To wszystko jest tu w środku. Patolog, który przeprowadzał sekcję zwłok był zdziwiony, że na podstawie badań robionych w klinice, doktor Shayaz

nie dostrzegł, że Laura cierpiała na coś innego niż anoreksja. Sędzia śledczy przesłuchiwał Shayaza w tej sprawie. Ten twierdził, że symptomy, występujące u Laury pasowały do tych, jakie występują zazwyczaj u osób cierpiących na anoreksję. Powiedział, że trudno od niego wymagać, aby choć trochę podejrzewał, iż młoda biała Angielka z zamożnej klasy średniej może kryć w sobie olbrzymiego pasożyta nieznanego dotąd medycynie.

— Ma rację — powiedział Causey.

Olivia prychnęła pogardliwie.

— To nie usprawiedliwia jego niekompetencji.

— Czy były jakieś domysły na temat miejsca, gdzie mogła to złapać?

— Nie. Były pewne niejasne sugestie, że w ciągu ostatnich kilku lat musiała odwiedzać Afrykę lub Indie, ale nie można było tego dowieść. Jej paszport był nie używany od czasu wycieczki do Francji, dwa lata temu.

— A co z samym pasożytem? Czy ktokolwiek potrafił wyjaśnić, dlaczego to świństwo było tak cholernie duże?

— W śledztwie uczestniczył profesor z Londyńskiego Instytutu Medycyny Tropikalnej — jeszcze raz wskazała na protokół śledztwa. — Proszę przeczytać. Z grubsza powiedział on, że struktura komórkowa zbliżona jest do tej, jaką posiada tęgoryjec, ale nigdy jeszcze nie słyszał o okazie, który osiągnąłby takie rozmiary. Jego zdaniem jest to pewien rodzaj mutantu. Pojedynczy przypadek.

— Mam nadzieję — mruknął Causey.

Zgromiła go spojrzeniem.

— A więc, panie Causey? Interesuje to pana? Zajmie się pan tą sprawą?

Westchnął. Wyglądało to na kawał ciężkiej roboty. Pośród innych uderzeń, słyszał w głowie brzęk ostrzegawczych dzwoneczków, ale nie miał wyboru.

Tak, wezmę to. Biorę 50 funtów za dzień plus koszty.

— Zgoda. Ale ostrzegam, panie Causey. Oczekuję wyników. Codziennie musi pan do mnie dzwonić i składać sprawozdanie z postępów w tej sprawie.

— Oczywiście — powiedział bez entuzjazmu.

Wyjęła z torby tekturową teczkę.

— To są wszystkie informacje, jakie zdołałam zebrać o Laurze. Zdjęcia, nazwy agencji, dla których pracowała itp. Będę w jej mieszkaniu — telefon i adres są w papierach. Tam może się pan ze mną kontaktować.

— W porządku — powiedział biorąc teczkę.

Wstała, przygotowując się do odejścia. Powiedział szybko:

— Aha, jeszcze jedna sprawa, panno Finch. Potrzebna mi jest zaliczka.

Szybko przeliczył i dodał:

— Za pięć dni z góry.

Zawahała się i znowu usiadła.

— Dobrze. Wypiszę panu czek.

Z bolesnym uśmiechem powiedział:

— Jeśli to pani nie przeszkadza, wołałbym gotówkę.

Tak jak się tego spodziewał, miała przy sobie gotówkę. Wręczając mu ponad 250 funtów, powiedziała ponurym głosem:

— Mam szczerą nadzieję, że wynajmując pana, panie Causey, nie popełniam błędu.

— Zapewniam panią, że nie, panno Finch — odrzekł z pewnością, której wcale nie miał. I jednocześnie poczuł wyraźnie, że to właśnie on popełnia błąd.

Gdy tylko wyszła, podbiegł do baru.

— Szybko Cathy, podwójna „szkocka” zanim zabiorę się za to.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że ona naprawdę cię wynajęła? — powiedział ze śmiechem najmłodszy z

trzech mężczyzn. Był animatorem filmów rysunkowych, nazywał się Dong. Causey wyrwał szklankę z rąk Cathy, zanim jeszcze zdążyła ją postawić na ladzie. Jednym haustem wychylił jej zawartość i wzdrygnął się.

— Ależ tak — powiedział w końcu. — Wynajęła mnie.

— Zwariowała.

— Dziękuję za wsparcie. Wielkie dzięki.

— No dobra, powiedz lepiej, o co tu chodzi — powiedział jeden z mężczyzn nazwiskiem Ron Baxter. Był podoficerem śledczym w Wydziale Spraw Kryminalnych w dzielnicy Holborn.

— Prosta robótka. Muszę się tylko dowiedzieć, jak doszło do tego, że jej siostra została zjedzona od wewnątrz przez krwiożerczego robaka, który zdaniem naukowców nie istnieje. Są jakieś pomysły, jak mam się do tego zabrać?

3.

Ed Causey był w dziwnie dobrym nastroju, kiedy w kilka godzin później dotarł do swego mieszkania na Old Compton Street. Spłacił kilka najpilniejszych długów, a w kieszeni miał wciąż ponad 50 funtów. Co więcej, alkohol wypity od czasu spotkania z Olivia Finch rozwiął do reszty opory, jakie miał wobec pracy, której się podjął.

Wąską klatką schodową wspiął się niepewnym krokiem do swojego mieszkania na ostatnim piętrze. Zauważył po drodze, że drzwi do mieszkania Glorii są zamknięte, a przez szpary nie widać światła. Najwyraźniej nie pracowała tej nocy.

Jak zwykle musiał się namęczyć, zanim udało mu się otworzyć swoje mieszkanie. Ciężko dyszał. Chwilę jeszcze potwał nim dostał się do środka. Mimo cią-

głych skarg, jakie kierował do gospodarzy domu, na piętrze wciąż nie było światła. Miał pewne problemy z trafieniem do dziurki od klucza.

Zapalił światło i ciężko zwałił się na nie zasłane łóżko, które zajmowało większą część niewielkiego pokoju. Jedne z drzwi, znajdujących się w pokoju prowadziły do maleńkiej kuchni. Drugie — do jeszcze mniejszej łazienki.

Po krótkiej chwili usiadł i włączył przenośny telewizor, stojący przy łóżku. Na żadnym z kanałów nie było obrazu. Tylko śnieg. Spojrzał na zegarek. Była prawie druga po północy.

— Cholera — mruknął. Potem podniósł i otworzył teczkę, którą dała mu Olivia. Próbował przeczytać protokół śledztwa, lecz nie mógł skupić wzroku na tekście. Zdecydował, że może z tym poczekać do rana. Położył się znowu i tak jak zawsze zasnął przy zapalonych światłach.

James Wingate zatoczył się na regały, na których wystawione były zbiory szkła. Kilka cennych sztuk spadło na podłogę i roztrzaskało się. Wingate nawet tego nie zauważył. Piekący ból żołądka pochłaniał całą jego uwagę. W pozycji półleżącej, chwytając się za rozdęty brzuch, wtoczył się do przestronnej łazienki. Przed klozetem upadł na kolana i starał się wymiotować. Udało mu się wyrzucić z siebie jedynie brązowy płyn; nic o stałej konsystencji. Trudno się dziwić, skoro od wielu dni nic nie jadł.

Wydawało mu się, że coś przesunęło się w jego żołądku. Ból ustąpił. Była to taka ulga, że chciało mu się krzyżeć. Chwytał mocno brzeg umywalki i podniósł się. Pochylając się nad umywalką, wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Z trudem poznawał twarz, która na niego patrzyła. Była to wynędzniała twarz

wygłodzonej ofiary. Tylko w ciągu miesiąca schudł aż 25 kilogramów i w tej chwili ważył zaledwie 41 kilogramów. Na początku myślał, że złapał AIDS, ale lekarz zapewnił go, że nie. Problem w tym, że jego lekarz nie potrafił powiedzieć, co mu naprawdę dolega.

Ból gwałtownie powrócił, ze zdwojoną siłą.

— O Boże — jęknął, upadając znowu przed klozetem. Jeszcze raz spróbował zwymiotować. Jego ciałem targały konwulsje.

Poczuł, jak coś masywnego zaczyna przesuwać się z żołądka w kierunku przełyku. Dotarło do podstawy gardła i zatrzymało się. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie może oddychać, ogarnęła go panika. Zaczął się dusić.

I wtedy ostatni, konwulsyjny skurcz mięśni wypchnął do ust to, co zalegało w jego przełyku. Wingate patrzył w osłupieniu, jak coś, przypominającego półprzezroczystą rurkę, zostało wyrzucone z jego ust do klozetu. Przemknęło mu przez głowę, że wypływa własne wnętrzności. Dalsze części tej rurki przedostawały się do jego gardła i wyrzucane były przez usta. A potem — ku jego olbrzymiej uldze — nie było już nic więcej i mógł znowu oddychać.

Lecz zaraz doznał następnego wstrząsu. Zobaczył, że „to” jest ŻYWE. Powoli, wijąc się i skręcając, poruszało się wkoło. Jeden koniec unosił się znad wody. Zobaczył, że była to głowa. Otwór gębowy wraz z trzema zębami lub wargami rozwierał się powoli...

Wingate wrzasnął ochrypłym głosem i odruchowo sięgnął po spłuczkę. Mocno pociągnął. Za mocno. Zbiornik nie chciał się opróżnić. Spróbował raz jeszcze. Muszla wypełniła się rwącym strumieniem wody, ale to „coś” pozostało na swoim miejscu. Potem powoli, niechętnie, zaczęło znikać, cofając się do rury wygiętej w literę U. Kiedy zupełnie zniknęło, Wingate zatrzasnął pokrywę muszli i niepewnie stanął na nogach.

Próbował wydostać się z łazienki, ale doznał zawrotu głowy i upadł na zimne kafelki, którymi wyłożona była podłoga. Stracił przytomność.

Ed Causey obudził się z tego rodzaju kacem, który wymuszał na nim obietnicę, że już nigdy więcej nie będzie pić. Taki stan trwał zwykle do pierwszego porannego kieliszka.

Po krótkim zanurzeniu głowy pod prysznicem, zrobił sobie filiżankę kawy z mocnym zastrzykiem brandy i poszedł z powrotem do łóżka. Razem z kacem powróciły także jego obawy związane z pracą, której się podjął. Zadanie wydawało się niewykonalne, a mimo tego Olivia Finch robiła na nim wrażenie kobiety, która oczekuje wyników. Jeśli ich nie zobaczy, to pewnie naśle na niego starego dobrego Harrego, ze spółki „Hayward and Stine”, żeby odzyskać swoje pieniądze.

Zapalił papierosa i przez dwadzieścia sekund kaszlał bez przerwy, potem otworzył teczkę, którą dała mu panna Finch. Przerzucał jej zawartość, aż doszedł do zdjęć Laury, o których wspominała jej siostra. Trzy błyszczące zdjęcia formatu 20 x 25 centymetrów, najwyraźniej dzieło zawodowca, stanowiły część prospektu jej agencji.

Przyjrzał się im dokładnie. Dwa z nich przedstawiały całą sylwetkę, jedno było zbliżeniem. Laura Finch, tak jak jej siostra, była pociągającą blondynką, ale znacznie bardziej atrakcyjną.

Niechętnie przeniósł swą uwagę na protokół śledztwa. Przeczytał tekst dwukrotnie. Za pierwszym razem przerzucając pobieżnie kartki, za drugim już wolniej. To była kupa bzdur. Eksperci, mądrzący się w swym specyficznym żargonie, a pomiędzy wierszami przyznający, że nie mają zielonego pojęcia, jak ten cholernie duży pasożyt znalazł się w żołądku Laury Finch.

Co do zeznania doktora Shayaza, zgadzał się z Oli-

via. Wyglądało bardzo podejrzanie i był zdziwiony, że sędzia śledczy nie zajął wobec niego ostrzejszego stanowiska. Wizyta u doktora Shayaza była zdecydowanie niezbędna.

Causey westchnął i podrapał się między nogami. Poczul, że wszystko go swędzi i czuje się źle. Ogromnie przygnębiła go myśl, że spędzi dzień na nogach. Miałby znacznie większą ochotę poleżeć sobie aż do otwarcia knajp i przejść się kawałek do „Coach and Horses” na kilka mocnych drinków i jakąś przekąskę. Zakładając oczywiście, że właściciel, Norman Balon, nie miałby znowu czegoś przeciwko temu.

Ponownie westchnął i zmusił się do wstania. Rozebrał się, by wziąć szybki prysznic. Później, gdy już zgolił pięciodniowy zarost, zdziwił się, znajdując jakąś czystą bieliznę i wyprasowaną, nową koszulę. Przez chwilę zastanawiał się, skąd wzięła się ta koszula, gdy przypomniał sobie, że to prezent urodzinowy od jego córki, Mickey. Urodziny miał ponad dwa miesiące temu.

Kiedy wyszedł z mieszkania, wcale nie poczuł się lepiej, ale przynajmniej był czysty. W każdym razie na zewnątrz. Była 10.30. Przeszedł przez ulicę do baru „Three Greyhounds” na rogu Greek Street. Zapukał do drzwi. Usłyszał, że ktoś odkurza bar. Mógł to być Derek, właściciel, lub jego żona, Maria.

To Derek otworzył drzwi, trzymając w ręce odkurzacz. Kiedy rozpoznał gościa, uniósł brwi.

— Cholera. A więc istnieje jednak życie po śmierci!

Causey spodziewał się tego. Przepchnął się obok Derka i wszedł do ciemnego baru.

— Mam do załatwienia kilka pilnych telefonów. Nie mam czasu wysłuchiwać z góry znanych obelg.

Lecz Derek nie zamierzał zrezygnować tak łatwo.

— Wyglądasz tak, jakby odwieździł cię facet z zakładu pogrzebowego, ze starym pędzlem i maszynką do strzyżenia.

— Odczep się. Jestem w pracy.

Causey zaczął przeglądać jedną z książek telefonicznych, które leżały obok telefonu.

— Ty? W pracy? Chyba nie chcesz powiedzieć, że przespałem Sąd Ostateczny?

— Kiedyś zawsze miałem pracę, wiesz o tym — powiedziała Causey.

— Tak, ale wtedy wokół były jeszcze dinozaury. Chcesz się czegoś napić?

Causey znalazł numer, którego szukał.

— Już ci mówiłem. Jestem w pracy. A kiedy pracuję, staję się profesjonalistą. Dziękuję, poproszę podwójną.

Zaczął wykręcać numer.

— Dzięki Bogu — powiedział Derek — bo już zaczynałem się o ciebie martwić.

Przed 11.30 Causeya wprowadzono do biura profesora Johna Helpmanna z Londyńskiego Instytutu Medycyny Tropikalnej. Helpmann był wysokim, kościstym mężczyzną około pięćdziesiątki. Zaczynał łysieć, a po obydwu stronach głowy miał kępkę siwiejących włosów. Ubrany był na brązowo, z wyjątkiem jaskrawoczerwonej muszki. Miał wystającą grdykę, która poruszała się niespokojnie, gdy mówił.

— Jak już panu powiedziałem przez telefon, wątpię, czy będę mógł w czymkolwiek pomóc, panie ee... — wskazał ręką krzesło.

— Causey — powiedział detektyw siadając.

— Panie Causey — powtórzył powoli Helpmann, jakby delektując się nazwiskiem. — W każdym razie rozumiem, że przeczytał pan już protokół śledztwa.

— Przyszło mi właśnie do głowy, że w mniej oficjalnych okolicznościach mógłby mi pan powiedzieć, jaka jest pana osobista teoria, dotycząca tego, co stało się z Laurą Finch. Oczywiście zostanie to między nami.

Helpmann w zamyśleniu zmarszczył czoło.

— Szczerze mówiąc, panie ee... Causey, nie mam do powiedzenia nic więcej oprócz tego, co już powiedziałem w czasie śledztwa. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że ta nieszczęsna kobieta została zarażona przez to stworzenie.

— W jaki sposób zazwyczaj dochodzi do zarażenia pasożytniczymi robakami? Ma na myśli pospolite robaki.

— Otóż w tym kraju do najbardziej pospolitych robaków atakujących jelita należą *Ascaris* i *Enterobius*, powszechnie znane jako glista dżdżownicowata i owsik. Zazwyczaj narażone są na nie dzieci. W przypadku glisty, przenoszone są przez kał. Jeśli chodzi o owsiki, to składają one jajeczka wokół odbytu. Wskutek tego skóra swędzi, dziecko drapie się i na palcach przenosi jajeczka do ust.

Causey skrzywił się.

— Z protokołu wynika, iż powiedział pan, że robak, jaki zaatakował pannę Finch przypominał bardzo tęgoryjca.

Helpmann skinął twierdząco:

— *Ancylostoma duodenale*, powszechnie znana jako tęgoryjec. Jedyne co miałem, by dokonać identyfikacji, to małe próbki tkanki. Jak pan zapewne wie, niewiele zostało z tego okazu. Niemniej jednak wydaje się, że jego komórki przypominają te, jakie posiada tęgoryjec.

— A ten gatunek nie jest w naszym kraju rozpowszechniony?

— Nie. Z powodu sposobu, w jaki zaraża swojej ofiary, jest on lepiej przystosowany do gorącego klimatu.

— A w jaki sposób następuje zarażenie? — zapytał Causey, próbując powstrzymać się od gapienia na podskakującą grdykę Helpmanna.

— Jajeczka opuszczają organizm żywiciela wraz z kałem. Następnie zamieniają się w larwy, które żywią się bakteriami, znajdującymi się w glebie i torują sobie drogę poprzez stopy swoich ofiar.

— Co takiego?

— Tak, to prawda. Przenikają przez skórę na stopach. To właśnie z tego powodu rozwijają się bujnie w gorącym klimacie, gdzie ludzie zwykle chodzą boso.

— Zachwycające. I co dalej?

— Przedostają się do tętnicy lub żyły i wnikają do układu krążenia żywiciela. Przechodzą przez serce, płuca i dalej w górę do przełyku. W procesie przełykania dostają się do żołądka. Ich ostatecznym celem jest jeli- to cienkie, gdzie rozwijają się aż do osiągnięcia postaci dojrzałej. Składają jajeczka, i w ten sposób cały cykl zaczyna się od początku.

— Sprytne, małe ścierwa — powiedział Causey z odrazą. — Ale nie wyjaśnia to, w jaki sposób Laura Finch nabawiła się tego nieproszonego gościa, skoro nie opuszczała kraju.

— Tak zrozumiałem.

Causey masował prawą skroń, aby złagodzić pulso- wanie, które się tam zaczęło.

— Czy mogła zostać zarażona dawno temu? Na przykład kiedy była dzieckiem? To mogłoby wyjaśniać, dlaczego to „coś” urosło do takich rozmiarów.

Helpmann pokręcił głową.

— Dorosła postać tęgoryjca nie osiąga nigdy więk- szych rozmiarów niż 10–12 centymetrów, niezależnie od tego jak długo żyje. Samica glisty dżdżownicowatej może osiągnąć długość 25 centymetrów. Ale tęgory- jec... Nie. zdecydowanie nie.

— Z wyjątkiem tego, który rozwinął się u Laury Finch. Miał ponad 90 centymetrów.

Tak stwierdzono, ale... — zawahał się.

— Ale co?

Helpmann zacisnął usta, a potem powiedział:

— Cóż, nie chciałbym obmawiać tego nieszczonego chirurga, ale możliwe, że w tym całym zamieszaniu wyolbrzymiono rozmiary tego stworzenia.

— Ale wszyscy obecni na sali operacyjnej mówili to samo — wyglądał na ponad 90 centymetrów.

— No tak. Ale czy mogli mówić inaczej? — powiedział z lekkim uśmiechem. — Tak jak już panu powiedziałem, wszystko co dostałem do badania, to tylko j małe próbki tkanki. Nie dają one wyobrażenia o prawdziwych rozmiarach okazu.

— A więc twierdzi pan, że pasożyt o długości 90 centymetrów jest czymś niespotykanym?

Helpmann skrzywił się, jakby z bólu, i powiedział niechętnie:

— No cóż. Istnieje gatunek glisty, który osiągnąć może nawet większą długość. Nazywa się *Dracunculus medinensis*. Rozwija się w takich miejscach jak Indie, Afryka, kraje arabskie. Nieszczęśni żywicieli nabywają go razem z wodą pitną. Tam znajdują się małe skorupiaki, które zawierają larwy tego robaka. Kiedy już dostaną się do jelita człowieka, robak w postaci larwy wydostaje się ze skorupiaka, a następnie przechodzi z jelita do tkanek ciała. Samce i samice łączą się; samiec umiera, ale samica rozwija się dalej, aż do osiągnięcia długości co najmniej metra. Proces ten trwa około roku. W tym czasie samica robaka rośnie w miękkich tkankach łącznych, znajdujących się pod skórą. Kiedy robak osiągnie już pełną dojrzałość, staje się po prostu czymś, co można nazwać rurką wypełnioną embrionami. Jelito ulega zanikowi i w rezultacie całą długość organizmu zajmuje macica. Na tym etapie, końcowa część robaka przesuwa się do nadgarstka lub kostki żywiciela, gdzie na skórze tworzy się pęcherz. Kiedy pęcherz jest wilgotny, co następuje wtedy, gdy człowiek kąpie się w jeziorze lub rzece, końcówka ma-

cicy pęka i mleczny płyn, zawierający tysiące larw, dostaje się do wody. Zarażają one skorupiaki, znajdujące się w wodzie. I tak dalej, od początku.

Casey wzdrygnął się.

— Czyż natura nie jest wspaniała? Ale skoro te robaki dojrzewają tak długo, dlaczego nie mogłoby tak być z tym, który miała Laura Finch?

— Dracunculiasis w postaci dojrzącej osiąga jedynie grubość sznurka. Grubość robaka, którego znaleziono u panny Finch oceniono na 3,8 centymetra.

— Niemożliwe, czy tak?

— Powiedzmy, iż w mojej karierze nigdy nie trafiłem na dowody, że tęgoryjec może osiągnąć takie rozmiary czy też zachowywać się w sposób, jaki opisali świadkowie obecni na sali operacyjnej.

Przechylił się do tyłu, złożył ręce i oparł na nich podbródek.

— Panie Casey — powiedział takim głosem, jakby miał zaraz powiedzieć coś o decydującym znaczeniu. — Dracunculiasis, robak, o którym przed chwilą mówiłem, zaraża co najmniej 50 milionów ludzi. A Ascaris, glista dżdżownicowata, szacując z grubsza — jakieś 8 bilionów. Jak mówię, wszystkie one korzystają z tego, co daje im życie w ludzkich jelitach. Około 3-ch tysięcy milionów ludzi, głównie w krajach Trzeciego Świata, jest obecnie ofiarą pasożytniczych robaków. Te liczby, a zapewniam pana, że wcale nie przesadzam, powinny dać panu pewne wyobrażenie o skali problemu. Robaki te, których całą grupę określa się mianem helminth, nie tylko zabierają pożywienie swoim żywicielom, na przykład wysysając krew, lecz powodują także choroby i stan fizyczny odmienny od anoreksji. Niektóre, jak na przykład Filariasis, powodują utratę wzroku, a wiele innych śmierć. Innymi słowy, robaki pasożytnicze należą do największych wrogów ludzkości. Nie ma co straszyć 90 centymetrowym tęgoryjcem.

Rzeczywiste zagrożenie ludzi jest o wiele bardziej przerażające niż taka fantazja.

Spojrzał na Causeya, jakby w oczekiwaniu na oklaski, po których nastąpi szybkie wyjście. Causey nie bi brawa, ale rzeczywiście podniósł się z krzesła.

— A więc, panie profesorze, uważa pan, że świadkowie kłamali?

— Ależ nie, nie kłamali — powiedział pospiesznie Helpmann. — Ale jak już wcześniej powiedziałem, zdecydowanie przesadzali. Sekcja zwłok wykazała, że ofiara miała w swoich jelitach olbrzymią glistę. Moja analiza dowiodła, że był to okaz tęgoryjca. I tyle można powiedzieć.

Causey skinął głową. Miał wrażenie, że profesor Helpmann NIE CHCIAŁ uwierzyć w istnienie 90 centymetrowego tęgoryjca. I niech diabli wezmą wszelkie dowody, mówiące co innego, jak na przykład poranione ręce chirurga.

Causey zapomniał, że protokół śledztwa wskazywał, iż patologiem zaangażowanym w tę sprawę była kobieta. Przypomniało mu o tym zdziwienie, jakiego doznał stając twarzą w twarz z wysoką, przystojną kobietą koło trzydziestki, którą przedstawiono mu jako doktor Joyce Winters. Miała czarne włosy opadające na ramiona, bardzo piękne, zielone oczy i policzki, które wywołały w nim chęć głośnego jęku zachwytu.

— Powiedziałam już, oto doktor Winters — niecierpliwiła się młoda laborantka, która przyprowadziła ją z zakamarków Oddziału Patologii Szpitala Middlesex. Joyce Winters spoglądała na niego z pobłażliwym uśmiechem. Wyrwał się ze swego chwilowego zmieszania i podał jej rękę.

— Ee... dzień dobry pani doktor. Przepraszam, ale nie spodziewałem się... — nie dokończył zdania.

— Nie spodziewał się pan kobiety? — powiedziała

przyjaźnie. — No cóż, zdziwiłby się pan widząc, jak wiele kobiet-patologów tutaj pracuje.

— Pewien jestem, że tak — powiedział szczerze.

— Proszę do mojego gabinetu. Jak już poinformowano pana przez telefon, nie mogę poświęcić dużo czasu, ale zrobię co w mojej mocy, żeby dostarczyć panu potrzebnych informacji.

Zanim wprowadziła go do swego małego pokoju, nasiąknięta chemikaliami atmosfera Oddziału Patologii sprawiła, że poczuł się niedobrze. Zgarniając papiery z jedynego krzesła, jakie było w biurze, zauważyła dolegliwości gościa i poprosiła, by usiadł.

— Wszystko w porządku.' — zapytała.

— Ależ tak — odpowiedział, siadając z ulgą. — To tylko ten zapach wokoło. Nienawidzę szpitali.

— Ma pan jakieś złe wspomnienia?

— Skądże! Nigdy nie byłem w szpitalu. Udało mi się tego uniknąć, z wyjątkiem sporadycznych wizyt w różnych oddziałach nagłych wypadków. Bez obrazy, ale szpitale przyprawiają mnie o gęś i skórkę.

Odgarnęła z oczu kosmyk długich, czarnych włosów i powiedziała:

— Proszę również bez obrazy, panie Causey, ale sądząc z pańskiego wyglądu obawiam się, że w niedalekiej przyszłości szpitale będą pana poważnie niepokoić.

Targnęło nim uczucie trwogi.

— Co ma pani na myśli?

To, że najwyraźniej nie dba pan o siebie. Zła dieta, wszystkie oznaki nałogowego pijaństwa. Teraz, kiedy skończył pan już czterdziestkę, powinien pan bardziej o siebie dbać. Bo inaczej wszystkie grzeszki przeszłości dotrzymają panu kroku.

— Nie skończyłem czterdziestki — zaprotestował. Ubodły go jej słowa. — Mam dopiero trzydzieści dziewięć lat.

— Zdziwiał mnie pan — powiedziała oschle. — Tym bardziej jest to powód, by zmienić styl życia. Przypuszczam, że również pali pan dużo.

— Chwileczkę. Przyszedłem tu, żeby porozmawiać o Laurze Finch, a nie o mnie — powiedział szorstko. Miał właśnie zapytać, czy może zapalić w jej biurze. — Powiedziała pani, że nie ma pani dużo czasu.

Usiadła na brzegu zawałonego papierami biurka i złożyła ręce. Miała na sobie biały fartuch, i na jednym z jego rękawów Causey spostrzegł coś, co wyglądało jak mała plamka krwi. Jego uczucie mdłości nasiliło się. Z jakiegoś powodu ta mała plamka wydawała się gorsza niż ogromna plama krwi.

— Co chciałby pan wiedzieć? — spytała.

— Chcę wiedzieć dlaczego doktor Shayaz nie zdawał sobie sprawy, że Laura Finch nie choruje na anoreksję.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Według mnie, powinien był to wiedzieć.

Potem dodała:

— Ale to tylko moje zdanie. Inny lekarz mógłby mieć odmienny pogląd.

— Tak — powiedział cierpko Causey. — Wiem, że wy, lekarze, trzymacie się razem.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

— Jest jedna sprawa, która w przypadku Laury Finch nie pasuje do normalnego schematu osoby chorej na anoreksję. Myślę o aspekcie psychologicznym.

— Psychologicznym?

— To zazwyczaj nastolatki cierpią na tę chorobę. Anoreksja określana jest powszechnie jako niezdolność do zaakceptowania własnej dojrzałości seksualnej. Reakcja na okres dojrzewania płciowego. Odrzucenie jedzenia jest czysto symboliczne. To tylko pewien rodzaj metafory.

Uniósł brwi.

— Tak? Nie wiedziałem o tym.

— Otóż sama teoria Jest — jak na mój gust — trochę zbyt freudowska, ale wydaje się pasować do faktów. A Laura Finch miała prawie dwadzieścia sześć lat, czyli znacznie więcej niż przeciętna osoba chora na anoreksję.

— Tak — powiedział z zamyśleniem. — I z tego co słyszałem, już jakiś czas temu pogodziła się ze swoją dojrzałością seksualną.

— Istnieją także rozbieżności medyczne. Kiedy przeprowadzałam na niej sekcję, stwierdziłam, że jest wyjątkowo wychudzona. Po osobie cierpiącej na anoreksję można spodziewać się pewnego stopnia anemii, ale nie aż tak ogromnego. Przyczyną było oczywiście to, że robak dosłownie wysysał jej krew. Jednak Shayaz powinien był stwierdzić tak niską liczbę czerwonych ciałek krwi.

Plama na jej rękawie wciąż w przykry sposób rozpraszała uwagę Causeya. Rozmowa o krwi nie ratowała sytuacji.

— Coś jeszcze? — zapytał.

— Powinien był zrobić jej prześwietlenie. Jako normalny środek ostrożności, nawet gdyby ona sama przekonana była, że ma anoreksję.

Causey zmarszczył brwi.

— Pamiętam, że w protokole była jakaś wzmianka na ten temat...

— Doktor Shayaz twierdził, że Laura Finch odmówiła zrobienia prześwietlenia. Powiedział, że wierzyła, iż prześwietlenie powoduje raka.

— Czy brzmi to prawdopodobnie?

Wzruszyła ramionami. Ten gest uświadomił mu nagle, że ma całkiem duże piersi. Zastanawiał się, czemu nie zauważył tego wcześniej. Stwierdził, że rzeczywiście się starzeje.

— Obecnie coraz więcej ludzi z obawą podchodzi do prześwietleń — powiedziała. — Ale gdybym była na miejscu doktora Shayaza, nalegałabym, aby zrobiła prześwietlenie, albo odesłałabym ją do innego lekarza. Nie chciałabym ponosić odpowiedzialności za to, że jej nie prześwietliłam.

— Czy zdałoby się na coś wniesienie przez jej siostrę skargi do Brytyjskiego Stowarzyszenia Lekarzy? \

— Wątpię. O ile nie można im przedstawić nic bardziej konkretnego. Poza tym Shayaz twierdzi, że Laura Finch wypisała się z jego kliniki półtora tygodnia przed śmiercią i dlatego nie była już jego pacjentką. Twierdzi również, że kiedy widział ją po raz ostatni, jej stan fizyczny w niczym nie przypominał tego, w jakim była w momencie zgonu.

— Ten Shayaz wygląda mi na obrzydliwego skuchczybyka — powiedział z niesmakiem Causey. — Z niecierpliwością oczekuję na spotkanie z nim.

— Ma pan zamiar spotkać się z nim? — spytała.

— Spróbuję. Dziś po południu. Wcześniej próbowałem go złapać telefonicznie, ale jego recepcjonistka powiedziała, że jest nieuchwytny.

— Byłabym zainteresowana wynikiem tej rozmowy — powiedziała poważnie. — Czy zechciałby pan do mnie zadzwonić? Będę tu do wieczora.

— Z przyjemnością, doktor Winters.

Obdarzyła go przyjaznym uśmiechem.

— Och, proszę mówić mi Joyce.

Wychodząc z laboratorium patologicznego zastanał się, czy byłby w stanie pójść do łóżka z kobietą, która spędzała dni na krojeniu zwłok i analizach zrakowaciałych organów. Doszedł do wniosku, że gdyby przyszło co do czego, pewnie mógłby to zrobić.

Robak, którego we wczesnych godzinach porannych James Wingate spuścił z wodą w toalecie swego mie-

szkania, wciąż jeszcze żył w rurach kanalizacyjnych. Co więcej, rozwijał się w swoim nowym środowisku. W nie oczyszczonych ściekach było dużo nie strawionego pożywienia. Robak nurzał się w nim, aby nałykać się potrzebnych mu aminokwasów.

Miał 76 centymetrów długości, a z wyglądu przypominał pospolitego tęgoryjca, *Ascaris lumbricoides*. Różnił się jednak pod względem genetycznym. W jego chromosomach występowały luki, miejsca, z których usunięte były pewne geny, a w innych częściach kodu DNA znajdowały się dodatkowe informacje o składzie chemicznym, nowe dla gatunku *Ascaris*.

Te drobne różnice oznaczały, że ten szczególnie okaz *Ascaris* posiadał cechy, które nie występowały u innych osobników z tego gatunku. Jedną z takich cech była zdolność rozrastania się.

I okaz ten rósł...

4.

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę i ożywionym głosem powiedziała:

— Przykro mi, lecz doktor Shayaz nie ma ochoty z panem rozmawiać. Powiedział, że nie może dodać nic więcej do tego, co zeznał na ten temat w czasie śledztwa. Zasugerował, żeby zapoznał się pan z protokołem.

— Już to zrobiłem — powiedział Causey. — I dlatego koniecznie muszę się zobaczyć z doktorem Shaya-
zem. W jego zeznaniu są pewne punkty, które wymagają wyjaśnienia.

— Według niego nie — odpowiedziała recepcjonistka. Miała około trzydziestki i na pewien chłodny sposób była atrakcyjna. Ale czuł się przy niej jak włóczęga, który przyszedł z ulicy prosić o jałmużnę.

— Czy mógłbym porozmawiać z nim przez telefon? Może wpłynąłbym na zmianę jego decyzji.

— Doktor Shayaz powiedział, że nie ma ochoty z panem rozmawiać. Obawiam się, że muszę pana wyprosić. Do widzenia, panie Causey.

Z portfela wyciągnął jedną ze swoich wizytówek i wręczył jej. Wzięła ją ostrożnie, jakby z obawą, że może się czymś zarazić.

— Jeżeli przez przypadek doktor zmieni zdanie, to może skontaktować się ze mną pod tym telefonem. Czy mogłaby pani mu to dać?

— Owszem, ale mogę panu już teraz powiedzieć, że to niczego nie zmieni. Doktor Shayaz nigdy nie zmienia decyzji.

— Bravo — wymamrotał Causey, odwracając się i krocząc przez wyłożony pluszem teren recepcji. Przed drzwiami wyjściowymi musiał chwilę poczekać, aż recepcjonistka naciśnie guzik, który je otworzył. Na końcu krótkiej ścieżki, prowadzącej do wyjścia znajdowała się brama z kutego żelaza, która także sterowana była elektronicznie. Kiedy zbliżył się do niej, coś zabrzęczało. Pchnął bramę, odwrócił się i złośliwie pomachał recepcjonistce, która przyglądała mu się zza szklanych drzwi. Kiedy brama zamknęła się za nim, usłyszał głośny trzask, sygnalizujący ponowne zamknięcie.

Minął podwójną bramę podjazdu, który prowadził w dół do parkingu i garażu, znajdującego się obok trzypiętrowego domu przebudowanego w stylu gregoriańskim. Także i te bramy były zdalnie sterowane. Po jednej stronie wysokiego ogrodzenia umieszczona była kamera telewizyjna.

Przystanął na chwilę przy bramie i badał wzrokiem co znajduje się za nią. Zobaczył karetkę zaparkowaną przed garażem. Mężczyzna ubrany w ciemnoniebieski mundur polerował i tak już lśniąco biały pojazd.

Causey ruszył dalej, przeszedł na drugą stronę ulicy i jeszcze raz spojrzął na klinikę. Rozważał możliwość nocnych odwiedzin, lecz to miejsce wydawało mu się

nie do zdobycia — wysokie mury, kamery i niewątpliwie wszelkie najnowsze, kosztowne urządzenia alarmowe. Kiedy zamożni pacjenci Shayaza przestępowali progi jego kliniki, to z pewnością zapewnioną mieli prywatność. Jeśli nawet nic poza tym.

Zastanawiał się, co robić dalej. Można było wahać się gdzieś w pobliżu w nadziei, że zobaczy, jak Shayaz opuszcza klinikę. I co wtedy? Wyjść na wprost jego samochodu, kiedy będzie wyjeżdżał i nalegać, aby z nim porozmawiał? Może się udać.

Oparł się o drzewo, przygotowany na długie oczekiwanie. Szkoda, że nie miał już samochodu. Spojrzał na zegarek — dochodziła czwarta.

Półtorej godziny później był cały obolały i czuł, że koniecznie musi się wysikać. Miał właśnie zamiar porzucić swoje stanowisko, kiedy zobaczył, że otworzyła się brama wjazdowa. Cofnął się za drzewo i obserwował.

To nie był Shayaz, lecz mężczyzna w ciemnoniebieskim mundurze, którego wcześniej widział przy polerowaniu karetki. Causey podjął szybką decyzję — pójdzie za nim. Mężczyzna nie mógł wybierać się zbyt daleko, ponieważ szedł piechotą.

Causey poczekał, aż ten wątej postury czterdziestolatek (jak sądził) oddalił się na odległość około trzydziestu metrów, i zaczął iść za nim.

Causey podążył jego śladem aż do wylotu Broadlands Road. Właśnie kiedy zastanawiał się, czy mężczyzna idzie w kierunku stacji metra Highgate, zobaczył jak ten przeszedł na drugą stronę i wszedł do baru na rogu ulicy. Causey wyszeptał dziękczynną modlitwę.

Bar, do którego wszedł za mężczyzną, był prawie pusty. Natychmiast spostrzegł swoją zdobycz. Mężczyzna opierał się o ladę, gawędząc przyjacielsko z barmanem, który nalewał mu kufel beczkowego Guinnessa.

Casey podszedł do lady i, czekając na przyjęcie zamówienia, przysłuchiwał się ich rozmowie. Mężczyzna w niebieskim mundurze, z irlandzkim akcentem¹ mówił, że przychodzi wyjątkowo wcześnie, gdyż ma wolną noc.

— Byłem na pełnej, całodobowej zmianie i jestem naprawdę zmęczony — powiedział barmanowi. Pożartowali sobie trochę, a potem barman przyjął zamówienie Causeya.

Detektyw zaczekał, dopóki barman nie zajął się innymi klientami. Nie oczekiwał trudności w nawiązaniu rozmowy z mężczyzną, ponieważ ten, najwyraźniej należał do gatunku ludzi o towarzyskim usposobieniu. I okazało się, że miał rację. Po uwadze na temat pogody, Casey zapytał go, czym się zajmuje.

— Jestem kierowcą. Jeżdżę karetką w modnej, prywatnej klinice, tu zaraz na tej ulicy.

Casey udawał, że wywarło to na nim wrażenie.

— W takim razie jest pan lekarzem?

— Nie. Jestem tylko kierowcą. Kiedy muszę kogoś przywieźć, wysyłają ze mną lekarza. O medycynie i wiem tyle co nic.

— Dobrze płacą?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Da się wytrzymać. Ale sama praca jest wygodna. Czasem przez całą zmianę nie wyjeżdżam nawet karetką. Większość czasu spędzam oglądając telewizję lub grając w karty z chłopcami z ochrony.

„O rany — pomyślał Casey — dobrze, że mimo wszystko nie spróbowałem tych nocnych odwiedzin.”

— Weźmy na przykład zmianę, którą właśnie skończyłem. Tylko jeden wyjazd w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nagły wypadek. Sam doktor Shayaz pojechał ze mną. Wydawało się, że sytuacja jest krytyczna, a ten nieszczęsny facet wciąż jeszcze żyje.

— Doktor Shayaz? — przerwał Causey. — To nazwisko coś mi mówi.

— No tak, ostatnio było o nim trochę w gazetach. Jest właścicielem kliniki. Powiedziałbym, że to obrzydliwie bogaty, ale miły gość... jak na Araba.

Causey zmarszczył brwi.

— Z jakiego powodu miałem widzieć jego nazwisko w gazetach?

Mężczyzna przysunął się bliżej i powiedział zniżając głos:

— To przez ten wypadek. U tej nieszczęsnej suki odkryto cholernie wielkiego robaka, wewnątrz niej. Z pewnością czytał pan o tym.

Tak, czytałem, ale co...?

— Była pacjentką doktora Shayaza. Nazywała się Laura Finch. Widziałem ją w klinice. Skóra i kości. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że cierpi na tę chorobę... jak to się nazywa, kiedy się chudnie?

— Anoreksja — powiedział Causey.

— Tak, to właśnie to. To musiało być dla doktora Shayaza trochę niemiłe zaskoczenie. To co się stało.

— Wyobrażam sobie.

Causey zamówił dla mężczyzny następnego Guinnessa, a dla siebie podwójną „szkocką”. Potem powiedział:

— Czy wiozł pan swoją karetką tę kobietę, Laurę Finch?

— Nie, ani razu. Sama tam przychodziła.

— Ani razu? — szybko zapytał Causey. — Chce pan powiedzieć, że była w klinice więcej niż jeden raz?

Mężczyzna skinął głową.

— Teraz, kiedy o tym myślę... tak, więcej. Za pierwszym razem tylko kilka dni, za drugim kilka tygodni.

— Czy widział ją pan za pierwszym razem?

Pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Ależ tak. Rzeczywiście ją widziałem. Zapomniałem o tym, ale to pewnie dlatego, że wyglądała wtedy normalnie.

— To znaczy, że nie była wtedy chuda?

— Tego nie pamiętam — potrząsnął głową. -J Nie, nie była. I była atrakcyjną kobietą.

Causey zamilkł. Odnosił silne wrażenie, że był na tropie czegoś ważnego. Ale nie był pewien, co to było.

— Wie pan, to zabawne — powiedział mężczyzna! — Ta anoreksja. Mamy następnego pacjenta z tą chojrą robą.

— Wy?

— Tak. To ten nagły wypadek, o którym mówiliśmy. Facet, którego przywieźliśmy wczoraj w nocyj Doktor Shayaz powiedział, że to anoreksja. Wydało mi się to wtedy trochę śmieszne. Myślałem, że to tylko, problem kobiet...

— Ja też — ponuro powiedział Causey.

Kiedy upewnił się, że nie wyciągnie już z tego człowieka nic cennego, pożegnał się z nim i wyszedł z baru. Złapał metro ze stacji Highgate do Tottenham Court Road i poszedł prosto do „Sax Clubu”. Po kilku szybkich, podwójnych porcjach whisky i pogawędce z Cathy — która powiedziała mu, że wygląda na wyczerpanego — zadzwonił do Olivii Finch. Złożył jej relację z tego, co zdarzyło się w ciągu dnia.

— A zatem? Co ma pan zamiar zrobić dalej? -j spytała go.

— Sprawdzić, czy przez agencję pani siostry udję mi się wytropić któregoś z jej znajomych i dowiedzieć się, kiedy zaczęła chorować. Potem wracam, żeby znowu zobaczyć Shayaza. I tym razem będzie ze mną rozmawiać.

Zadzwoił do Joyce Winters i opisał jej rozmowę z kierowcą Shayaza. Kiedy doszedł do części, dotyczącej pacjenta chorego na anoreksję wykrzyknęła:

— Ależ to niemożliwe! Nigdy nie słyszałam, żeby chorował na to jakiś mężczyzna. Musi dolegać mu coś innego.

— Cóż, przekazuję to, co Shayaz powiedział kierowcy, kiedy zabierali chorego z mieszkania. Dostałem od kierowcy jego nazwisko. James Wingate. Najwyraźniej to ten bogaty handlarz dziełami sztuki.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza. Potem Joyce powiedziała:

— Im więcej słyszę o doktorze Shayazie, tym mniej mi się to podoba. Szczególnie informacja, że Laura Finch przebywała w klinice dwa razy. Shayaz nie wspominał o tym w czasie śledztwa.

Causey powtórzył to, co już powiedział Olivii, że był zdecydowany rozmawiać z Shayazem za wszelką cenę.

— Daj mi znać, co się dzieje — powiedziała Joyce. — I zadzwoń do mnie, gdybym mogła w czymś pomóc.

„Oczywiście, że zadzwonię” — powiedział do siebie Causey odkładając słuchawkę. Był zdecydowany zobaczyć się z nią ponownie, bez względu na to czy będzie potrzebować jej pomocy, czy nie.

Kiedy wrócił do baru, był z siebie dość zadowolony. Zamówił kolejnego drinka. Uważał, że osiągnął tego dnia całkiem dużo, chociaż miał świadomość, że nie był jeszcze blisko rozwiązania tej sprawy. Ale przynajmniej wpadł na właściwy trop — doktora Shayaza i jego kliniki.

Popijając, pozostał w klubie aż do północy, a potem — trochę chwiejnym krokiem — skierował się do domu.

Tej nocy w pokoju Glorii paliło się światło. Zatrzy-

mał się przy jej drzwiach, aby posłuchać, czy jakiś dźwięk nie zdradzi, że jest z klientem. Jeśli byłaby sama, zaprosiłby ją do siebie na szklankę whisky przed pójściem spać. Było cicho, więc zastukał do drzwi i I szeptem powiedział:

- Gloria?

Nie było żadnej odpowiedzi. Zastukał głośniejsze. Wciąż nic, więc przestał i poszedł na górę.

„Może jest z jakimś wyjątkowo cichym klientem”.] — stwierdził i uśmiechnął się do myśli, jakie podsunęła! mu wyobraźnia.

Jego piętro było jak zwykle pogrążone w ciemności. Zaklął cicho, próbując wcelować w zamek. Napisał do gospodarza kolejny ostry list.

Pamięta, że potem ktoś podniósł go i pchnął do tyłu. Para ogromnie silnych ramion objęła go od tyłu, przyszpilając do boków jego własne ramiona. Zanim zdążył krzyknąć, druga para rąk chwyciła go za kostki i poczuł, że został wyrzucony w powietrze. Świadomość tego, co stanie się za chwilę, przyprawiała go o mdłości.

Poczuł, jak jego tyłek szoruje po poręczach, kiedy wyrzucono go w otchłań klatki schodowej. Upadając: krzyknął. Ramiona i nogi trzepotały w powietrzu. Leł cę w dół, uderzył ramieniem o krawędź jednego z podestów, lecz z powodu wstrząsu był zbyt odrętwiały, aby poczuć ból.

Nie odczuł też żadnego bólu, kiedy uderzył w dno klatki schodowej. Jedynie okropne uczucie wstrząsu, które zdawało się wrywać go ze wszechświata, wprawiając jednocześnie w wirowanie w chaotycznej otchłani.

Kiedy na moment odzyskał przytomność, usłyszał głosy.

— Man nie mówić, żeby go zabić, Mule. Powiedział tylko, żeby połamać mu kości.

— Połamane, nie?
— No, ale kark też. Tak wygląda.
— Co to do cholery obchodzi Mana. Kawał białego śmiecia, tyle tego było.
„Nie żyję — pomyślał Causey. — Cholera.”
Głosy oddaliły się. Wszystko inne również.

5.

Wyszczierzona w uśmiechu czarna twarz nabrała ostrości.

— Jak pan się czuje? — spytał dziewczęcy głos z idealnym akcentem z West End.

Causey usiłował spojrzeć bardziej przytomnie. Uświadomił sobie, że leży w łóżku. Potem zobaczył, że ciemno-skóra dziewczyna ma na sobie strój pielęgniarki.

— Pamięta pan, jak się pan nazywa? — spytała go.

— Jak się... nazywam?

Próbował usiąść, ale okazało się, że nie ma zupełnie siły. A jego ciało było całe obolałe, od stóp do głów. Szczególnie bolał go kark i gardło. Zwłaszcza, gdy mówił.

— Nazwisko? Ależ tak, jasne, że pamiętam, do cholery — wymamrotał. — Causey. Edward Causey.

— Dobrze. Bardzo dobrze — uśmiechnęła się pielęgniarka.

— Co... co się ze mną stało?

Udało mu się podnieść prawe ramię. Jego palce dotknęły grubego, piankowo-gumowego kołnierza, jaki miał na szyi.

— Moja szyja... Czy jest złamana?

— Nie, nie jest złamana — zapewniła go podając mu kubek, z którego wystawała plastikowa rurka. — Zaraz przyjdzie tu lekarz, żeby z panem porozmawiać. Teraz proszę napić się wody. Jest pan na pewno bardzo spragniony.

Był spragniony. Wypił kilka łyków, a potem powiedział:

— Co mi się przydarzyło?

— Upadł pan w domu.

— Upadłem? — próbował sobie przypomnieć, ale nie potrafił.

— Spadł pan ze schodów. Znalazł pana jeden z sąsiadów.

— Tak?

Spojrzał na przegub dłoni, ale zegarka na nim nie było.

— Czy długo byłem nieprzytomny?

— Kilka godzin. Teraz dochodzi szósta rano.

Zmarszczył brwi próbując przypomnieć sobie, co się stało. Powoli przypominały mu się jakieś fragmenty — ramiona chwytające go od tyłu, podnoszące do góry.

Ejże! — wykrzyknął, strasząc tym siostrę. — Ja nie upadłem. Mnie zrzuciono ze schodów.

Siostra wycofała się.

— Proszę się uspokoić, obudzi pan innych pacjentów. Zaraz przyprowadzę doktora.

Zniknęła za parawanami, które otaczały jego łóżko. Causey usiłował usiąść, ale wywołało to taki ból w plecach i barkach, że dał sobie z tym spokój. „O Boże” — pomyślał — „ktoś próbował mnie zabić”. Świadomość tego przeraziła go. I jednocześnie rozwścieczyła.

Wydawało mu się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim wróciła pielęgniarka. Towarzyszył jej młody mężczyzna o rudych włosach i piegowatej twarzy. Przedstawił się jako doktor Mitchell. Causey patrzył na niego ze zdziwieniem. Nie wyglądał na więcej niż osiemnaście lat.

— No cóż, przyjacielu, fatalnie się potłukłeś — powiedział doktor, przyjmując pogodny, ojcowski ton. Według Causeya, ton kogoś trzy razy starszego niż ten lekarz. Zupełnie jak uczeń, naśladowujący swego ojca.

Causey rzucił mu chmurne spojrzenie i powiedział:

— Niech pan się wypcha tym swoim przyjacielem. I nie potłukłem się sam. Jak próbowałem powiedzieć pielęgniarce, zrzuciono mnie ze schodów. Ktoś mnie chwycił i przerzucił przez poręcz... — próbował przypomnieć sobie, co działo się potem, ale ta część wciąż jeszcze stanowiła dla niego zagadkę.

Lekarz powiedział spokojnie:

— Dobrze, dobrze. Proszę się nie denerwować. Sąsiadka, która wezwała karetkę powiedziała, że ma pan skłonności do dogadzania sobie butelczyną i że często przewraca się pan w nocy na schodach.

Causey milczał przez chwilę. Potem udało mu się złapać oddech.

— Jaka sąsiadka?

— Zdaje mi się, że jakaś panna Gloria Henderson.

— Gloria? — szyderczym głosem powiedział Causey. — Po pierwsze, ona nigdy nie użyłaby takich słów jak „mieć skłonności do dogadzania sobie butelczyną”.

Lekarz rzucił mu spojrzenie pełne cierpienia.

— Obawiam się, że to moja interpretacja. Słyszałem, że jej słowa były bardziej dosadne.

— Założę się, że tak.

— A badanie krwi, jakie panu zrobiliśmy, potwierdziło nadmierny poziom alkoholu.

— No więc byłem zalany. Zalewam się co noc, ale nigdy, powtarzam, NIGDY nie spadłem z tych cholerych schodów, i Gloria o tym wie. Ona kłamała. Niech mnie pan nie pyta dlaczego. Ale dowiem się tego.

Znowu usiłował usiąść, ale doktor delikatnie go powstrzymał.

— Obawiam się, że nigdzie pan nie pójdzie. Przy najmniej przez dziesięć dni.

— Dziesięć dni!

— Proszę, niech mi pan pozwoli wyjaśnić pański

stan. Doznał pan wstrząsu, poważnych potłuczeń, ma pan przemieszczony bark, pęknięte trzy żebra i wyszczerbiony krąg szyjny.

— Szyjny? Nie wiem zbyt wiele o anatomii, ale wiem na pewno, że ja nie mam żadnej szyjki macicy.

Siostra pokazała zęby w uśmiechu. Lekarz powiedział poważnie:

— Kręgi szyjne znajdują się w pańskiej szyi, panie Causey. Niech mi pan pozwoli pokazać, o co chodzi.

Z dużej szarej koperty, którą trzymał w ręce, wyciągnął zdjęcie rentgenowskie. Podniósł je do światła, na wprost Causeya. Detektyw zorientował się, że patrzy na upiorne zdjęcie dolnej części czaszki, twarzy i wierzchołek kręgosłupa.

— Pański upadek spowodował wykruszenie kawałka trzeciego kręgu szyjnego, o tutaj — lekarz wskazał na zdjęcie.

Causey nie miał pojęcia, na co ma patrzeć.

— Wiec? Czy to coś poważnego? — zapytał.

— Raczej nie. Ale wszystko zależy od tego, gdzie kończy się ten złamany kawałek kości. Widzi pan, on się przemieszcza.

— Naprawdę? — nie bardzo podobało mu się to, co usłyszał.

— Miejmy nadzieję, że zatrzyma się to u podstawy lub z boku szyi, gdzie będzie zupełnie bezbolesne. Ale może się zdarzyć, że przemieści się dookoła i zatrzyma się z przodu, naciskając na pański przełyk. Wówczas musielibyśmy zrobić operację, aby to usunąć.

— Wspaniale — wymamrotał cierpko Causey. — A jak długo muszę chodzić z tą obrożą na szyi?

— Co najmniej miesiąc. Pana krąg szyjny musi być podtrzymywany w czasie odrastania kości.

Causey westchnął.

— W porządku. Wysłuchałem pana, teraz proszę wysłuchać mnie. Chciałbym, żeby zadzwonił pan do

podoficera śledczego Rona Baxtera z Wydziału Spraw Kryminalnych dzielnicy Holborn. Niech mu pan powie, że ktoś próbował mnie zamordować i że chcę się z nim natychmiast zobaczyć.

Lekarz uśmiechnął się uprzejmie.

— Proszę się znowu nie denerwować. W przyszłości potrzebować pan będzie odpoczynku, a nie odwiedzin policjantów. Siostro!

Zanim Causey zorientował się, o co chodzi, dziewczyna dała mu zastrzyk w ramię.

— Co mi pan tu dał? — zapytał.

— Coś, co pomoże panu zasnąć, panie Causey — denerwująco protekcyjnym tonem odpowiedział lekarz. — Przyjdę do pana później.

— Ale ja nie chcę spać! — zaoponował Causey. — Nie rozumiesz, co mówię, kretynie? Ktoś o mało mnie nie zabił! Chcę... Chcę...

Causey zasnął.

Kiedy obudził się znowu, zobaczył, że zniknęły gdzieś parawany, stojące wokół jego łóżka. Znajdował się na małej sali. Po każdej z dwóch przeciwległych stron stały trzy łóżka. Causey leżał blisko drzwi. W łóżku obok siedział dobrze zbudowany „skin”, który przez słuchawki słuchał radia. Naprzeciw leżał pięćdziesięcioletni mężczyzna o bladej twarzy. Z nosa wystawała mu rurka. Spał albo był martwy. Mężczyzna, leżący po jego drugiej stronie, wyglądał jeszcze gorzej i był pod tlenem. Dobrze, że chociaż człowiek, leżący na trzecim łóżku, był przytomny. Czytał gazetę „Sun”. Ale od pasa do pachwin przykryty był czymś w rodzaju wzniesionego pod prześcieradłem podwyższenia. Szóste łóżko było puste.

Causey poczuł bardzo silną potrzebę oddania moczu. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu przycisku, którym mógłby wezwać pielęgniarkę. Zobaczył, że znajduje się z boku jego łóżka.

Mężczyzna czytający „Sun” zauważył jego ruchy.

— Nie śpimy, co? — zapytał z ożywieniem. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat, zaczynał łysieć i, tak jak ciemnoskóra pielęgniarka, mówił z akcentem ze wschodniego Londynu. — Odpłynąłeś na parę godzin, I przyjacielu.

— Na to wygląda — odpowiedział Causey. Spojrzał na „skina”, który wciąż pochłonięty był słuchaniem radia. — Gdzie ja do diabła jestem?

— Jesteś w Szpitalu Middlesex, przyjacielu. Sala 12b, trzecie piętro. A ja nazywam się Des. Des McKeel. I

— Bardzo mi miło. Nazywam się Ed Causey.

— Causey? Zabawne nazwisko.

— Tak — westchnął Causey. — Zdziwisz się, kiedy ci powiem, jak wiele osób mi to mówi. Jakimś dziwnym trafem zwłaszcza taksówkarze.

Des McKeel wydał okrzyk zdziwienia:

— Rany! Nie uwierzysz, ale jestem taksówkarzem! Czy to nie zaskakujące zdarzenie?

— Z pewnością — ze znużeniem odpowiedział Causey.

Właśnie w tym momencie przyszła pielęgniarka. Tym razem nie była to Murzynka, ale biała kobieta w średnim wieku. Miała surowy wyraz twarzy.

— No więc? O co chodzi? — zapytała energicznie. I

— Muszę się wysikać.

— Przyniosę kaczkę — odwróciła się, żeby wyjść. I

— Nie potrzebuję kaczki — powiedział szybko Causey. — Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie są toalety.

— Niech pan nie będzie śmieszny. Nie wolno panu wstawać z łóżka.

— Proszę posłuchać. To moja szyja jest połamana a nie moje pieprzone nogi. Proszę mi natychmiast powiedzieć, gdzie są toalety — powiedział ze złością.

Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan trudnym pał

cientem, panie Causey. W przeciwnym razie muszę pana ostrzec, iż wiem jak postępować w takich przypadkach.

— Nie jestem trudny, ty głupia krowo. Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie są te cholerne kible.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego bez słowa. Widział, jak w jej skroni drga nerw. Potem, lodowatym tonem — przypominającym panią Thatcher w jej najbardziej ostrych przemówieniach — powiedziała:

— Pan zostanie w łóżku, panie Causey, bo INACZEJ... — odwróciła się miękko na pięcie i wymaszrowała z sali.

— O rany! Przyjacielu. Źle nastąpić siostrze Delaney na odcisk. Może zatruć ci życie — wesoło obwieścił Des.

Czekając aż siostra wróci z kaczką, Causey spytał taksówkarza o dwóch śpiących mężczyzn.

— Stan, ten stary dziwak naprzeciwko ciebie, ma kłopoty z pikawą. W zeszłym tygodniu miał operację. Zrobili mu „bypass”, czy jak to się nazywa. Po prostu krew omija teraz serce. Ale nie wygląda na to, żeby się powiodło. Myślę, że jest z nim coraz gorzej. To samo Jimmy, ten obok mnie. Wycięli mu płuco — rak. Okazało się, że drugie też jest zaatakowane...

„Niech to diabli” — pomyślał Causey — „tylko tego mi brakowało”. Pytając spojrzął na „skina”. Des powiedział:

— Arnold miał małą zadymę na King's Cross, przed barem. Ktoś wepchnął mu w udo rzeźnicki nóż. Przeszedł prosto przez tętnicę. Kiepsko z tobą było, co chłopcze?

Arnold zareagował jedynie warknięciem:

— Zamknij się!

Myśląc, że lepiej będzie zmienić temat, Causey zapisał:

— A tobie co się stało? Wypadek w taksówce?

— Ee, nie. To te torby.
— Jakie torby?
— No wiesz, musisz je nosić z przodu, kiedy zamykają ci dziurę w tyłku i robią nową w brzuchu.
— Och — powiedział Causey z nagłym zakłopotaniem. — Przepraszam...

— W porządku, przyjacielu — Des mówił dalej tym samym wesołym głosem. — Przynajmniej nie będę już miał kłopotów z moimi hemoroidami. A te operacje są teraz bardzo tanie i popularne. Zdziwisz się, jak ci powiem, jacy ludzie jadą na tym samym wózku co ja. Szpital daje ci taką broszurę, o zobacz, i tam masz listę wszystkich sławnych ludzi, którzy na to cierpią. Gwiazdy filmowe, piosenkarze, politycy...

W tym momencie na salę wszedł Ron Baxter. Causey odetchnął z ulgą. Baxter, muskularny mężczyzna po czterdziestce, o okrągłej twarzy cherubina, miał w ręce bukiet róż. Szczerząc zęby w uśmiechu, wręczył je Causeyowi.

— Coś na pocieszenie — powiedział.
Causey wziął je chrząkając i rzucił na stolik przy łóżku.

— Bardzo zabawne — warknął. — No i co cię zatrzymało? Nie dostałeś mojej wiadomości gdzieś tak o szóstej rano?

Baxter przystawił sobie krzesło i usiadł.

— Wiadomość ze szpitala dostałem dwie godziny temu — spojrzął na zegarek. — To znaczy o drugiej-

— Chcesz powiedzieć, że teraz jest czwarta? Niech to diabli! Dziękuję, że się tak spieszyłeś, stary. Wielkie dzięki.

Baxter wzruszył ramionami.

— Powiedzieli, że wszystko z tobą w porządku, że śpisz. Nic pilnego.

— Jeśli chodzi o nich — to nic, ale jest coś pilne-

go, jeśli idzie o mnie! Czy nie powiedzieli ci o próbie morderstwa?

— O jakiej próbie morderstwa?

Causey opowiedział mu, co się wydarzyło. Baxter westchnął.

— Daj spokój. Ed. Kto miałby cię zabić?

— Właśnie chcę, żebyś się tego dowiedział. No wiesz, od tego są przecież policjanci. Szczególnie ktoś taki jak ty — przypadkowo stary przyjaciel niedoszłej ofiary.

— Ed, musiałeś to sobie wymyślić — cierpliwie tłumaczył mu Baxter. — Przecież wiesz, jaki byłeś pijany. Musiało to wyglądać tak, jak powiedziała Gloria. Spadłeś ze schodów, ponieważ byłeś jak zwykle zalany w pestkę.

— Pieprz Glorię.

— Nie lubię stać w kolejce — powiedział Baxter i zaśmiał się.

— Ona kłamała, Ron. Teraz sobie przypominam. Paliło się u niej światło, ale nie otworzyła drzwi. Wiedziała, że te bydlaki czekają na mnie na górze, ale mnie nie ostrzegła.

Baxter rozglądał się ciekawie po sali. Jego wzrok zatrzymał się na dwóch śpiących pacjentach.

— Wesoło tu — zauważył.

— Tak. Czy ty mnie słuchasz? Nie spadłem tak po prostu ze schodów, ja zleciałem z tej choleralnej klatki schodowej.

— Wiem, jakie są poręcze w tym śmietniku, gdzie mieszkasz. Nic prostszego na świecie niż przez nie przelecieć, kiedy się zataczasz.

Causey zamknął oczy i potarł skroń. Bolała go głowa i całe ciało. A jego potrzeba oddania moczu osiągała już punkt szczytowy. Gdzie podziała się ta cholerna pielęgniarka? Czy próbowała ukarać go za niesubordynację?

— Jest coś jeszcze — powiedział. — Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, ale coś mi świta...

— Bądź rozsądny, Ed — powiedział Baxter. — Dlaczego ktoś mógłby chcieć cię zabić? Jesteś nieszkodliwy. Przez lata nie nadepnięteś nikomu na odisk.

— Może to ta ostatnia sprawa? Hurtownia książek. Doniosłem na facetów, którzy wyprzedawali nowości innym sieciom księgarń.

— Bzdura, to była drobna sprawa. Zapłacili tylko wysoką grzywnę. To nie powód, żeby cię zabić. A poza tym, to było wiele miesięcy temu.

Causey znowu potarł skroń.

— W takim razie może ma to coś wspólnego z moją obecną pracą.

— Co masz na myśli?

— No tak. Czy to nie śmieszny zbieg okoliczności! Po raz pierwszy od wieków mam jakąś robotę i co! Ktoś zrzuca mnie ze schodów.

— A więc kogo, kto mógłby być potencjalnym podejrzany, spotkałeś wczoraj? — zapytał Baxter. Nie był specjalnie przekonany do tego, co sugerował Causey.

— To ktoś, kogo NIE spotkałem. Doktor Shayaz! On coś ukrywa, Ron. Wczoraj tak tylko podejrzewałem, ale teraz jestem tego pewien. To on jest moim podejrzany.

Baxter nie potrafił ukryć swego niedowierzania.

— Shayaz? Ed, ten człowiek jest jednym z najlepszych lekarzy w Londynie, nie mówiąc już o tym, że to filar społeczności arabskiej, filantrop i tak dalej. I ty mówisz, że próbował cię zabić?

Causey podniósł dłoń.

— Cicho! Przypominam sobie... — zmarszczył brwi próbując się skoncentrować.

— Co? — zapytał niecierpliwie Baxter.

Twarz Causeya rozjaśniła się.

— Już wiem! Słyszałem głosy. Kiedy byłem już na dole.

— Wcale mnie to nie dziwi. Gdybym spadł dwa i pół piętra w dół, to prawdopodobnie także słyszałbym głosy.

— To byli dwaj czarni faceci. Z Indii Zachodnich. Jeden z nich nazywał się Mule. Wyraźnie słyszałem, jak ten drugi gość tak do niego mówił — powiedział z podnieceniem Causey.

Baxter wpatrywał się w niego.

— Mule? On pracuje dla Rashada.

— No przecież wiem o tym.

— I myślisz, że to Rashad kazał swoim chłopcom zrzucić cię ze schodów na prośbę Shayaza?

— Na to wygląda.

— Ed — powiedział Baxter — co najlepszy lekarz w Londynie może mieć wspólnego z największym alfonsem w Soho?

— Dobre pytanie — zgodził się Causey. Spoglądał niespokojnie w kierunku drzwi. — Do cholery. Jeśli ta diabelna pielęgniarzka nie przyjdzie tutaj czym prędzej z tą pieprzoną kaczką, to wysikam się za okno.

6.

— Nie muszę chyba mówić, że jestem panem bardzo rozczarowana, panie Causey — powiedziała Olivia Finch.

— To nie jest tak, jak pani myśli, panno Finch — powiedział ze znużeniem. — Proszę usiąść, a ja to wyjaśnię.

Usiadła trzymając się bardzo prosto, z wyrazem dezaprobaty na twarzy. Miała dziś na sobie białą bluzkę pod szyję, ciemnoszarą spódnicę i żakiet, dobrze dobrany do reszty stroju. Wyglądała jak pani adwokat. Causey westchnął i powtórzył to, co powiedział Baxterowi. Kiedy skończył, wyraz jej twarzy nie zmienił się.

— Czy to cała prawda? — spytała go podejrzliwie.
— Tak.
— Czy powiedział pan policji, że ktoś próbował pana zamordować?

— Powiedziałem pewnemu policjantowi. Przyjaciel z Wydziału Spraw Kryminalnych. Wierzy mi mniej więcej tak samo jak pani. Ale przynajmniej poszedł pogadać z Glorią, moją sąsiadką. To na początek.

Olivia zmarszczyła brwi.

— Kim jest ten Rashad, o którym pan wspominał?!

— Jacques Rashad. Pojawił się znikąd jakieś dwa lata temu i teraz prowadzi w Soho mniej więcej połowę całego interesu związanego z prostytutką. Udało mu się jakimś sposobem zjednoczyć wszystkich sutenerów z Indii Zachodnich, chociaż on sam stamtąd nie pochodzi. Różne plotki krążą o tym, jak tego dokonał. Niektóre mówią, że wydał na to sporo pieniędzy, inne, że użył bardziej drastycznych metod, żeby nawiązał z nim współpracę. Wkrótce po tym jak się pojawił, z Soho zniknęło kilka znajomych czarnych twarzy.

— Dlaczego policja nie zabierze się za niego? — I spytała Olivia.

— Mogę pani podać mnóstwo przyczyn. Jest zbyt przebiegły, podpłaca policji, a może podoba im się sposób, w jaki Rashad oczyścił dla nich Soho. Proszę I wybrać.

— A jaka jest prawdziwa przyczyna?

— Mieszanka wszystkich trzech. Przynajmniej tali słyszałem. Dodajmy jeszcze, że niektórzy chłopcy z posterunku West End Central prawie co noc widziani są w klubie Rashada przy Greek Street.

Potrząsnęła z niesmakiem głową.

— A więc jaki związek istnieje pomiędzy tym..I tym gangsterem a doktorem Shayazem?

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. I jak tylko sil stąd wydam się, dowiem się tego. Obiecuję pani.

Przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

— Nie jest pan chyba w najlepszej kondycji, panie Causey. Zanim pana wypuszczą minie prawdopodobnie wiele tygodni. A nawet wówczas będzie pan musiał unikać stresów.

— Wyjdę za dziesięć dni — powiedział z pewnością, której wcale nie czuł. Nie miał też specjalnej ochoty, aby zaplątać się w tłum, otaczający Rashada. Miał nadzieję, że zanim stąd wyjdzie, Baxter posunie się z tą sprawą do przodu.

— Nawet gdyby to miało być tylko dziesięć dni, [o i tak nie mogę czekać tak długo — powiedziała Olivia.

Causey był rozczarowany, ale jednocześnie poczuł także pewną ulgę.

— Co ma pani zamiar zrobić? Wynająć innego detektywa?

Pokręciła przecząco głową.

— Mam zamiar dostać się do kliniki Shayaza.

— Nie da rady. Mają tam bardzo ścisłą ochronę. Straże, kamery telewizyjne.

— Wejdę tam jako pacjentka — powiedziała spokojnie Olivia.

W odpowiedzi na to, Causey spróbował usiąść w łóżku sztywno, ale wywołało to tylko atak bólu, od klatki piersiowej, przez bark aż do szyi. Upadł na poduszkę i ciężko łapał oddech.

— Niech pani nie będzie szalona. Niech się pani do tego nie miesza. Proszę zostawić to mnie...

— Panie Causey. Moja siostra zmarła w wieku dwudziestu pięciu lat, śmiercią nienaturalną. To jest pewne. Chcę się dowiedzieć, dlaczego i jak do tego doszło. Jeśli znajdę dowody, że doktor Shayaz jest w jakiś sposób odpowiedzialny za to, iż została zarażona tym robakiem w czasie pobytu w jego klinice, wówczas wytoczę mu proces o zaniedbanie swoich obowiązków

czy o cokolwiek innego. Ale żeby to zrobić, muszę dostać się do jego kliniki.

— Proszę, niech pani to zostawi zawodowcom, panno Finch.

Zaśmiała się drwiąco.

— Pan? Zawodowcem? Po jednym dniu pracy dla mnie kończy pan w szpitalu.

Zignorował jej obraźliwe słowa, zostawiając to sobie na później.

— Nie mam na myśli jedynie siebie. Już pani powiedziałem, że Baxter, mój przyjaciel gliniarz, sprawdzi, co wydarzyło się zeszłej nocy.

— Sam pan powiedział, że policjanci opłacani są przez tego Rashada.

— Tylko niektórzy. A Baxter jest z dzielnicy Holborn, nie z posterunku West End. Soho to nie jego rejon. Przynajmniej oficjalnie.

— Przykro mi, ale już się zdecydowałam — powiedziała.

Causey próbował zmienić taktykę.

— Niech pani posłucha. Shayaz panią rozpozna. Z pewnością widział panią w czasie śledztwa.

— Nie, nie widział. Nie składałam zeznań.

— Ale mimo wszystko pewnie panią widział. Będzie podejrziwy, będzie zastanawiał się, skąd panią zna.

Potrząsnęła głową.

— W śledztwie uczestniczyło wiele osób. Głównie dziennikarzy. Mass media były bardzo zainteresowane tą sprawą. A jeśli nawet mnie zauważył, to ucharakteryzuję się. Obetnę krótko włosy i zafarbuję je na czarno. I oczywiście zmienię nazwisko.

Próbował wymyśleć jakieś inne zastrzeżenia, ale w końcu powiedział tylko:

Panno Finch. Popełnia pani olbrzymi błąd.

Jego czwartym gościem była tego dnia Joyce Winters. Kiedy kątem oka ujrzał zbliżający się biały fartuch, pomyślał, że to kolejny lekarz. Był mile zdziwiony, gdy zobaczył, kto przyszedł.

— Cześć Joyce. Jesteś pociechą dla zbolałych oczu, potłuczonych żeber, kręgow i czego tam jeszcze.

Złożyła ręce i stała, powoli kręcąc głową.

— A więc to jednak ty — powiedziała z rezygnacją. — Kiedy w jednej z dzisiejszych gazet zobaczyłam twoje nazwisko, pomyślałam, że to musi być jakiś inny Edward Causey. A potem spytałam siebie samą, ilu też może być w Londynie ludzi o nazwisku Causey.

— No dobra, to ja. Zgadza się.

— Posłuchaj. Kiedy powiedziałam ci wczoraj, że w niedalekiej przyszłości będziesz leżał w szpitalu, nie spodziewałam się, że ta przepowiednia sprawdzi się tak szybko. Jest to trochę zatrważające. Nie podejrzewałam, że mam taką moc.

— Tak. Ciekaw jestem, co powiesz dalej, ale mój pobyt tutaj nie ma nic wspólnego z piciem. Chociaż przyznaję, że są na ten temat różne poglądy.

— Wiem. Rozmawiałam już z twoim lekarzem. A więc? Jaka jest TWOJA wersja wydarzeń?

Powiedział jej o wszystkim, włącznie z planem Olivii, dotyczącym wejścia do kliniki Shayaza w charakterze pacjentki. Ku jego zaskoczeniu, Joyce zaaprobowwała ten plan.

— Świetny pomysł — powiedziała. — Jeśli mogłabym jej w czymś pomóc, to poproś, żeby do mnie zadzwoniła. Gdyby chciała symulować jakieś dolegliwości, mogę jej doradzić w kwestii szczegółów.

— A więc podoba ci się jej plan?

— A czemu nie? Jeśli w tej klinice dzieje się coś złego, to jest to chyba dobry sposób, żeby sprawdzić, o co chodzi.

— Czy nie wydaje ci się, że może to być również trochę niebezpieczne? — zapytał.

— Z tego co o niej słyszę, jestem pewna, że potrafi dać sobie radę. W przeciwieństwie do niektórych ludzi. Nie będę wymieniać nazwisk.

Causey skrzywił się.

— Posłuchaj. Jeśli Shayaz powiązany jest z Rashadem, wówczas cała sprawa wygląda zupełnie inaczej. Oznacza to, że nie mamy już do czynienia jedynie z lekarzem, który zaniedbuje swoich pacjentów, ale z kimś, kto zamieszany jest w coś bardzo podejrzanego.

— Nie masz wystarczających dowodów na poparcie tego tak zwanego powiązania między nimi — powiedziała z powątpiewaniem. — Jedynie imię, które usłyszałeś, kiedy byłeś półprzytomny. To mogły być halucynacje.

— A więc ty także mi nie wierzysz — powiedział z oburzeniem.

— Po prostu trudno mi uwierzyć, że doktor Shayaz mógłby mieć jakikolwiek związek z tym oszustem, o którym mówisz.

— Kto wie. może handlują razem narkotykami. Jestem przekonany, że istnieje powiązanie. Właśnie dlatego nie podoba mi się pomysł Ołivii, żeby prowadzić z Shayazem grę.

— Jeśli cię to uspokoi, to będę jej pilnować, gdy dostanie się do kliniki. Codziennie będę do niej dzwonić. Jak tylko coś będzie nie w porządku, natychmiast jadę i wyciągam ją stamtąd.

Causey nie był do końca przekonany.

— Nie wiem... — mamrotał.

— No już, przestań się martwić. To ci zaszkodzi. Nie powinieneś robić teraz nic innego, tylko odpoczywać. Jak ci się tu podoba, co?

— Wcale nie lepiej niż to sobie wyobrażałem. Przyjrzyj się tej sali. Zupełnie jakbym był w kostnicy

— rozejrzał się wokoło. Z wyjątkiem Arnolda, który spomiędzy swoich słuchawek bezczelnie spoglądał na Joyce, cała reszta spała.

— Mimo wszystko lepiej niż w prawdziwej kostnicy — powiedziała.

— Czyżby? Tam przynajmniej nie każą ci jeść tego cholernego szpitalnego jedzenia.

Tego dnia swędzenie i pieczenie było szczególnie dotkliwe, przechodzące na wskroś klatki piersiowej. Wiedział, że drapanie pogarszało jedynie sprawę, ale jak zwykle nie potrafił się od tego powstrzymać...

Drapał się, rozmawiając przez telefon.

— Gwarantuję ci, że nie będziesz miał już więcej kłopotów z tym poturbowanym detektywem. Przez jakiś czas będzie leżeć w szpitalu. Podejrzewam, że stracił nagle całe zainteresowanie tobą i twoją kliniką.

Przez chwilę słuchał, a potem szorstko powiedział:

— Nie. Żadnych usprawiedliwień. Mam już dosyć twojej nieostrożności. Pod żadnym pozorem nie powinieneś był ich wypuścić z kliniki. Bez względu na to, jak długi okres dojrzewania przewidywałeś. To ty odpowiadasz za to niepowodzenie. A co z tym ostatnim przypadkiem? Czy udało ci się go już wytropić? — był niezadowolony. — W porządku. Daj mi znać natychmiast, kiedy go znajdziesz. I pamiętaj, Shayaz. Żadnych wpadek, bo wiesz co będzie.

Rzucił słuchawkę na widełki, wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po swym olbrzymim biurze — wysoki, szczupły Murzyn po czterdziestce. Byłby całkiem atrakcyjny, gdyby nie ciemne worki pod oczami. Wyglądał jak człowiek, który od wielu lat nie spał.

Zatrzymał się na chwilę i podszedł do dużego lustra, które stało w rogu pokoju. Rozpiął kamizelkę, a potem szybko rozchylił jedwabną koszulę, którą miał pod spodem. Na klatce piersiowej widniały czerwone

pręgi — jakby właśnie został wysmagany batem. Patrzył na nie z mieszaniną nienawiści i obrzydzenia. Po-tem uderzył w lustro pięścią.

— Wciąż nie odpowiada — powiedziała z zasko-kiem Jill. Trzymała tacę ze śniadaniem, którą przy-niosła z powrotem z pokoju numer 22.

— Dlaczego nie zapukałaś i po prostu nie weszłaś? — zapytała jej pracodawczyni, pani Fothergill.

— Na drzwiach wciąż wisi znak „Nie przeska-dzać”.

— Wisi tam od wczoraj rano, kiedy przyjechał. Od tego czasu nie daje znaku życia. Może jest chory? Mu-sisz tam pójść i zobaczyć, co się stało.

Jill, szczupła, nerwowa dziewczyna około osiemna-stu — dwiętnastu lat, zagryzła dolną wargę.

— Wolałabym, żeby pani tam poszła.

Pani Fothergill wydała teatralne westchnienie.

— Doprawdy, dziewczyno! Jeśli chcesz odnieść sukces w tym interesie, nie możesz być taka nieśmiała. No dobrze już, w takim razie chodźmy. Jill podążyła za swoją korpulentną szefową na drugie piętro. Pani Fothergill przemaszerowała korytarzem i energicznie zastukała do pokoju numer 22.

— Panie Pearson! — zawołała. — Nie śpi pan już? Zaczekała, ale nie było żadnej odpowiedzi.

— Pewnie jest chory — powiedziała rozdrażnio-nym głosem. — Muszę ci powiedzieć, że nie podobał mi się wczoraj jego wygląd. Miał taką zielonkawą cerę.

Wyciągnęła swój prywatny klucz i otworzyła drzwi.

— Panie Pearson! — zawołała znowu, otwierając drzwi i zaglądając do środka. — Czy chce pan śniada-nie? Jest pół do jedenastej.

Pokój, pogrążony był w ciemnościach. Zerkając przez ramię pani Fothergill, Jill dołąła dostrzec na

łóżku ciemną sylwetkę. Nie poruszyła się ona nawet wtedy, kiedy pani Fothergill weszła do pokoju i dziarskim krokiem podeszła do okna. Odsłoniła zasłony, starając się robić jak najwięcej hałasu. Jill widziała przez okno szarą taflę jeziora Katrine. Padał deszcz, powietrze zasnute było delikatną mgiełką.

Jill pozostała w drzwiach, wciąż trzymając tacę ze śniadaniem, a pani Fothergill odwróciła się w stronę nieruchomej postaci, leżącej na łóżku. Jill nie była pewna, ale wydawało jej się, że koc poruszył się lekko.

Pani Fothergill potrząsnęła mężczyzną za ramię.

— Panie Pearson! Proszę się obudzić!

Koc poruszył się znowu. Tym razem Jill była tego pewna. Odetchnęła z ulgą. Mężczyzna na szczęście żył.

Zobaczyła, jak pani Fothergill schyla się i odkrywa pościel. Potem jej pracodawczyni wydała dziwny okrzyk i upadła na podłogę. Jej upadkowi towarzyszył trzask kości. Leżała cicho.

Jill była tak zaskoczona, że przez chwilę stała zupełnie sparaliżowana. Potem niepewnym głosem powiedziała:

- Pani Fothergill?

W pokoju panowała cisza. Cały hotel był tak cichy, jak gdyby była w nim jedyną osobą. Przełamując swoją niechęć, weszła do pokoju przyciągana przez jakąś nieodpartą siłę, nad którą nie miała żadnej kontroli. Podeszła do łóżka i z wielkimi oporami spojrzała na pana Pearsona.

Jego oczy i usta były otwarte. Wyglądał tak, jakby bezgłośnie wzywał pomocy. Rozpięta bluza od pidżamy ukazywała jamę, w której powinien znajdować się jego żołądek. W tej jamie wiła się masa czegoś, co wyglądało jak biała wstążka. Miała około 2,5 centymetra szerokości, była pofałdowana i pokryta śluzem. Jill zobaczyła, że masa ta składa się z bardzo wielu odrębnych segmentów, każdy o długości 30—60 centyme-

trów. Wszystkie wiły się jak oszalałe. Wyglądało to jak gniazdo rozdrażnionych węży.

Zimna krew nie opuściła jej aż do chwili, gdy jedno z tych stworzeń zawisło nagle w otwartych ustach mężczyzny.

Jej pęcherz puścił pierwszy. Potem zwymiotowała na tacę ze śniadaniem.

1.

Obydwie kobiety spoglądały na siebie z zakłopotaniem.

— Nie napiłaby się pani czegoś? — trochę nienaturalnym głosem Olivia Finch spytała Joyce Winters. — Kawy, a może czegoś mocniejszego?

— Jeśli można, to z przyjemnością napiłabym się wytrawnej sherry — powiedziała Joyce.

— Oczywiście.

Kiedy Olivia poszła do barku, Joyce rozejrzała się po pokoju i powiedziała:

— Urocze mieszkanie.

— Mieszkała w nim Laura — powiedziała Olivia. — Sprzedam je, jak tylko rozwikłam sprawę jej śmierci.

Uwadze Joyce nie uszła oskarżycielska nuta w jej głosie.

— Proszę posłuchać. Jestem pewna, że wydaje się pani, iż w czasie dochodzenia powinnam powiedzieć więcej. Ale proszę mi wierzyć, że w tamtych okolicznościach posunęłam się tak daleko, jak to było możliwe. Powiedziałam sędziemu śledczemu, że dziwi mnie, iż Shayaz nie wykrył tego robaka, ale bez bardziej konkretnych dowodów nie miałam podstaw, aby oskarżyć go o brak kompetencji.

Olivia podała jej kieliszek sherry. Sama wzięła drugi.

— W porządku — powiedziała tym samym, chłodnym tonem. — Nie musi pani niczego wyjaśniać.

Wiem wszystko na temat tego, jak pracują lekarze. I nie mam tu na myśli samych zabiegów chirurgicznych. Bo cóż, w każdym z dużych szpitali państwowych można umrzeć na zatrucie pokarmowe. Rodzina zmarłego będzie bezradna, nie zrobi nic, ponieważ szpitali nie można postawić w stan oskarżenia. Dzięki Bogu, klinika Shayaza jest prywatna.

Joyce westchnęła.

— Ed Causey powiedział pani, że chętnie pomogę, jeśli tylko będę mogła. I dlatego przyszedłam tu dziś wieczorem. Zależy mi tak samo jak pani, by odkryć, czy Shayaz działa nieprofesjonalnie.

— Czyżby? — spytała zimnym głosem Olivia. — Wątpię w to. W końcu to moja siostra zmarła.

— Chce pani mojej pomocy czy nie?

Olivia spojrzała na nią i wyraz jej twarzy złagodniał.

— Przepraszam. Tak, oczywiście, że chcę. Musi mi pani wybaczyć, żyję w ogromnym napięciu. Nic tylko przeszkody i przeszkody. A potem, kiedy ten głupi facet spadł ze schodów...

— Nie odnoszę wrażenia, żeby ten człowiek był głupi — powiedziała Joyce. — A poza tym mówię, że zrzuciono go ze schodów.

— Pani mu wierzy? — zapytała Olivia unosząc brwi. — On jest najwyraźniej alkoholikiem. A w ogóle, to zrobiłam błąd wynajmując go. Zbyt późno dowiedziałam się od mojego radcy prawnego, że od czasu, kiedy ostatni raz go zatrudniał, Causey bardzo się stoczył.

Joyce pokiwała głową.

— Muszę przyznać, że teza, iż doktor Shayaz mógłby mieć cokolwiek wspólnego z gromadą sutenerów z Soho, jest dla mnie zbyt śmiała. Ale nie powinna pani tak szybko spisywać Eda na straty.

— To moja decyzja i już ją podjęłam — powie-

działa stanowczo Olivia. — A pani jaką ma dla mnie radę?

— Po pierwsze, musi pani przekonać Shayaza, że jest pani w stanie pokryć wszystkie koszty. Jeśli chodzi o pacjentów przyjmowanych do kliniki, to jest bardzo wybredny. Muszą być oni albo bogaci, albo chociaż zamożni.

— Myślę, że zaliczam się do tej drugiej kategorii. Nasi rodzice zostawili nam pokaźną sumkę. Jak pani myśli, w jaki inny sposób Laura zostałaby jego pacjentką?

— No dobrze, ale jak wystawi mu pani czek bez ujawnienia swojej prawdziwej tożsamości?

— Już to przemyślałam. Wciąż jeszcze mam rachunek na nazwisko po mężu — D. Wilkinson. Przełałam na niego pieniądze.

— Jest pani zamężna?

— Byłam. Rozwiodłam się dawno temu. D oznacza Douglas. Powiem, że mam na imię Donna albo Deborah.

— Gdzie on teraz jest?

Olivia zmarszczyła brwi.

— Kto?

— Pani były mąż.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia i nic mnie to nie obchodzi. Nie rozstaliśmy się jak przyjaciele. Przeciwnie...

Na wspomnienie tego pokręciła głową i powiedziała cynicznie:

— Pani Douglas Wilkinson. Czy może pani sobie mnie wyobrazić jako panią Douglas jakąś tam?

— Nie — powiedziała szczerze Joyce. Wyjęła z torebki buteleczkę pigułek i podała ją Olivii.

— Przyniosłam to dla pani. To poldine methylsulphate.

Olivia patrzyła na nie podejrzliwie.

— Jak to działa?

— Zatrzymuje wydzielanie kwasu żołądkowego. Używa się tego przy leczeniu wrzodów, ale w pani przypadku będzie wywoływać objawy achlorhydrii.

Olivia wzięła buteleczkę.

— To znaczy, mówiąc normalnym językiem...?

— Chroniczny brak kwasu chlorowodorowego, co powodować może ciężką niestrawność.

— Rozumiem — ze znużeniem powiedziała Olivia. Patrzyła na pigułki — czy mają jakieś działanie uboczne?

— Tak, ale łagodne. To zależy zresztą od dawki. Suchość w ustach, spowolnione oddawanie moczu, kłopoty ze wzrokiem, gwałtowne i nierówne bicie serca, bóle głowy, odbijanie i... i obniżona potencja seksualna.

Olivia uśmiechnęła się do niej krzywo.

— Nie sądzę, aby ten ostatni skutek stanowił dla mnie w tej chwili jakąś niedogodność.

— Proszę pozostać przy trzech tabletkach dziennie, wówczas działanie uboczne będzie łagodne. Lecz jeśli zwiększona dawka pomogłaby przekonać Shayaza, wtedy będzie pani naprawdę chora. Wszystko zależy od pani. Proszę jednak nie brać więcej niż sześć tabletek dziennie.

Olivia skinęła twierdząco głową i położyła buteleczkę na stoliku. Potem podniosła swój kieliszek sherry. Pociągnęła mały łyk i powiedziała:

— Jest pani bardzo atrakcyjna.

— Ee... dziękuję — powiedziała zaskoczona Joyce.

— Jest pani mężatką? — zapytała Olivia, wpatrując się w twarz Joyce.

— Nie. Kilka lat temu o mało nie wyszłam za mąż. Ale wspólnie z Paulem — to mój chłopak, który jest neurochirurgiem — doszliśmy do wniosku, biorąc pod uwagę naszą pracę zawodową, że to małżeństwo rozbiłoby prawdopodobnie nasz związek.

Olivia nadal na nią patrzyła.

— Czy wciąż się pani z nim spotyka?

— Z Paulem? Tak, oczywiście. Nie mieszkamy razem, ale spotykamy się kilka razy w tygodniu.

Pod natarczym spojrzeniem Olivii, zaczynał czuć się nieswojo. Nastąpiła długa chwila milczenia, a potem Olivia pochyliła się ku Joyce i położyła dłoń na jej udzie.

— Czy nie zechciałaby pani zostać na kolacji. Miałam zamiar przyrządzić kurczaka. Są dwie butelki niezłego czerwonego wina.

Wzburzona Joyce potrząsnęła głową.

— Dziękuję, nie — powiedziała pospiesznie. -I Ja... ee... umówiłam się na kolację z Paulem.

Spojrzała na zegarek.

— Jeśli wkrótce nie wyjdę — spóźnię się.

Olivia wycofała rękę z uda Joyce i usiadła rfil swoim krześle.

— Co za wstyd. I wielka szkoda — powiedział uśmiechając się smutno.

Następnie dodała:

— W takim razie równie dobrze mogę zacząć od tego.

Otworzyła buteleczkę z tabletkami, włożyła jedni do ust i popiła sherry.

Nie może pan zasnąć, panie Causey? — zapytał delikatny głos.

To czarna pielęgniarka, Jane. Cause spojrział na nią. I

— A kto mógłby w tej piekielnej dziurze? Co z nim? Cały czas jęczy — wskazał na pacjenta chorego na serce. — A ten? Wydaje dźwięki jak zepsuty tłumik — patrzył na mężczyznę leżącego pod tlenem.

— Obaj są bardzo chorzy — powiedziała Jane.

— Nie musi mi pani tego mówić — warknął. -M

fo ja spędzam tu z nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę. A Adolf Hitler, o ten...

Wskazał na śpiącego obok „skina”.

— Dobrze, że chociaż biedny Des przestał krzyczeć.

Des, taksówkarz, który sprawiał wrażenie, że ma tak radośnie fatalistyczne nastawienie do swojej choroby, całą noc zakłócał swoim krzykiem spokój Causeya.

— Pan Spencer wkrótce zostanie prawdopodobnie przeniesiony do bocznej sali. Tak samo pan Bailey — powiedziała Jane, mając na myśli chorych na serce i płuca.

— Boczna sala?

— Przenosimy tam pacjentów, których stan nie wykazuje poprawy — wyjaśniła. — Zazwyczaj boczne sale przeznaczone są dla tych, którzy mają być wkrótce wypisani lub dla pacjentów bliskich śmierci.

— Zapamiętam to sobie — wymamrotał. — Może mógłbym dostać jeszcze jedną pigułkę na sen, co?

— Przykro mi, ale dostał pan już swoją dawkę.

— Cholera, nie zniósę tego. Muszę się napić! Mam oznaki głodu alkoholowego. Cały jestem obolały. Niedługo zobaczę nietoperze, zjadające myszy, tak jak w „Długim weekendzie”. Widziała to pani?

— Co takiego?

— „Długi weekend”, taki film.

Pokręciła głową.

— Nie, nigdy o nim nie słyszałam.

— Proszę posłuchać — powiedział zniżając głos. — Gdybym obiecał pani 10 funtów, czy przemyciłaby pani dla mnie jutro pół butelki Bellsa?

— Przykro mi, panie Causey, ale straciłabym pracę.

— 20 funtów? 25?

Roześmiała się.

— Proszę mi wybaczyć, panie Causey, ale mam jeszcze trochę pracy.

Causey patrzył jak wykonywała swoje obowiązki — sprawdziła puls Stanowi, Jimmiemu i Desowi, opróżniła zbiorniki podłączone do cewnika, upewniła się, czy kroplówki działają prawidłowo. Zmieniła też podkład Desa i jego woreczek podłączony do sztucznego oddechu. Kiedy skończyła powiedziała:

— Mam nadzieję, że płacą pani za tę pracę mnóstwo pieniędzy.

— Nazywa pan 90 funtów tygodniowo mnóstwo pieniędzy?

— Tylko tyle? Czemu do diabła pani tu pracuje?

— Panie Causey. W moim przypadku były dwie możliwości: albo to, albo sprzedawać na ulicy swój tyłek.

— Jest pani pewna, że to była słuszna decyzja?

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

Wie pan, codziennie zadaję sobie to pytanie.

Shayaz nerwowo otarł pot z łysiny, a potem wykręcił numer Rashada. Jak zwykle tamten niemal natychmiast podniósł słuchawkę. O ile mu było wiadomo, Rashad nigdy nie spał.

— Tu mówi Shayaz. Mam złe wiadomości.

Po drugiej stronie panowała cisza.

— Chodzi o Pearsona — mówił dalej Shayaz. — Pojawił się w Szkocji, ale jest już za późno. Słyszałem o tym w wiadomościach radiowych. W pokoju hotelowym znaleziono mężczyznę, którego ciało wypełnione było mnóstwem tasiemców. Nie ujawniono nazwiska, ale to na pewno Pearson. Zaraziłem go odmianą gatunku *Diphyllobothrium latum*.

Po chwili Rashad powiedział cichym głosem:

— Jeśli skojarzą go z twoją kliniką...

— Nie skojarzą — szybko powiedział Shayaz. — Usunąłem z kartoteki wszystkie wzmianki na jego temat. I przezornie nie zrealizowałem żadnego z jego

czeków. Tym osobom z mojego personelu, które miały z nim jakikolwiek kontakt, można zaufać.

— A jeśli komuś powiedział? Przyjacielowi czy...

— Nie, na pewno nie — zapewnił go Shayaz. — Był doskonałym materiałem do badań. Żadnych bliskich krewnych, mieszkał sam. Tak jak Wingate, ukrywał swój homoseksualizm. Rzadkie kontakty seksualne, wszystkie przypadkowe... Nie, nie musimy się niczego obawiać.

— MY nie musimy? — spyta! ironicznie Rashad.

— Przeciwnie, to TY musisz się bać, jeśli plan się nie powiedzie. Dopilnuję tego.

— Ale to nie była moja wina, Rashad — bronił się Shayaz. — Gdybyś tylko nadal dostarczał mi koniecznych do badań osobników... Mówiłem ci, że wykorzystywanie pacjentów z mojej kliniki jest zbyt niebezpieczne.

— Liczba osób, które mogły zniknąć była ograniczona — powiedział chłodno Rashad. — Mogłem brać tylko nowych przybyszów, tych, którzy przyjechali spoza Londynu i nie zdążyli jeszcze nawiązać zbyt wielu kontaktów. Ale kiedy twoje wymagania dalej rosły, nie było wyboru.

Shayaz wciąż pocierał swoje wilgotne czoło.

— Trudno ode mnie wymagać, abym wiedział, że ostatnia seria zakończy się pomyślnie i że tak szybko się to rozwinie. Gdybym wiedział, to przecież nie pozwoliłbym im opuścić kliniki.

— Powinieneś być wiedzieć. Jesteś naukowcem.

— Wymagasz ode mnie cudów.

— Wymagam rezultatów. Ile to jeszcze potrwa?

— Moglibyśmy wykorzystać obecną generację — z wahaniem powiedział Shayaz. — Ale wolałbym zrobić końcową serię doświadczeń, żeby upewnić się, czy czynnik wzrostu jest dokładny.

— Skoro tak twierdzisz. Ale pospiesz się. Chcę jak najszybciej przejść do II Etapu Programu.

— Będę potrzebował więcej osobników. Co najmniej dwóch.

— W takim razie lepiej będzie, jeśli ich znajdziesz — powiedział Rashad. — A co z Wingatem? Nie możesz wykorzystać go ponownie?

— Nie. Jest zbyt osłabiony. Potrzebuję nowych osobników.

— Więc pozbądź się go. I to szybko.

— Tak, myślę, że musimy to zrobić — powiedziała z niechęcią Shayaz.

— Słusznie. Ale to TY musisz. I upewnij się, że okoliczności jego śmierci nie wzbudzą żadnych podejrzeń.

— Oczywiście — westchnął Shayaz. — Ale gdzie mam znaleźć dodatkowych osobników, których potrzebuję?

— To już twój problem — powiedział Rashad odłożył słuchawkę.

Kiedy do pokoju wszedł doktor Shayaz, Olivia była spięta. Przywitał się z nią uprzejmie i usiadł za biurkiem, a jego zachowanie nie wskazywało na to, że ją rozpoznał. Przeciwnie, wyglądał na roztargnionego, jak gdyby jego umysł zaprzątnięty był sprawami znacznie ważniejszymi niż wizyta nowej pacjentki. Olivia zauważyła także, że wyglądał gorzej niż w czasie śledztwa.

Przeczytał kwestionariusz, jaki zostawiła jego recepcjonistce, a potem błysnął zawodowym uśmiechem.

— A zatem, pani Wilkinson, zanim zajmiemy się pani problemem, chciałbym zadać kilka pytań. Po pierwsze, jak trafiła pani do naszej małej, skromnej kliniki? Czy ktoś nas pani polecił?

— Tak. Hotel, w którym się zatrzymałam — „Ritz”. Kiedy źle się poczułam, poprosiłam kogoś z

recepcji, żeby doradził mi dobrego specjalistę. Wymienił między innymi pańskie nazwisko.

— Rozumiem — powiedział i ponownie spojrzął na kwestionariusz. — Jest pani Amerykanką? Przyjechała pani w odwiedziny?

— Zgadza się. Jestem na wakacjach. Można to tak określić.

— To znaczy?

— Mój świętej pamięci mąż był Anglikiem. Mieszkał tu kiedyś i dlatego wpadłam w swego rodzaju nostalgię. Mąż zmarł w zeszłym roku. Wypadek samochodowy.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — A pani rodzice? Mieszkają w Ameryce?

— Oni również nie żyją.

Spojrzał na nią z rosnącym zainteresowaniem.

— Ma pani rodzeństwo?

Pokręciła przecząco głową, zastanawiając się, dlaczego zadaje jej tego typu pytania. Shayaz zaznaczył coś w kwestionariuszu.

— Kto zatem jest pani najbliższym krewnym?

Pomyślała chwilę.

— Myślę, że to byłby wujek Kurt. Wuj ze strony matki. Mieszka w Wisconsin. Nie widziałam go od wielu lat.

— A tutaj nie ma pani żadnej rodziny?

— Nie. To znaczy mieszka tu oczywiście rodzina mojego nieżyjącego męża, ale nie utrzymujemy ze sobą żadnych kontaktów. Nigdy mnie nie akceptowali i dlatego nasze stosunki zawsze były chłodne.

— Czy wiedzą, że jest pani w kraju?

Zmarszczyła brwi.

— Nie. A dlaczego pan pyta?

— To tylko dla statystyki — odpowiedział pospiesznie. — Lubię być możliwie dokładny.

Opromienił ją jeszcze piękniejszym uśmiechem niż przedtem i powiedział:

- A teraz proszę mi powiedzieć, w czym problem.

Olivia wyrecytowała objawy, których nauczyła j Joyce. Dzięki tabletkom rzeczywiście odczuwała ni które z nich. Kiedy skończyła, Shayaz zapytał:

— Czy skarżyła się pani na to wcześniej?

— Nie, panie doktorze. Jak pan myśli, co to może być? Wrzód?

— Jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć, droga pani. Jeśli zechciałaby się pani rozebrać za parawanem i nałożyć fartuch, zbadałbym panią.

Olivia rozbierała się wolno. Tej części obawiała się najbardziej. Na samą myśl, że mógłby jej dotyczyć jakiś mężczyzna — nawet jeśli byłby to tylko lekarz — czuła się gorzej. Nie miała jednak wyboru, musiała przez to przejść. Był to jej dług wobec Laury. Założyła biały, bawełniany fartuch wycięty na plecach i z uczuciem niepewności wyłoniła się zza parawanu. Shayaz poprosił ją, aby usiadła na specjalnym stole, przeznaczonym do badań. Zrobiła to. Następnie położyła się na chłodnym prześcieradle. Każdy jej mięsień był napięty.

Jednak nie było to tak straszne, jak się tego spodziewała. Nawet badanie pochwy. W całym tym badaniu doktor Shayaz działał jak profesjonalista — jego dotyk był zręczny i skuteczny.

Kiedy skończył, uśmiechnął się do niej i powiedział:

— Z wyjątkiem nierównego bicia serca i trochę podwyższonego ciśnienia krwi, nie mogę u pani stwierdzić żadnych nieprawidłowości. Wygląda na to, że jest pani zupełnie zdrowa, pani Wilkinson.

— To czemu w takim razie mam te kłopoty z żołądkiem, panie doktorze?

— Nic nie mogę powiedzieć, dopóki nie zrobimy dokładniejszych badań. — W zamyśleniu potarł podbródek. — Najlepiej będzie, jeśli pozostanie pani przez kilka dni w klinice. Im wcześniej odkryjemy przyczynę pani dolegliwości, tym lepiej.

Udawała, że zastanawia się nad tym, co powiedział.

— Zrobię to, co uważa pan za stosowne, doktorze.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się z zadowoleniem. — Poproszę pannę Bentley, moją recepcjonistkę, żeby załatwiła z panią formalności. A zatem możemy rozpocząć badania jeszcze dzisiaj. Postępuje pani bardzo rozsądnie, pani Wilkinson.

Pokój, do którego pielęgniarka zaprowadziła Olive, bardziej przypominał luksusowy hotel niż szpital. Jednak biorąc pod uwagę sumę, którą musiała zapłacić, nie była tym szczególnie zaskoczona.

Dziwnie było kłaść się do łóżka w środku dnia, w sytuacji, gdy nic jej nie dolegało, lecz leżąc na poduszkach Olivia nie mogła oprzeć się uczuciu samozadowolenia. Pierwszy etap swojego planu zrealizowała bez trudu. Drugi etap rozpocznie się wcześniej rano. Czekała na to z niecierpliwością.

Mickey miała na sobie czerwoną satynową marynarkę z niewiarygodnie szerokimi ramionami i bardzo obcisłe, czarne dżinsy, wzdłuż nogawek nabijane srebrnymi ćwiekami. Pośrodku krótkich czarnych włosów widniało jaskrawozielone pasemko. Causey zastanawiał się, czy była „punkiem”, „post-punkiem”, „quasi-punkiem” czy jeszcze kimś innym. Nie śmiał jej o to zapytać, bo wówczas przewróciłaby oczami i jęknęła — „Och, tato...” takim tonem, że poczłuby się starym przykiem.

Włożyła do ust kolejną z czekoladek, które przyniosła dla ojca, i powiedziała z pełnymi ustami:

— Zabawnie wyglądasz z tym czymś na szyi.

— Ubrałem to specjalnie, żeby cię rozbawić. No i co z twoją Szkołą Plastyczną?

Przewróciła oczami.

— Całkiem dobrze, co? Ciągłe trzymasz się z daleka od narkotyków?

Znowu przewróciła oczami i powiedziała:

— Och, tato...

— Czy to głupie z mojej strony, że od naszego ostatniego spotkania nie zaczęłaś brać heroiny?

— Wiesz tato, naprawdę zadziwia mnie, że masz odwagę gadać o narkotykach — powiedziała biorąc kolejną czekoladkę. — Przecież sam bez przerwy pijesz i palisz.

— To co innego.

— Aha!

— Alkohol i fajki nie są tak niebezpieczne jak heroina.

— Spróbuj powiedzieć to jemu — wskazała na starszego mężczyznę, leżącego pod tlenem.

Casey żałował, że powiedział jej wcześniej, kto na co choruje. Ale jej niezdrowe zainteresowanie pacjentami, leżącymi na sali, wymagało zaspokojenia.

— Spójrz na siebie — mówiła dalej. — Pijaństwo prawie cię zabiło.

— Mówiłem ci, że nie spadłem ze schodów, zepchnięto mnie. A właściwie zrzuciono...

— Tak, tak. Jasne — powiedziała przewracając oczami.

Casey zmienił temat.

— A co u twojej mamy?

— W porządku.

— Co z tym durniem, za którego wyszła?

— Z którym?

— O Boże, ależ ty jesteś podobna do matki. Wiesz D tym, co? Obie macie cięty język.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

— Ach, masz na myśli tego drugiego durnia. Eryca Kretyna. Taki sam jak zawsze. Skretyniały.

Casey chrząknął. Minęło już ponad dwanaście lat, ile wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po tym, jak

żona zostawiła go dla sprzedawcy samochodów. Spojrzał na swoją córkę. Miała siedemnaście lat. Niewiarygodne.

— Podoba mi się twoja szminka — powiedział cierpko. Zawsze lubiłem czarny kolor.

Przewróciła oczami.

— Och, tato...

Kiedy Mickey wyszła, Arnold zdjął słuchawki i powiedział:

— Nie wiem, jak taki stary pierdoła, jak ty, to robi. Te wszystkie pieprzone baby, które masz...

— Ta ostatnia — to moja córka — poinformował go Causey.

— Naprawdę? Ale i tak nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ją posunąć. Wygląda na taką, która naprawdę to lubi.

Causey powiedział:

— Jeszcze raz wspomnisz o mojej córce i nieważne, czy mam połamana szyję, czy nie — wyleżę z tego łóżka i pierwszym basenem, który mi się nawinie pod rękę, stłukę cię na kwaśne jabłko.

— Odpieprz się — powiedział Arnold i z powrotem założył słuchawki.

Dysząc z wściekłości, Causey otworzył egzemplarz „Guardiana”, który po długich błaganiach zostawiła mu Mickey. Musiał koniecznie coś sobie poczytać. Jego wzrok przyciągnął artykuł na czwartej stronie. Usiadł jednym podskokiem, nie zwracając uwagi na ból, jaki to wywołało.

— O Boże! — krzyknął.

Arnold spojrział na niego podejrzliwie.

— O co chodzi?

— Piszą tu, że w hotelu w Szkocji znaleziono zwłoki męczyzny — były wypełnione ogromnymi tasiecmami.

— No i co z tego?

— Aa... Wracaj do swojej muzyki — powiedział Causey, kilka razy przyciskając guzik nad łóżkiem.

— No, nie rozumiesz? Musi być jakiś związek — krzyczał Causey.

Baxter wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem, dlaczego miałoby tak być! Ten facet zmarł w Szkocji.

— Ale mieszkał w Londynie, tak podaje gazeta. I mogę się założyć, że zaraził się tym robactwem w taki sam sposób jak Laura Finch.

— Ależ to nie jest nawet ten sam gatunek robaka. Pani Finch miała pojedynczego, dużego tęgoryjca. A ten nieszczęśnik był cały wypełniony tasiemcami.

Causey westchnął.

— Nieszłuchanie ogromnymi tasiemcami, prawda? Posłuchaj: jeśli dwie osoby umierają wskutek zarażenia ogromnymi robakami pasożytniczymi, to bez względu na gatunek robaków uważam, że pomiędzy tymi przypadkami istnieje wyraźny związek. No więc jak, pogrzebiesz trochę? Dowiedz się, czy ten Pearson przebywał kiedykolwiek w klinice Shayaza.

Baxter podrapał się po głowie.

— No dobra, w porządku. Ale mówię ci, że to strata czasu.

— A co z Gloria? Rozmawiałeś z nią?

— Tak. I muszę przyznać, że chociaż w tym przypadku miałaś rację. Ona coś ukrywa. I boi się.

— Gloria? Ona nie boi się niczego. Myślę, że raczej ją przekupiono.

— Na pewno nie. Potrafię to rozpoznać. Ktoś potwornie ją nastraszył.

— No więc wierzysz teraz, że chłopcy Rashada próbowali mnie zabić?

— No cóż, przyznaję, że winien ci jestem przeprosiny. Myślę, że ty jednak nie był wypadek, ale nie na-

legaj, żebym powiedział coś więcej. Wciąż uważam, że to szaleństwo łączyć Rashada z Shayazem.

Causey spojrział groźnie.

— W takim razie co zrobisz dalej?

— Mam zamiar pogadać trochę z chłopcami z posterunku West End Central. Zorientuję się, jakie są ostatnie pogłoski na temat Rashada.

— Uważasz, że to rozsądne? — z zaniepokojeniem zapytał Causey. — Wiesz równie dobrze jak ja, że niektórzy z tej bandy na West End, siedzą u Rashada w kieszeni.

— Wiesz Ed, na stare lata stałeś się cyniczny — powiedział Baxter. — To, że sam brałeś, kiedy byłeś w policji, nie oznacza, że my wszyscy jesteśmy przekupni.

— Nie byłem przekupny, dobrze o tym wiesz — zaprotestował ze złością Causey. — Byłeś zamieszany w te same machinacje co ja. Po prostu miałem pecha. Wysocy urzędnicy potrzebowali kozła ofiarnego, a ja...

Baxter podniósł rękę.

— No już dobrze, dobrze. Uspokój się. Przepraszam, że zacząłem ten temat. Posłuchaj, obiecuję ci dyskrecję. W ogóle nie wymienię twojego nazwiska. Po prostu rozjrzę się i zobaczę, co ostatnio działo się z Rashadem. Zgoda?

— No dobra — westchnął, wciąż jeszcze zły, Causey. — I uważaj na siebie. Rashad prowadzi ostrą grę.

— Nie martw się, chłopie — wesoło powiedział Baxter. — Nikt mnie nie zrzuci ze schodów.

Kilka godzin później Causey przeżył drugi tego dnia wstrząs spowodowany lekturą gazety. Tym razem był to londyński „Standard”, który zawierał krótką wzmiankę o śmierci Jamesa Wingate’a handlarza dziełami sztuki. Zmarł on w prywatnej londyńskiej klinice z powodu komplikacji związanych z perforacją jelita.

Olivia spojrzała na zegarek. Dochodziła druga po północy. Zdecydowała, że nadszedł czas działania. Podniosła się z łóżka i szybko nałożyła koszulę, którą dostała w klinice. Czuła lekkie mdłości. Podejrzywała, że to z powodu mlecznego płynu, który trochę wcześniej dał jej Shayaz. Płyn miał wstrętny smak, a posmak, jaki pozostał jej w ustach był jeszcze gorszy. Shayaz powiedział, że to w ramach przygotowania do prześwietlenia żołądka, jakie miał zamiar zrobić jej rano.

Nadsłuchiwała pod drzwiami, ale nic nie usłyszała. Właściwie odkąd tu przyjechała, nie słyszała z zewnątrz żadnych odgłosów. Wyglądało na to, że wszystkie pokoje w klinice były dźwiękoszczelne.

Uchyliła lekko drzwi i wyrzała na korytarz. Był pusty, ale jasno oświetlony. Właściwie nie oczekiwała, że klinika pogrążona będzie w ciemnościach. Głęboko wciągnęła powietrze i wyszła na korytarz. Gdy pokazywano jej drogę do pokoju, starała się zachować orientację w terenie. Była teraz przekonana, że ma w głowie rozkład kliniki.

Na końcu korytarza zatrzymała się i nasłuchiwała. Było cicho. Zdawała sobie jednak sprawę, że gruby dywan, leżący na podłodze, i tak tłumiłby odgłos kroków. Na wypadek, gdyby ktoś ją przyłapał, przygotowała sobie wymówkę, że poczuła głód i postanowiła odnaleźć kuchnię.

Skręciła na lewo w kolejny korytarz, który miał ją zaprowadzić do schodów. Nagle usłyszała dzwonek, sygnalizujący, że winda — którą właśnie mijała zatrzymuje się na tym piętrze. Przebiegła kilka metrów, dzielących ją od końca korytarza. Kiedy skręcała w stronę schodów, usłyszała, jak zamykają się drzwi windy.

Czekała, z trudem chwytając oddech. Usłyszała świst wykrochmalonego materiału, prawdopodobnie ocierającego się o pończochy pielęgniarki. Ponieważ wydawało się, że dźwięk ten się oddala, zaryzykowała i

rozejrzała się wokół. Zobaczyła, że pielęgniarka poszła w przeciwnym kierunku. Mając nadzieję, że nie szła do jej pokoju, Olivia zaczęła jak najciszej schodzić na dół.

Tak jak oczekiwała, hall był pusty. Przemknęła obok recepcji i weszła do przeszkłonego pokoju. Już wcześniej zauważyła tam rząd szafek, w których przechowywano dokumenty. Odszukanie kartoteki Laury nie zajęło jej dużo czasu. Przeczytała ją szybko, lecz w miarę czytania cała sprawa stawała się dla niej coraz bardziej niezrozumiała.

Przeczytała wszystko ponownie, następnie włożyła kartotekę na swoje miejsce i zamknęła szufladę. Kierując się ku schodom była głęboko zamyślona. Nie usłyszała zbliżających się delikatnych kroków. Dopiero kiedy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń, zdała sobie sprawę, że została przyłapaną.

9.

Joyce wyglądała na zmartwioną.

— Nie podoba mi się to — powiedziała. — Zdecydowanie dzieje się coś dziwnego.

— Cieszę się, że to mówisz — powiedział z irytacją Causey. — Już najwyższy czas, żeby ktoś to przyznał.

Oddała mu gazetę.

— Wingate umarł z powodu perforacji jelita, a przecież Shayaz powiedział kierowcy, że chorował na anoreksję — pokręciła głową.

— Musisz powiedzieć Olivii, żeby opuściła klinikę. I to natychmiast.

— Zadzwońię do niej, ale myślę, że się na to nie zgodzi. Jest bardzo zawzięta. Kiedy rozmawiałam z nią dzisiaj, wydawała się bardzo podekscytowana.

— Co powiedziała?

— Właśnie z tym do ciebie przychodzę. Wczoraj w nocy udało jej się przeczytać kartotekę siostry. A teraz

słuchaj uważnie — na początku Laura Finch przyszła do kliniki na leczenie cysty jajnika. Ani słowa na temat anoreksji, aż do czasu jej następnej wizyty, która miała miejsce jakieś dwa tygodnie po wyjściu z kliniki. Strasznie mało czasu jak na to, żeby rozwinęła się anoreksja...

Casey nerwowo dotykał palcami piankowo-gumowego kołnierza, który miał na szyi. Nie cierpiał go. Był niewygodny, uwierał go, i Casey miał wrażenie, że dusi się w nim.

— Czy to nie wystarczający dowód na to, że Shayaz działa nieprofesjonalnie? W śledztwie nie wspominał ani słowem o cyście jajnika.

— Może i tak, gdybyśmy tak mogli dostać się do kartoteki! Ale Olivia mówi, że dziś w nocy zamierza lepiej rozejrzeć się po klinice.

— Wariatka. Złapią ją.

— Już ją złapali.

— Co takiego?

— Zeszłej nocy — powiedziała Joyce. — Pielęgniarka natknęła się na nią w pobliżu recepcji. Na szczęście wyszła już z pokoju, gdzie przechowywane są kartoteki. Opowiedziała pielęgniarce jakąś bajeczkę o tym, że szukała kuchni. Mówi, że podobno tamta to połknęła.

— Ale czy Shayaz to przełknął? — z zaskaniem powiedział Causey. — Słuchaj, zadzwoń do niej i powiedz, żeby zgarnęła w nocy kartotekę, a rano natychmiast wypisała się z kliniki.

— W porządku. Zrobię to — przytaknęła Joyce.

— Powiedz jej też, że jak tylko zdobędzie kartotekę ma wracać do pokoju. Nie może wahać się po klinice. Jeśli znowu ją złapią, to Shayaz będzie z pewnością bardziej podejrzliwy.

— Powiem jej, ale nie mogę zagwarantować, że mnie posłucha. To bardzo stanowcza dama.

- Przecież wiem o tym — wymamrotał Causey.
- Może podziłała na nią to, jeśli powiesz, że uważam, iż to Shayaz zamordował Wingate'a.
- Naprawdę tak uważasz?
- Tak. Obawiam się, że to prawda.

Olivia czuła się źle. Cały dzień miała lekkie mdłości, ale teraz najwyraźniej była już chora. Mimo to zdecydowała, że jej samopoczucie nie może wywrzeć wpływu na plan nocnej wędrówki.

Tym razem odczekała do 2.30 i dopiero wtedy opuściła pokój. Tak jak poprzedniej nocy, korytarz był pusty. Kiedy przemierzała go szybkim krokiem, odczuła chwilowy zawrót głowy. Żeby odzyskać równowagę, musiała oprzeć się o ścianę. Zastanawiała się, co jej dolega. Czy to tabletki, które dostała od Joyce? Na próżno próbowała sobie przypomnieć, czy zawroty głowy były jednym z ich działań ubocznych.

Kiedy doszła do siebie, ruszyła dalej. Nikogo nie napotykając, dotarła do hallu i poszła prosto do pokoju, w którym znajdowały się kartoteki. Kiedy wyciągnęła z szafki papiery Laury, uderzyła ją kolejna fala zawrotów głowy.

Uczepiła się jednej z szafek i czekała, aż to minie. Tym razem zawrót głowy trwał dłużej i — kiedy zamknęła szafkę i wyszła z pokoju — czuła, że nie stoi zbyt pewnie na nogach. W tym momencie porzuciła plany dalszego penetrowania kliniki. Była zbyt osłabiona. Pójdzie prosto do swego pokoju.

Kiedy zaczęła wspinać się po schodach, zawrót głowy powrócił. Chciała chwycić za poręcz, ale chybiła i upadła. Ściskając nadal kartotekę Laury, sturlała się ze schodów. Leżała bez ruchu.

Oślepiło ją ostre światło. Ktoś rozchylił jej powieki zmuszając, aby patrzyła na światło. Próbowała się bro-

nić, ale była zbyt osłabiona, żeby zrobić coś więcej poza słabym poruszeniem głowy.

— W porządku. Obudziłaś się.

Ostre światło zniknęło, ale było jeszcze inne — trochę dalej. Nie osłonięta żarówka.

Zdołała podnieść głowę z poduszek. Obok łóżka, ze smutnym wyrazem twarzy stał Shayaz.

— Jestem tobą bardzo rozczarowany — powiedział z żalem.

Próbowała przypomnieć sobie, co się stało. Po kolei odtwarzała fragmenty — zawrót głowy, upadek ze schodów. A kartoteka? Co stało się z kartoteką Laury?

Wtedy zobaczyła, że trzyma ją Shayaz. Spostrzegła też, że znajduje się w innym pokoju. Nie ma kolorowego telewizora, dywanu ani tapet na ścianie. Zamiast tego — betonowe ściany.

— Gdzie ja jestem? — spytała. Kiedy mówiła odczuwała ból. Jej gardło było boleśnie wyschnięte.

— W miejscu, w którym pozostaniesz. Mogę być o to spokojny. Skończyły się nocne wędrówki — podniósł w górę kartotekę Laury. — Dlaczego interesujesz się tym?

Zmieszana i przestraszona Olivia próbowała usilnie zebrać myśli. Ile on wiedział? Czy mogłaby z tego wybrnąć blefując? Wróciło do niej wspomnienie Joyce i jej przestrogi. — Ed Causey uważał, że Shayaz jest mordercą.

— A co to jest? — spytała próbując zyskać na czasie.

— Powinnaś wiedzieć. Trzymałaś to, kiedy znaleziono cię przy schodach.

— Nie pamiętam. Często mi się to zdarza. Mówią o lunatykowaniu. Powinnam powiedzieć o tym wcześniej, ale wprawia mnie to w zakłopotanie...

Shayaz powoli kręcił głową.

— Trzeba to będzie robić lepiej, panno Finch.

Jej wnętrzości przeszył lodowaty dreszcz. WIE-DZIAŁ.

— Nazywam się Wilkinson — powiedziała drżącym głosem.

— Nazywasz się Olivia Finch. Jesteś siostrą Laury Finch, mojej pacjentki, która zmarła w tragicznych okolicznościach. Byłem bardzo nieostrożny. Odrzuciłem wszystkie środki ostrożności, pochopnie przyjmując cię do kliniki. Kształcące doświadczenie.

Olivia przestała udawać.

— Co pan chce ze mną zrobić? — spytała. — Dlaczego tak chętnie zgodził się pan na mój pobyt tutaj?

— Wszystko w stosownym czasie — odpowiedział tym samym smutnym tonem. — Najpierw chcę się dowiedzieć, kto jeszcze wie, że tu jesteś.

— Nikt.

Spojrzał na nią z bolesnym wyrazem twarzy.

— Proszę, żadnych kłamstw więcej. Wczoraj dzwoniłaś do kogoś. Dziś były do ciebie dwa telefony. Chcę nazwiska osób, z którymi rozmawiałaś.

Olivia gorączkowo myślała.

— Rozmawiałam tylko z jedną osobą. Z prywatnym detektywem, którego wynajęłam. Nazywa się Edward Causey.

— Causey jest w szpitalu.

Ponownie przeszył ją zimny dreszcz. Causey miał rację. Istniał związek pomiędzy Shayazem a tym niemalże śmiertelnym upadkiem ze schodów. Była coraz bardziej przestraszona.

— Powiedziałem — jest w szpitalu — powtórzył Shayaz. — Doznał poważnych obrażeń.

— Ale mimo to jest w stanie korzystać z telefonu — powiedziała Olivia.

Shayaz zamyślił się.

— Można to sprawdzić. Kto poza nim wie, że tu jesteś?

— Nie wiem. To znaczy on mógł o tym komuś napomknąć.

— Ale ty nie mówiłaś nikomu?

— Nie — odpowiedziała Olivia starając się, żeby brzmiało to tak, jakby niechętnie wyznawała prawdę.

— Na razie ci się uda, bo nie mam pewności. Ale jeśli kłamiesz...

— Nie kłamię.

— Mam nadzieję. Dla twojego własnego dobra — popatrzył na nią ze smutkiem, a potem podszedł do drzwi.

— Proszę zaczekać — krzyknęła, kiedy otworzył drzwi. — O co właściwie chodzi? Co pan chce ze mną zrobić?

Przybrał jeszcze bardziej ponury wyraz twarzy.

— Nic z tobą nie zrobię. Nie JA. — Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

Próbowała usiąść i wtedy wróciły zawroty głowy. Poczwała się bardzo źle. Położyła się znowu, jęcząc z rozpaczy. Co jej dolegało? I dlaczego czuła w żołądku taki okropny ból?

Na ekranie telewizora, dziewczyna z twarzą przyciśniętą do łóżka krzyczała z bólu i wiała się, na próżno próbując pozbyć się pęt, krępujących jej ręce i nogi. Rashad patrzył na to z ogromnym zainteresowaniem, a rosnące podniecenie niemal zupełnie odwracało jego uwagę od dokuczliwego swędzenia. Nagle zadzwonił telefon. Rashad zaklął. Podniósł mikrofon, znajdujący się obok krzesła, i powiedział:

— Zaczekaj Mule. Mam rozmowę.

Ciemnoskóry, masywny mężczyzna na ekranie, niechętnie zszedł z dziewczyny i z groźnym spojrzeniem odwrócił się w kierunku kamery. Dziewczyna nadal jęczała i łkała, więc podnosząc słuchawkę Rashad ściszył głos.

Tak jak się spodziewał, dzwonił Shayaz. Niecierpliwie wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia, nieświadomie drapiąc się po żebrach. Potem powiedział:

— Musisz się upewnić, czy mówi prawdę. Jeśli chodzi o Causeya, to postaram się dla niego o śmiertelne komplikacje.

Wchodząc następnego dnia do sali Causeya, Joyce wyglądała na ogromnie przejętą.

— Próbowałam dodzwonić się do Olivii — powiedziała. — Recepcjonistka oświadczyła, że pani Wilkinson jest tak chora, że nie może odebrać telefonu.

— Co takiego?

— Pozwól mi dokończyć. Upierałam się, że chcę rozmawiać z Shayazem. Wciąż odmawiała mi połączenia z nim, więc zmuszona byłam powiedzieć, kim jestem. Bardzo szybko miałam na linii Shayaza. Słysząc było po głosie, że jest przygnębiony. Zadawał mi mnóstwo różnych pytań, a ja wciąż dopytywałam się o Olivię. Mówił, że ona ma raka żołądka. Powiedziałam mu, że to kupa bzdur, że kiedy zgłosiła się do kliniki była zupełnie zdrowa.

— Czy powiedziałaś mu, jak naprawdę nazywa się Olivia?

— Musiałam to zrobić, żeby udowodnić, że wiem, o czym mówię.

— Jak zareagował?

— Nie wydawał się specjalnie zaskoczony.

— Cholera. Co teraz zrobimy?

— Zaprosił mnie do kliniki, dziś po południu. Będę mogła osobiście zbadać Olivie. Mówi, że wtedy porozmawiam sobie z nią. W tej chwili Olivia nadal dochodzi do siebie po wstępnej operacji, którą Shayaz przeprowadził wczoraj wieczorem.

— Nie chodź tam sama.

— Nie mam zamiaru. Wezmę ze sobą jedną z moich asystentek.

— Weź dwie.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Nie wydaje mi się, żeby Shayaz odważył się zrobić mi jakiś numer.

— Nie bądź taka pewna.

— Najgorsze — mówiła dalej — że być może mówił prawdę na temat Olivii.

Causey spojrział na nią.

— Przecież sama mówiłaś, że była zupełnie zdrowa.

— No tak, ale nie jestem teraz taka pewna. Nigdy jej nie badałam. Shayaz spytał mnie o to i musiałam powiedzieć prawdę. Całkiem możliwe, że miała raka i po prostu o tym nie wiedziała. W pierwszym stadium objawy raka żołądka mogą łatwo wprowadzić w błąd. I dlatego umiera tak wielu ludzi, chociaż można to operować. Po prostu dowiadują się o tym, gdy jest już za późno. Po raku płuc i piersi, rak żołądka jest najbardziej rozpowszechniony.

— Czy Shayaz powiedział coś o raku Olivii? Czy jest uleczalny?

Pokręciła przecząco głową.

— Powiedział, że jest już zbyt zaawansowany. Nie nadaje się, żeby go operować.

— A więc skazuje ją na śmierć — ponuro powiedział Causey. — Musisz ją stamtąd wydostać. Czy jest na to jakiś sposób prawny?

— Jedyne wówczas, gdy udowodnię, że działa w sposób nieprofesjonalny.

— A jeśli Olivia będzie nalegać, że chce opuścić klinikę? Czy Shayaz może ją zatrzymać? Z punktu widzenia prawa.

— Nie.

— A więc dopilnuj, żeby powiedziała to przy

świadkach, przy twojej asystentce. I wtedy zabierz ją stamtąd.

— Zrobię, co będę mogła, ale nie mogę niczego planować z góry, zanim się nie upewnię, że właściwie oceniam sytuację.

— Właściwie oceniasz sytuację — szyderczo powtórzył Causey. — Laura Finch, pacjentka Shayaza, umiera w dziwnych okolicznościach. James Wingate, inny pacjent, umiera na coś, na co nie chorował. A teraz Olivia Finch, prowadząc śledztwo w sprawie śmierci siostry, dowiaduje się od Shayaza, że ma raka żołądka, którego nie można operować. To w skrócie twoja ocena. Albo Shayaz jest najgorszym lekarzem na świecie, albo też masowym mordercą. Wydostań tylko stamtąd Olivie. I uważaj na siebie.

— Nie martw się, będę uważać.

— Mam się nie martwić? To wszystko, co mogę tutaj robić. O Boże, przydałby się jakiś papieros. Nie mówiąc już o butelce „szkockiej”.

— Ale pomyśl tylko, jak dobrze na twój organizm wpływa pobyt w szpitalu. Twoje płuca i wątroba mają rzadką okazję, aby się zregenerować.

Causey wymownym gestem pokazał, co o tym myśli.

Po wyjściu z sali, gdzie leżał Causey, Joyce Winters wróciła na Oddział Patologii, który znajdował się w podziemiach budynku, przylegającego do szpitala. Od godziny już pracowała nad analizą próbek biopsji, kiedy nagle pojawił się obok niej sanitariusz.

— Pani doktor Winters? — zapytał.

Był to wysoki Murzyn około trzydziestki. Nie znała go, ale nic dziwnego — szpital był duży.

— Tak, to ja — odpowiedziała. — A o co chodzi?

— Pacjent z sali 12B, Ed Causey, chce się z panią natychmiast zobaczyć. Prosił, żeby powiedzieć, że to pilna sprawa.

Joyce zmarszczyła brwi.

— W takim razie zadzwonię do niego.

— Nie — powiedział szybko sanitariusz. — Chcę panią widzieć osobiście. Mówi, że to bardzo ważne.

— No dobrze, już do niego idę — powiedziała z westchnieniem.

Sanitariusz wyszedł razem z nią i dotrzymywał jej kroku, kiedy szybko szła korytarzem. W przeciwnym kierunku, pchając wózek z noszami, szła pielęgniarka. „Do czego potrzebne jej na patologii nosze?” — pomyślała mimochodem Joyce. I właśnie, gdy pielęgniarka ją mijała, Joyce usłyszała, jak sanitariusz powiedział.

— Wszystko jasne. Do roboty.

Myśląc, że mówi do niej, Joyce odwróciła się z pytającą miną. W tym momencie poczuła ukłucie w udo. Spojrzała w dół i zobaczyła, że pielęgniarka, wysoka blondynka z ciemnymi workami pod oczami, robi jej zastrzyk. Joyce otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale ogarnęło ją lodowate odrętwienie. Potem poczuła, że płacząc jej się nogi.

Gdy upadała, sanitariusz zdążył ją złapać. Położył ją na noszach, a pielęgniarka okryła ją kocem.

Początkowo Joyce była przytomna. Jadąc korytarzem, rozpaczliwie usiłowała krzyczeć, nie chciała się poddać. „Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!” Ale słowa nie wychodziły poza jej oszalały umysł. Była zupełnie sparaliżowana.

Słyszała głosy. Śmiech. To był koszmar. Została uprowadzona w samym środku ruchliwego szpitala. Dookoła byli jej współpracownicy. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko, jakby byli na innej planecie.

Poczuła serię stuknięć i zdała sobie sprawę, że jest na świeżym powietrzu. Zrobiła ostatni wysiłek, żeby krzyknąć, ale nie była w stanie wydać najcichszego nawet dźwięku.

Nosze podniesiono, a chwilę potem dotarł do niej głos zatraskiwanych drzwi samochodu.

Razem z tym dźwiękiem zaczął słabnąć i nikać jej kontakt z rzeczywistością, której tak kurczowo się trzymała. Bardzo szybko ogarnęła ją ciemność.

11.

Niespokojne oczekiwanie na wiadomości o wizycie Joyce w klinice, wypełniło popołudnie i wieczór Causeya. Miał również nadzieję, że odezwie się Ron Baxter. Ale i w tym względzie doznał zawodu.

Gdy dochodziła ósma, był już tak niespokojny o Joyce, że nalegał, aby pozwolono mu skorzystać z telefonu. Siostra Delaney, z którą jego stosunki wciąż się pogarszały, początkowo odmówiła. Jednakże Causey narobił takiego zamieszania, że w końcu ustąpiła.

Zadzwoił na Oddział Patologii, ale nie zastał tam Joyce. Próbował złapać ją w domu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Potem spróbował skontaktować się z Baxterem, ale w centrali posterunku Holborn poinformowano go, że ma dziś wolne. Causey zadzwonił do domu Baxtera i do „Sax Clubu”, ale nie było go w żadnym z tych miejsc.

Załamany, poddał się. Zastanawiał się, co robić dalej. Wykręcić 999 i powiedzieć policji, że w klinice Shayaza pewna kobieta znajduje się w ogromnym niebezpieczeństwie? Poproszą o dowody. I co mógłby im powiedzieć? A jeśli byłby to fałszywy alarm? Może z Joyce było wszystko w porządku. Może mimo wszystko nie mogła dziś pojechać do kliniki. Może... może... leżał z uczuciem bezradności i bezsilności. Czas włókł się. Nie mógł spać. Za każdym razem, kiedy do sali wchodziła jakaś pielęgniarka, miał nadzieję, że to Joyce przyszła opowiedzieć mu, co się wydarzyło. Ale to nie była ona.

O 23.30 stan pacjenta chorego na serce nagle się pogorszył i zabrano go na oddział intensywnej terapii. Przed północą znowu się uspokoiło. Causey był jedynym pacjentem, który nie spał. Tęsknił za alkoholem. Cokolwiek, byle tylko złagodziło jego niepokój. Tabletki nasenne jak zwykle okazały się zupełnie bezużyteczne.

Za kwadrans druga do sali weszła pielęgniarka której Causey nie znał. Była to wysoka blondynka.) Trzymała małą metalową tackę. Zdziwił się, kiedy podeszła prosto do jego łóżka.

— Czas na pański zastrzyk, panie Causey — powiedziała. Jak na pielęgniarkę miała niezwykle aryistokratyczny akcent. Zauważył także, że wyglądała bardzo źle. Jej twarz była wyraźnie obrzęknięta, a pod oczami miała ciemne obwódki. Causey uznał, że — tak jak inne pielęgniarki — pracuje zbyt ciężko.

— Mój zastrzyk? Jaki zastrzyk? — zapytał.

Zmieszła się na chwilę, a potem powiedziała:

— Pomoże panu zasnąć.

— Wspaniale — westchnął. — Moje skargi w końcu do kogoś dotarły.

— Proszę podwinąć rękaw — pouczyła go.

Zrobił to. Z metalowej tacki wzięła strzykawkę i pochyliła się nad nim. I właśnie wtedy, kiedy koniec igły znajdował się kilka centymetrów od jego ramienia, zauważył drżenie jej ręki.

Zareagował odruchowo. Chwyił ją za przegub dłoni. Uderzyła lewym przedramieniem w piankowy kołnierz, który przykrywał jego gardło. Zaskoczyło go to. Zaczął się dusić, ale wciąż trzymał ją za przegub ręki. Uderzyła go jeszcze raz, nie pozwalając krzyknąć. I wtedy poczuł na swym ramieniu dotyk strzykawki.

Machnął energicznie lewą pięścią. Miał szczęścia Pięść uderzyła w podbródek kobiety. Jej głowa odskoczyła w tył, a kobieta wydała zduszony okrzyk bólu.

Puścił jej nadgarstek i odsunął się. Potem uświadomił sobie, że spada z łóżka, a nogi zaplątane ma w prześcieradło.

Z nieprzyjemnym uderzeniem, wywołującym ból pleców, barków i żeber, Causey wylądował na podłodze.

— Co to, do cholery, za hałasy? — był to głos Arnolda.

— Pomocy! — zawołał Causey, usiłując wyplatać się z prześcieradeł. — Próbują mnie zabić!

— Spieprzaj — warknął Arnold. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Dał się słyszeć stukot uciekających stóp, a potem na sali zapaliły się światła. Do łóżka detektywa podeszła pielęgniarka. Cofnęła się odruchowo. Po chwili dopiero zobaczył, że to Jane. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Co pan tam robi pod łóżkiem, panie Causey? — spytała z szeroko otwartymi oczami.

— A jak pani myśli? — pogardliwie powiedział Arnold. — Zleciał z łóżka.

— Zamknij się, ty neandertalczyku — powiedział Causey, usiłując się podnieść. Jane pospieszyła mu z pomocą. — Była tu pielęgniarka. Nie znam jej. Brała...

— Ty szczęściarzu — powiedział Arnold.

Causey nie zwracał na niego uwagi.

— Próbowала zrobić mi jakiś zastrzyk.

— Nikogo nie widziałam — z powątpiewaniem powiedziała Jane. — Jest pan pewien, że to nie był zły sen?

Causey uwolnił się z jej objęć i niepewnym krokiem podszedł do drugiej strony łóżka.

— Zgadza się, to był zły sen, ale prawdziwy. O, proszę... — znalazł to, czego szukał. — Strzykawka.

Wydawało mu się, że gdy uderzył kobietę słyszał brzęk upadającej na podłogę strzykawki. Schylił się z wysiłkiem i podniósł ją.

— Czy teraz mi pani wierzy? — spytał, wywijając strzykawką. Wzięła ją i dokładnie obejrzała.

— Ależ panie Causey. Ta strzykawka jest pusta.

— O Boże, jak to dobrze, że jesteś — powiedział Causey, gdy do sali wszedł Ron Baxter. — Dziś w nocy ktoś próbował mnie zabić.

— Co takiego? Znowu? — z trudem udało mu się ukryć rozbawienie. Causey opowiedział mu szybko, co się wydarzyło. Baxter spoglądał z powątpiewaniem.

— Pielęgniarka próbowała ci zrobić zastrzyk pustą strzykawką?

— Nie była pusta, ty idioto. W środku było powietrze. Chciała wstrzyknąć mi bąbelki powietrza do tętnicy ramieniowej. Dla twojej informacji dodam, że to spowodowałoby zator, który wywołałby atak. Prawdopodobnie śmiertelny. Nadażasz za tym, co mówię czy mam powtórzyć wszystko od początku — w tempie stosowanym dla policjanta?

Baxter w zamyśleniu pokiwał głową.

— Ktoś widział tę tajemniczą kobietę?

— Nikt oprócz mnie. Udało mi się przekonać Jane, pielęgniarkę z nocnej zmiany, żeby powiadomiła szpitalną służbę bezpieczeństwa o tym, co się wydarzyło. Mówią, że próbowali odszukać tę kobietę, ale odnoszą wrażenie, że mi nie wierzą.

— W zasadzie trudno mieć do nich pretensje, prawda?

Causey spojrział na niego spode łba.

— Jakiś sukces w sprawie Rashada?

— Zupełnie nic. Według chłopców z posterunku West End Central, Rashad nie wychyla się ostatnio. O ile wiedzą, stara się zachowywać porządnie.

— Porządnym zachowaniem nazywają to, że kieruje dużą grupą prostytutek? Nie mówiąc już o handlu narkotykami.

— Nikt mu nie udowodnił, że zamieszany jest w narkotyki — powiedział Baxter.

Casey uśmiechnął się cynicznie.

— Tak, oczywiście, ale wszyscy wiedzą, że jest w to zamieszany. Tylko że, dopóki robi to dyskretnie i pilnuje, żeby ulice Soho były porządne i czyste, puszcza mu się płazem morderstwo. Dosłownie.

— Masz już obsesję na punkcie tego faceta. A to tylko — dobry w swoim fachu — sutener.

— Który ciągle próbuje mnie zabić. Dowiedziałeś się, czy ten biedak, którego znaleziono w Szkocji, ma jakiś związek z Shayazem?

— Nie było potrzeby. Reporter „Wiadomości ze świata” wyłowił aspekt dotyczący robaka i zapytał o to Shayaza. Ten stanowczo zaprzecza, jakoby Pearson kiedykolwiek był jego pacjentem, i grozi, że o ile ta historia nie zostanie sprostowana, wytoczy gazecie proces o zniesławienie.

— Coś podobnego! — wykrzyknął Casey. — I ty mu wierzysz?

Baxter wzruszył ramionami.

— A mam jakiś inny wybór?

W Causeyu narastało uczucie niezadowolenia.

— Posłuchaj, chcę teraz uaktualnić twoje informacje na temat Skayaza...

Opowiedział mu o tym, że Olivia Finch dostała się do kliniki i że Shayaz twierdzi, jakoby umierała ona na raka żołądka.

— Wciąż nie mogę się skontaktować z Joyce Winters. Dziś rano dwa razy dzwoniłem na Oddział Patologii i od kogoś, kto odebrał telefon, usłyszałem jedynie lodowate: „Nie ma jej”. Niepokoję się o nią. Zrób mi przysługę i sprawdź, co się z nią dzieje, dobrze?

Baxter westchnął.

— Słuchaj, wiesz, że mam jeszcze inne obowiązki. Już i tak poświęciłem ci dużo czasu.

— Proszę cię — nalegał Causey. — Obiecuję, że się odwdzięczę.

— To będzie wielki dzień — powiedział Baxter, ale mimo wszystko zgodził się.

Olivia z trudem budziła się z gorączki. Zobaczyła, że pochyła się nad nią Shayaz. Szpitalną koszulę podciągniętą miała powyżej pasa, a lekarz palcami badał dolną część jej brzucha. Powoli zaczął w niej wzbierać gniew.

— Zostaw mnie w spokoju — jęknęła, próbując go odepchnąć. — Nie dotykaj mnie!

Wyprostował się i zrobił krok do tyłu.

— Proszę się uspokoić, panno Finch. Proszę nie marnować sił.

Próbowała usiąść, ale była zbyt osłabiona. Udała jej się jednak opuścić koszulę. Nigdy przedtem nie czuła się tak źle. Ból żołądka nasilił się, kiedy spała.

— Co mi jest? — zawołała. — Co ze mną zrobiłeś?!

Smutno pokręcił głową.

— Proszę nie pytać o wyjaśnienie. Lepiej, że pani nie wie. Ale proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że to nie moja wina. Nie mam w tej sprawie innego wyjścia.

— W jakiej sprawie? O co tu chodzi?

— Przykro mi — powiedział i z pośpiechem wyszedł z pokoju. Znowu usłyszała trzask zamka.

Z trudem łapała powietrze, kiedy atak bólu rozdzierał jej żołądek. Próbując nie zwracać uwagi na zawrót głowy i mdłości, jakie ją dręczyły, zmusiła się, aby usiąść. Potem podciągnęła koszulę, chcąc się zbadać. Zobaczyła, że jej brzuch jest przeraźliwie rozdęty, jakoby wypełniony gazem. Była wstrząśnięta, kiedy ujrzała, jak bardzo jest wychudzona. Wyglądało na to, że od czasu przybycia do kliniki straciła kilka kilogramów. Czy w ogóle coś jadła? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie wiedziała nawet, ile dni minęło od czasu jej

przyjazdu do kliniki. Dlaczego Joyce po nią nie przyszła? Na pewno już wie, że stało się coś złego.

W dolnej części brzucha poczuła jakieś ruchy. Coś jak mimowolny skurcz mięśnia.

I jeszcze raz. Ale teraz wiedziała, że to nie mięśnie. Wewnątrz niej coś było. Coś żywego.

Czy była w ciąży? Czy Shayaz zapłodnił ją, kiedy była nieprzytomna? Czy o to właśnie chodziło? Czy przeprowadzał na ludzkich embrionach zakazane doświadczenia?

Ale żaden embrion nie mógłby rozwinąć się tak szybko. Nie do takich rozmiarów, żeby mogła czuć jego ruchy.

Baxter powrócił do sali z ponurym wyrazem twarzy.

— Mam dla ciebie złe wieści — powiedziała do Causeya.

— Co za niespodzianka.

— Chodzi o Joyce Winters.

— Wiedziałem — jęknął Causey. — Co się z nią stało?

Był przygotowany na najgorsze.

— Prowadziła handel narkotykami. Sprzedawała wszystko, co tylko mogła wynieść ze szpitala. Od metadonu po amphetamine.

Była to ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać.

— Zwariowałaś? — zawołał.

— Ale to prawda. Robiła to od wielu lat, ale ukrywała to po mistrzowsku. Nikt nigdy nie spostrzegł braków.

— Chcesz powiedzieć, że Joyce Winters, szanowana w tym szpitalu pani patolog, została aresztowana za handel narkotykami?

Baxter przecząco pokręcił głową.

— Skądże. Ktoś odkrył, co robiła i zagroził, że to wyjawia. Dlatego ze sobą skończyła.

— Skończyła ze sobą? — powoli powtórzył Causey.

— Popełniła samobójstwo.

— Nie! — Causey nie mógł uwierzyć w to, co mówił Baxter.

— Obawiam się, że tak. W Brighton znaleziono samochód. Jej rzeczy porządnie ułożone w kupkę były na brzegu. A pod spodem — list, który wszystko wyjaśniał. Utopiła się.

Joyce obudziła się z bólem głowy i wyschniętymi ustami. Powoli zbadała wzrokiem siebie i swoje otoczenie, a kiedy tego dokonała, wzrosło w niej uczucie zdziwienia i oszołomienia.

Leżała nago na cienkim, twardym materacu, podobnym do materaca gimnastycznego. Na lewym przegubie miała kajdany, do których przymocowany był cienki łańcuch, biegnący do płytki umieszczonej w ścianie. Łańcuch miał około dwóch metrów długości. Samo pomieszczenie, w którym się znalazła, było małe. Zł wyjątkiem materaca i plastikowego wiadra, nie było tam żadnych sprzętów. Jedynym szczegółem, wyróżniającym ten pokój było wysokie lustro, które zajmowało większą część przeciwległej ściany.

Mrużąc oczy z powodu jaskrawych światłał umieszczonych nad lustrem, przypominała sobie, co wydarzyło się w szpitalu — atak pielęgniarki, paraliż, czarny sanitariusz... Została uprowadzona. Ale dlaczego? Wtedy właśnie przypomniała sobie swoją rozmowę z Shayazem i zamiar odwiedzin jego kliniki. Jeśli gotowy był posunąć się tak daleko, oznaczało to, że ukrywa coś poważnego. Ta myśl przeraziła ją.

Zastanawiała się, gdzie się znajduje. W klinice! Znowu rozejrzała się po pokoju, ale nie znalazła żadnej wskazówki. Wypróbowała łańcuch. Najpierw lekko, potem mocniej oburącz, ale najwyraźniej był

to solidny łańcuch, a płytką — silnie osadzona w ścianie.

Strach zaczął powoli ustępować miejsca oburzeniu. Ktoś zdarł z niej ubranie i przykuł łańcuchem jak zwierzę. Co do diabła sobie wyobraża? Że kim jest? Podniosła plastikowe wiadro i zaczęła uderzać nim o drewnianą podłogę.

— Hej! — wrzasnęła. — Hej! Wypuście mnie stąd!

Po kilku minutach otworzyły się drzwi. Wszedł wysoki, całkiem przystojny, ciemnoskóry mężczyzna. Miał na sobie coś, co wyglądało na drogi, trzyczęściowy garnitur, a pod pachą trzymał złożoną gazetę. Podszedł do materaca i stanął, uśmiechając się do niej. Joyce zauważyła, że pozostawał poza zasięgiem łańcucha.

— Dzień dobry, doktor Winters — powiedział kulturalnym tonem, z jakimś ledwie wyczuwalnym akcentem, którego nie znała.

Wstała i patrzyła na niego, próbując zapomnieć o swojej nagości. Chciała skrzyżować ręce, tak aby zakryć piersi, ale nie pozwalał jej na to łańcuch.

— Kim pan, do licha, jest? I dlaczego jestem skuta łańcuchem?

— Nazywam się Jacques Rashad — powiedział, błyskając białymi zębami. —] powinno być oczywiste, skąd ten łańcuch.

RASHAD. A więc Ed miał rację. Skayaz i Rashad pracowali razem.

— Proszę to zdjęć — powiedziała podnosząc swoje spętane ręce. — Natychmiast! I proszę mi oddać ubranie.

Uśmiechnął się szerzej.

— Proszę siadać, doktor Winters. Będzie pani wygodniej. Obawiam się, że pani ubranie jest bardzo daleko stąd, gdzie było do czegoś potrzebne. Ale i tak nie będzie pani go teraz potrzebować.

— Zwariował pan czy co? — zawołała podnosząc głos niemal do krzyku. — Proszę mi oddać ubranie i wypuścić stąd.

Bez żadnego ostrzeżenia podszedł bliżej i uderzył ją pięścią w twarz. Przewróciła się na materac, oszołomiona i ogłuszona bólem. Spojrzała na niego, przykła-
dając dłoń do pulsującego policzka. Zobaczyła, że patrzy na nią z jawnym obrzydzeniem.

— Nie mów do mnie więcej w ten sposób, ty dziwko — powiedział delikatnym głosem, pocierając kostki i prawej dłoni. — Od tej pory musisz być mi posłuszna. Całkowicie. Twoje dotychczasowe życie skończyło się. Zapomnij, kim byłeś dawniej. Teraz należysz do mnie.

— Pan zwariował — z trudem łapała oddech. **-1** Nie może mnie pan tak po prostu porwać i trzymać tu pod kluczem. Będą mnie szukać. Policja, rodzina, mój chłopak...

Rzucił na materac gazetę. Spadła na wprost niej.

— Weź to i przeczytaj — rozkazał.

Spojrzała i doznała szoku, widząc w gazecie swoją fojografię. Przeczytała także zamieszczony obok niej artykuł. Zanim skończyła, w jej oczach pojawiły się łzy.

— Nikt w to nie uwierzy. Na pewno nie ludzie, którzy mnie znają, koledzy ze szpitala, moja rodzina.

Kiedy pomyślała, jak tę wiadomość przeżyją jej rodzice, mieszkający w Buckinghamshire, łzy zaczęły spływać jej po twarzy.

— Nie będą mieli innego wyjścia — powiedział chłodno. — Są przeciwko tobie niezbita dowody. No i oczywiście ty sama nie będziesz mieć nigdy okazji, żeby chociaż spróbować się obronić. Praktycznie zniknęłaś już z mapy świata. W każdym razie z TWOJEGO świata.

— Zamierza trzymać mnie pan tutaj bez końca? **-m** krzyczała. — Ależ to niemożliwe! Nie może pan tego zrobić. Nie w Anglii, nie w obecnych czasach.

Odrzuci! do tyłu głowę i zaśmiał się szyderczo.

— Zdziwiłabyś się dowiadując, co w obecnych czasach dzieje się w Anglii. Mimo swojej zawodowej styczności ze śmiercią i chorobami, prowadziłaś bezpieczne życie. Z przyjemnością poszerzę twoje wykształcenie... Na różne sposoby.

Powoli obejrzał ją od góry do dołu. Mimowolnie zatrzęsała się i próbowała ukryć swoje ciało przed jego natarczywym spojrzeniem. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka naga.

— Początkowo miałem zamiar cię utopić — powiedział. — I wrzucić do kanału w pobliżu Brighton. Ale kiedy cię zobaczyłem, rozmyśliłem się. Byłoby przestępstwem zmarnować tak interesujące ciało. Masz wyjątkowo białą skórę.

Po jego twarzy przemknął grymas niesmaku.

— Osobiście nie pociąga mnie taki kolor. Biel karzy mi się ze śmiercią, z tym, co znajdujesz pod skałami. To kolor pasożytów i stworzeń, karmiących się martwymi ciałami. Ale mam klientów o odmiennych upodobaniach. Zapłacą dużo, żeby zobaczyć kobietę o twojej urodzie i wykształceniu, uczestniczącą w pewnych aktach... Jak to delikatnie sformułować? Aktach nieskrępowanej zmysłowości.

Spojrzał na wysokie lustro.

Joyce również na nie spojrzała i nagle odgadła, jakie jest jego prawdziwe przeznaczenie.

— Nie mówi pan poważnie! Spodziewa się pan, że ja...?

— BIAŁE NIEWOLNICTWO. Tak się to określa — powiedział i zaśmiał się znowu. — Wspaniałe określenie, nie sądzisz? I szczególnie trafne w twoim przypadku.

— Białe niewolnictwo... w tych...? — nie dokończyła.

— W tych czasach? — zapytał drwiąco. — Mówiłem

już, że prowadziłaś bezpieczne życie. Białe niewolnictwo — to obecnie całkiem rozwinięty przemysł. Najlepszymi klientami są bogaci Arabowie, ale ostatnio stają się coraz bardziej wybredni. Trudno ich już zadowolić byle czym. Żądają towarów dobrej jakości, a te trudno zdobyć. Dlatego jestem bardzo zadowolony, że TY, mówiąc oględnie, wpadłaś mi w ręce. Cenny z ciebie towar, doktor Winters. A kiedy zakończysz szkolenie, sprzedam cię za pokaźną sumkę. Ale to dopiero w przyszłości. Na razie będziesz występować tutaj, dla mnie.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

— Nigdy nie będę dla ciebie występować, ty łajdaku. Prędzej umrę.

— Przeciwnie — odpowiedział łagodnie. — Wkrótce będziesz robić wszystko, co potrafisz, żeby tylko mnie zadowolić. Absolutnie wszystko.

Jego uśmiech wywołał u niej skurcz żołądka. Ras-had odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

— Twój pierwszy występ odbędzie się dziś w nocy — powiedział. — Odpoczywaj. Będziesz potrzebowała dużo siły.

Zatrzymał się przy drzwiach i dodał:

— Aha, gazetę możesz sobie zatrzymać. Wiem, jak przeraża cię widok własnego nazwiska.

11.

„Wędrując po świecie! Wędrując po świecie! Powędrujesz ze mną w świat. Śpiewał, biegł i wskoczył do jeziora. Powędrujesz ze mną w świat...” Słowa australijskiej piosenki ludowej niosły się echem po starym, ceglany kanale Tyburn, wzdłuż którego szli trzej pracownicy kanalizacji.

— Zatkaj się, Graham — warknął jeden z mężł czyn. — Ta cholerna piosenka doprowadza mnie do szału.

— Cholerna piosenka? — urażonym tonem wyrzyknął Graham. — Chcę, żebyś wiedział, że ta piosenka — to właściwie nasz hymn narodowy, tam w domu.

— Tego się właśnie spodziewałem — powiedział trzeci mężczyzna. Był to młody inżynier o nazwisku Ken North. Oświetlił latarką łukowate sklepienie kanału ściekowego. — Piosenka o złodzieju, który wskakuje do jeziora, żeby uniknąć więzienia, nadaje się na hymn narodowy Australii. Wszyscy tam jesteście potomkami skazańców.

— Bzdura. A zresztą to wcale nie byli skazańcy, tylko więźniowie polityczni. Ofiary waszego skorumpowanego imperium. Chyba przyznasz mi rację, co?

— Gordonie Bennet — jęknął Stan Fletcher, najstarszy w tym gronie. — Co za bzdury opowiadasz!

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedział Ken North. — Skoro Australia jest taka olbrzymia, jak to się dzieje, że tyle tych pieprzonych Australijczyków przyjeżdża tutaj?

— To zemsta — ze śmiechem powiedział Graham. — Spisek, żeby osłabić Anglię od środka.

Potem znowu zaśpiewał: „Wędrując po świecie, wędrując...”

— Zamknij się! — ostro rozkazał Stan, podnosząc rękę.

— Mój śpiew wcale nie jest taki zły.

— Słyszałem coś, tam u góry — Stan oświetlił latarką powierzchnię leniwie płynącej wody.

— To pewnie szczur — powiedział Graham. — Sam mówię, że ten kanał to królestwo londyńskich szczurów.

— Wydaje mi się, że ten dźwięk nie przypominał szczura — powiedział Stan. — Ken, gdzie my dokładnie jesteśmy?

Młody inżynier poświecił latarką na pokrytą plastikiem mapę, którą miał ze sobą.

— Mayfair. Zdaje się, że niedaleko Ambasady Amerykańskiej.

— Tak też myślałem — powiedział Stan. — To znaczy, że kawałek dalej powinien odgałęziać się inny tunel.

Trzej mężczyźni szli dalej kanałem Tyburn. Początkowo była to jedna z dwunastu podziemnych rzek Londynu, która w czasach wiktoriańskich zamieniona została na kanał ściekowy. Biorąc swój początek w Hampstead, kanał ten wił się dalej pod tak znanymi miejscami, jak Buckingham Pałace, New Scotland Yard, Westminster.

— Myślisz, że to terroryści? — zapytał Ken. I tylko częściowo był to żart. Doskonale wiedział, że Brygada Antyterrorystyczna prosiła wszystkich, pracujących w kanałach, aby zwracali uwagę na wszelkie podejrzane odgłosy.

— Możliwe — poważnie odpowiedział Stan. — Taki obszar gdzie... — Zamilkł na chwilę. Tym razem wszyscy trzej usłyszeli hałas. Brzmiało to tak, jakby ktoś włókł za sobą ciężki worek.

— To duży szczur — powiedział Ken, śmiejąc się nerwowo.

Szli dalej, aż ich latarki oświetliły ciemny otwór odchodzącego w bok mniejszego tunelu. Strużka wody ściekała do głównego kanału.

— To dziwne — powiedział Stan. — Powinien tu być większy strumień.

Znowu usłyszeli ten sam dźwięk. Dochodził z bocznej strony tunelu. Zbliżyli się do jego wejścia i poświecili latarkami w głąb, ale nie mogli nic dostrzec.

— Jakiś zator — z wahaniem powiedział Stan.

— Wejdę i sprawdzę, co to jest — zadeklarował się Graham.

Jego latarka dyndała luźno na pasku okalającym nadgarstek. On sam wspiął się do wejścia tunelu.

— Jeśli trafię na jakieś szczury-olbrzymy, to was zawołam — powiedział jeszcze.

Stan był zaniepokojony, chociaż sam dokładnie nie wiedział, dlaczego. Pomyślał, że powie młodemu Australijczykowi, aby nie wchodził do tunelu, ale nie mógł wymyślić jakiegoś sensownego argumentu. No i mimo wszystko sprawdzenie stanu kanału i zgłaszanie wszelkich nieprawidłowości należało do ich obowiązków. Jeśli coś się tam zawaliło, czy był jakiś zator, należało to sprawdzić.

— Załóż maskę na twarz — powiedział do Grahama. — Możesz się tam natknąć na jakieś ukryte źródło metanu.

— Tak jest, szefie — powiedział Graham i założył maskę.

Stan i Ken patrzyli, jak ich towarzysz znika w tunelu. Jeszcze przez chwilę widzieli nikłe światło latarki, a potem wszystko zniknęło.

Po pięciu minutach niecierpliwość Staną zamieniła się w przeczcucie czegoś złego.

— Gdzie on się, do licha, podział? — krzyknął.

— Chcesz, żebym poszedł zobaczyć? — bez entuzjazmu zapytał Ken.

Miał ochotę przytaknąć, ale westchnął tylko i powiedział:

— Nie, sam pójdę.

Ken pomógł starszemu mężczyźnie wspiąć się do wejścia

— Maską, Stan.

— Co? Ach, tak — czując zakłopotanie, Stan Fletcher naciągnął zapomnianą maskę i włączył dopływ tlenu. Potem zaczął pełznąć. Średnica tunelu nie miała dużo więcej ponad metr. Było w nim bardzo ciasno. Kiedy Stan czołgał się, butla z tlenem ocierała o sklepienie, a latarka, którą trzymał w prawej ręce, utrudniała ruchy. Uszedł jakieś 20 metrów i wtedy usłyszał, że z przodu coś się rusza.

— Graham! — krzyknął. — W porządku?

Ale maska stłumiła jego głos i nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Czołgał się dalej, gdy nagle w coś uderzył. Tak go to zaskoczyło, że upuścił latarkę. Zanim ją odnalazł, ogarnęła go panika. Zorientował się, że tym, w co uderzył były podeszwy ciężkich butów Grahama. On sam leżał na brzuchu.

— Graham! — krzyknął Stan, szarpiąc go za rękę.[^]

— Wszystko z tobą w porządku?

Australijczyk nie poruszył się.

— Cholera — mruknął Stan widząc, że Graham] jest nieprzytomny. Spróbował przez niego przejść, żeby zobaczyć co mu jest, ale drogę tarasował plecak i butla z tlenem. Co, do diabła, mu się stało? Stwierdził, że jedynym wyjaśnieniem był gaz. Ten odcinek tunelu pełen, był metanu i Graham musiał jakoś zsunąć maskę albo celowo ją zdjąć. Fletcher wiedział, że młodzi lekceważą niebezpieczeństwo, jakie jest tu, na dole.

Musiał go wynieść z tunelu. Szybko.

Stan chwycił Grahama za kostki i zaczął go ciągnąć w kierunku wyjścia. Była to ciężka robota. Młody, Australijczyk był dobrze zbudowany i ważył prawie 83 kilogramy. Stan wątpił, czy uda mu się go zaciągnąć! do głównego kanału. Nie miał jednak wyboru. Musiał spróbować.

Ledwie zdołał przebyć około pięciu metrów, serce waliło mu z wysiłku. „Pięknie będzie, jak dostanę za wału” — pomyślał ponuro. Dlaczego, do diabła, ten głupek nie miał na twarzy maski? Jeśli wydostanie goj stąd żywego, dopilnuje, żeby go wylali.

Zatrzymał się, aby trochę odpocząć. Słyszał swój ciężki oddech. Ale po chwili wydało mu się, że słyszy coś jeszcze.

Nogi Grahama zaczęły mu się wyślizgiwać z rąk. W pierwszym momencie pomyślał, że Graham odzy-

skął przytomność i że czołga się z powrotem w głąb tunelu.

— Graham! — wrzasnął. — To ja. Stan! Próbuję ci pomóc!

I wtedy, nieprzyjemnie zdziwiony zrozumiał, że Grahama coś ciągnie...

— O, Boże! — dyszał Stan.

Przez kilka sekund był zbyt przerażony, żeby zareagować. Potem znowu chwycił Grahama za kostki. Ciągnął z całych sił i przez chwilę Graham przestał się cofać. Jednak potem ten ktoś, ktokolwiek to był, zdwoił swoje wysiłki. Graham nieubłaganie zaczął wylizgiwać się z rąk Stana.

Coś dotknęło pleców Stana. Zaczął krzyczeć.

— Stan? Co się dzieje? O co chodzi?

Fletcher odetchnął z ulgą — za nim stał Ken.

— Ken! — krzyknął przez ramię. — Chwyć mnie za pasek! Ktoś trzyma Grahama. Nie mogę go utrzymać. Ktoś wciąga go do tunelu!

— Co takiego?

— Rób, co mówię! — krzyknął Stan. — Trzymaj mnie mocno i ciągnij!

Ken zrobił, co mu kazano. Udało im się zastopować Grahama, chociaż nacisk na przeguby i ręce Stana był tak duży, że ten jęczał z bólu. Próbował ciągnąć Grahama za plecy, ale było to niemożliwe.

— Puść go, ty łajdaku! — krzyczał Stan.

— Do diabła, co tu się dzieje? — zawołał zza jego pleców Ken. W jego głosie słychać było przerażenie. Stan nie miał do niego pretensji. Sam także był mocno przestraszony. Przez wszystkie te lata pracy w podziemiach Londynu, nigdy nie przydarzyło mu się coś takiego.

— Policzę do trzech i wtedy ciągnij z całych sił — polecił Kenowi. — Raz, dwa, trzy!

Pociągnęli jednocześnie. Przez chwilę nic się nie

działo, a potem nagle nie poczuli żadnego oporu i bez trudu ciągnęli Grahama.

— Szybko! — ciężko dyszał Stan. — Puścili go. Mam go! Szybko!

Z pomocą Kena, który ciągnął go za pasek, Stan mógł holować wiotkie ciało Grahama dużo szybciej niż przedtem. Ale i tak koszmarnie długo trwało, zanim Stan usłyszał, jak Ken — łapiąc oddech — krzyknął:

— Jesteśmy na miejscu!

Ken puścił jego pasek i Stan usłyszał, jak tamten wpada do wody. A kiedy dotarł do wejścia tunelu, ciągle trzymając Grahama za kostki poczuł, że Ken podtrzymuje mu nogi. To na wypadek, gdyby tajemniczy napastnik lub napastnicy chwycili go znowu.

Stan wylądował w wodzie, jego serce waliło jeszcze bardziej przerażająco. „Muszę rzucić palenie, bo inaczej nie doczekam emerytury” — pomyślał, ale jego troska o serce ustąpiła uldze, jaką odczuł, gdy wyszedł z tunelu.

— W porządku, pomóż mi — powiedział.

Razem z Kenem wyciągnął Grahama z tunelu i powoli ściągnął na dół.

— O, Chryste — słabym głosem powiedział Ken.

Najpierw jak przez mgłę, a potem już wyraźnie, Stan ujrzał krwawy kikut szyi Grahama.

Jednocześnie wypuścili z rąk ciało Grahama — i bezgłowy korpus spadł do wody.

— Stan! — krzyknął Ken. — Co mu się stało? Jak...

Ale Fletcher miał teraz inne problemy. Coś wywołało silne szarpnięcie w klatce piersiowej. Ból był tak przeraźliwy, że Stan nie mógł ani oddychać ani mówić.

„Atak serca nie zawsze jest śmiertelny” — pomyślał jeszcze, upadając i chwytając niewidzialny zacisk w okolicach serca.

Ale ten atak był śmiertelny.

Causey miał prawdopodobnie w życiu jeszcze gorsze dni, ale nie mógł ich sobie teraz przypomnieć. Odnosił wrażenie, że zaczyna tracić zmysły. Pomimo długiej i wyczerpującej dyskusji z Baxterem, nie zdołał go przekonać, że Joyce Winters nie popełniła samobójstwa.

— Nie rozumiesz? — przekonywał Baxtera. — Jej zniknięcie ma coś wspólnego z Shayazem! Na dziś popołudniu planowała wizytę w jego klinice, żeby sprawdzić co z **Olivia** Finch! Myślisz, że to przypadek, że wszystko wybucha dokładnie tego samego dnia? Nie udawaj!

Nie przekonywało to jednak Baxtera.

— Nie ma na to dowodu. Ed. Wszystko co masz, to tylko teoria. Teoria spisku.

— Chcesz powiedzieć, że jestem paranoikiem? Nie, nie jestem. Na moje życie były dwa zamachy. To nie paranoja, prawda?

Baxter westchnął.

— To ty tak twierdzisz, ale nie masz żadnych dowodów na poparcie swoich przypuszczeń. Nic poza pustą strzykawką, którą mogła upuścić jakaś pielęgniarka albo lekarz.

— Ale sam powiedziałaś, że twoim zdaniem Gloria coś ukrywa!

— Gloria ma prawdopodobnie wiele do ukrycia — powiedział Baxter z uprzejmością, która rozwścieczyła Causeya.

— No, a co z **Olivia** Finch? Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

— Mówiłem ci. Po rozmowie z tobą, dzwoniłem rano do kliniki. Ktoś z personelu powiedział, że leczą ją na raka żołądka.

— A ty mu uwierzyłeś?

Baxter wzruszył ramionami.

— Mam inne wyjście? Daj mi jakieś dowody. Albo motywy. Jakimi motywami kieruje się Shayaz w tych

wszystkich ciemnych interesach, o które go podejrzewasz?

— Narkotyki — stanowczo powiedział Causey. — To na pewno chodzi o narkotyki. Robi z Rashadem jakieś interesy, ale nie pytaj mnie, co to jest.

— Ed, przecież Shayaz jest bogaty. Po co miałyby mieszać się w handel narkotykami?

— Bo chce być jeszcze bogatszy — odpowiedział ze złością Causey. — Kto to może zresztą wiedzieć? Wiem tylko, że współpracuje z Rashadem i że chce mnie zabić albo usunąć z drogi. Udało im się to z Olivia Finch i Joyce Winters. Co będzie, kiedy uda im się w końcu ze mną? Czy dopiero to cię przekona, że nie zmyślam?

W odpowiedzi na to Baxter spojrzął na zegarek.

— Muszę już iść. Mam teraz mnóstwo pracy. Złapię cię później. Spróbuj się w międzyczasie odprężyć i uspokoić, bo inaczej załamiesz się nerwowo.

Wyszedł, zostawiając Causeya dyszącego z wściekłości i zawodu. Do tych uczuć wplątana była także nie podejrzania. Według Causeya, Baxter celowo udawał głupiego. Dlaczego? A dlaczego druga próba zamachu na jego życie nastąpiła wkrótce po tym, jak Baxter zaczął wypytywać o Rashada? Jeżeli istniał tu jakiś związek, to Causey wolał nie myśleć, co to może oznaczać.

Nie, to niemożliwe. Znał Baxtera od wielu lat. Razem byli w szkole policyjnej. Ale mimo wszystko nie mógł pozbyć się tego delikatnego uczucia podejrzania. „Może wpadam w paranoję” — pomyślał z przekąsem.

Tak czy owak, zdecydował, że nie może zachowywać się jak bezradna kwoka. Zamierzał wydostać się jakoś ze szpitala i ukryć się.

Zaczekał do 9.30 wieczorem, kiedy na nocny dyżur przyszła Jane. Skinał na nią i powiedział ściszym głosem:

— Wierzysz w to, co się stało wczoraj w nocy?

Wyglądała na zakłopotaną.

— Na początku nie wierzyłam, panie Causey. Ale zbadałam strzykawkę, którą pan znalazł. Produkcja szwajcarska, ale nie mamy tej marki w naszym szpitalu. Jestem tego pewna.

Złapał ją za ramię.

— Musisz o tym komuś powiedzieć. Komuś z władz. Wtedy uwierzą, że mówiłem prawdę.

— Ależ ja tak zrobiłam, panie Causey. Powiedziałam siostrze przełożonej. Mówiłam, że powinna zawiadomić tych z ochrony.

— I co? — z zaciekawieniem zapytał Causey.

Jane pokręciła głową.

— Powiedziała tylko, że pewnie przyniósł pan to ze sobą.

Causey parsknął z niesmakiem.

— Cholera!

— Przykro mi, panie Causey.

— Hej, czarnuchu — to głos Arnolda z sąsiedniego łóżka.

Causey odwrócił się do niego i ze złością powiedział:

— Zamknij się, ty faszystowski półgłówku.

Arnold spojrział na niego z nie ukrywaną pogardą.

— Słuchaj, ty murzyński kochanku. Jak tylko będziesz w lepszej formie, tak cię grzmotnę, że przez kilka tygodni będziesz pluć krwią.

— Cicho — warknęła Jane. — Obudzisz innych.

— No i kogo to obchodzi, do cholery? — powiedział Arnold.

Jane podeszła do niego.

— Jeśli będą z tobą jeszcze jakieś kłopoty, to dopilnuję, żeby zrobiono ci następną lewatywę. Pamiętam jak dużą przyjemność sprawiła ci poprzednia, chociaż musiało ją robić pięć osób.

Arnold faktycznie zbladł. Mruknął coś niezrozumiale i założył słuchawkę.

Z uśmiechem na twarzy Jane wróciła do Causeya.

— Zawsze znajdzie się jakiś sposób, nawet na tych, którzy sprawiają najwięcej problemów.

— Proszę posłuchać, Jane — powiedział natarczywiej

— Muszę się stąd wydostać. Rozumie mnie pani, prawda? Jeśli raz próbowali mnie tu zabić, to spróbują znowu.

Jej uśmiech raptownie zniknął.

— Nie wiem, co o tym myśleć, panie Causey — powiedziała z nieszczęśliwą miną.

— Proszę mi uwierzyć, że spróbują. Potrzebuję pał ni pomocy. Bardzo proszę — znowu ją złapał za ramię. — Chciałbym, żeby przyniosła pani moje ubranie i resztę rzeczy, jak tylko to będzie możliwe. Zrobi to pani dla mnie?

Jane zmartwiła się jeszcze bardziej.

— Uważam, że nie powinien pan opuszczać szpitala, panie Causey. Nie doszedł pan jeszcze do siebie.

— No więc będę się oszczędzać. Proszę posłuchać! lekarz powiedział mi wczoraj, że odłamek z mojego kręgu sprawuje się dobrze. Wszystko będzie dobrze. A kołnierz będę nosić.

Wyglądało na to, że wciąż ma wątpliwości.

— Jeśli ktoś się o tym dowie, będę mieć duże kłopoty!

— Wyślę do szpitala list z informacją, że przekupiłem sanitariusza, żeby pomógł mi w ucieczce. Proszę, niech pani powie, tak... Moje życie zależy od pani — ścisnął jej ramię.

Po długiej chwili milczenia, z wahaniem skinęła głową.

— Jeśli dziś w nocy nadarzy się okazja, wezmę pan* rzeczy. — Potem uwolniła się z jego uścisku i pospiesznie wyszła z sali. Z jękiem ulgi osunął się na łóżko. Sprawy zaczynały w końcu przybierać pomyślny obrót.

Joyce straciła rachubę czasu. Wiedziała, że od czasu kiedy odwiedził ją ten okropny człowiek, Rashad, minęło już kilka godzin, ponieważ dwa razy skorzystała z plastikowego wiadra. Za każdym razem rzucając nerwowe spojrzenie na wysokie lustro. Była pewna, że nie jest to zwyczajne lustro.

Pocieszała się myślą, że będą jej szukać. Paul i jego rodzina, jej najbliżsi koledzy ze szpitala, zdołali już do tego czasu przekonać policję, że nie handluje narkotykami i będą jej szukać. To tylko kwestia czasu.

Kiedy otworzyły się drzwi, Joyce poderwała się na równe nogi. To Rashad, ale nie przyszedł sam. Za nim wszedł olbrzymi Murzyn i wysoka, biała kobieta, o jasnych włosach.

Kiedy zbliżali się, Joyce przywarła plecami do ściany.

— Trzymajcie się ode mnie z daleka — syknęła. Rashad błysnął zębami w upiornym uśmiechu.

— Proszę się uspokoić, doktor Winters. Pozwoli pani, że przedstawię gwiazdy, z którymi będzie pani występować! — odwrócił się do pozostałych osób. — Oto Mule, a to rozkoszna panna Oates.

Potężny Murzyn ukłonił się z wyższością. Dziewczyna gapiła się tylko, jej wzrok nie wyrażał niczego. Wyglądała tak, jakby nie spała od wielu tygodni albo była pod wpływem narkotyków. Albo jedno i drugie.

Murzyn zdejmował koszulę i dżinsy. Nie miał na sobie nic poza tym. Rashad zaśmiał się i powiedział do Joyce:

— Teraz już wiesz, czemu nazywa się Mule.

— Jeśli tylko mnie dotknie, zacznę krzyczeć i nie przestanę — powiedziała Joyce głosem ochrypłym ze strachu.

— Nie radzę — powiedział Rashad.

Pochylił lekko głowę i powiedział:

— Mule.

Masywny Murzyn poruszył się z szybkością, która całkowicie zaskoczyła Joyce. Olbrzymia pięść uderzyła, w jej splot słoneczny. Nie włożył w to całej swojej siły, dla niego było to trochę mocniejsze niż delikatne klepienie. Ale wystarczyło aby Joyce przewróciła się i z trudem łapała oddech. Potem zdała sobie sprawę, że, ma go za plecami, a jego ręce, jak żelazne obręcze, opasują jej ramiona. Pociągnął ją w górę. Próbowwała, krzyczeć, ale nie mogła nawet złapać tchu.

Przez łzy zobaczyła, jak dziewczyna wyjmując z kieszeni swojego białego szlafroka gumową opaskę i skrzyneczkę ze strzykawkami. Z dużą wprawą owinęła opaskę wokół prawego ramienia Joyce i mocno ją ścisnęła. Następnie otworzyła skrzyneczkę.

— Nie! — dyszała Joyce, próbując uwolnić się z żelaznego uścisku Mula. Ale na próżno. Patrzyła bezradnie, jak dziewczyna wstrzyknęła jej coś w ramię.

Rashad patrzył wyczekująco. Narkotyk działał szybko, stępując strach i gniew Joyce. Zaczynała się powoli odprężyć. Nic już nie było ważne. Mule wypuścił ją z ramion i opadła powoli na twarde materac.

Joyce nigdy przedtem nie zażywała heroiny, ale jej znajomość objawów klinicznych była wystarczająca, żeby stwierdzić, iż podano jej dawkę narkotyku. Dużaj dawkę. Może nawet na tyle dużą, żeby ją zabić! Ta myśl wywołała w niej jakiś abstrakcyjny rodzaj niepokoju. Ale tak naprawdę nie obchodziło ją to.

Nie przejęła się też specjalnie, kiedy dziewczyna zdjęła szlafrok i okazało się, że jest naga. Zastanawiała się tylko leniwie skąd na jej klatce piersiowej wzięły się! te wszystkie krzyżujące się blizny.

Pozostała spokojna nawet wówczas, gdy dziewczyna na i Mule rozpoczęli to, co okazało się serią nie kończących się gwałtów dokonanych na jej ciele. Zupełnie jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego...

Causey leżał, zastanawiając się kto przyjdzie pierwszy. — Jane z jego ubraniem czy zabójca z kolejną strzykawką wypełnioną powietrzem. A może tym razem zastosują inną metodę?

Około pierwszej w nocy usłyszał, że ktoś nadchodzi. Nerwowo rozejrzał się dokoła i natychmiast rozluźnił się — w przyćmionym świetle ujrzał Jane. Niosła tobołek z jego ubraniem.

— Szybko — szepnęła niecierpliwym tonem, podając mu ubranie — zaraz ktoś nadejdzie.

Wstał z łóżka.

— Jane, jest pani wspaniała.

— Jestem kompletną idiotką, oto kim jestem — powiedziała spoglądając nerwowo na wejście do sali. — Jeśli skończę przez to na ulicy, to nigdy panu tego nie wybaczę, Causey.

Pocałował ją delikatnie w policzek.

— Mów mi Ed — powiedział, szybko wciągając spodnie. — I nie martw się. Dopilnuję, żeby cię o to nie obwinili.

— Przyniosłam ci również to — powiedziała wyjmując złożony biały fartuch. — Załóż to na ubranie. Jeśli ktoś zauważy, jak wychodzisz, być może weźmie cię za lekarza. Chociaż wątpię w to.

Założył fartuch, potem wziął ze swojego łóżka kartę choroby i wsunął ją pod ramię.

— A zatem, jaka jest najlepsza droga, żeby wymknąć się stąd niepostrzeżenie?

Objasniła jak dostać się do schodów z tyłu budynku. O tej porze były one rzadko używane, a prowadziły do wyjścia ewakuacyjnego na parterze. Jeszcze raz jej podziękował i już miał wychodzić, kiedy Jane zawołała.

— Zaczekaj!

— O co chodzi? — zatrzymał się.
— Nie możesz tak iść — wskazała na kołnierz.
Zrozumiał, że chodzi jej o piankowo-gumowy kołnierz, który miał na szyi. Zapomniał o nim.
— Można go zdjąć? — zapytał zmartwiony.
— Ależ tak. Głowa ci nie odpadnie. Ale załóż jak najszybciej z powrotem — zaśmiała się i dodała: — Mam na myśli kołnierz.

Rozchylił klamrę i zdjął kołnierz.

— Kiedy to wszystko już się skończy, zaproszę cię na najlepszy obiad w twoim życiu — powiedział, chowając kołnierz pod fartuchem.

— Przypomnę ci o tym — powiedziała z nerwowym uśmiechem. Na znak, że wszystko pójdzie dobrze uniósł do góry kciuk i wyszedł z sali. W korytarzu przybrał wyraz twarzy, który, jak miał nadzieję, podkreślał jego wyższość jako lekarza i skierował się w stronę schodów. Po drodze minął kilka młodych pielęgniarek i sanitariuszy, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Bez żadnych trudności dotarł do wyjścia ewakuacyjnego, które znajdowało się na parterze i wkrótce był już za automatycznie zamykającymi się drzwiami, a potem na parkingu. Stąd, już bez żadnego problemu mógł się wydostać na Mortimer Street.

I dopiero wtedy zatrzymał się i zastanowił co zrobić dalej.

W ramieniu Ołivii znajdowała się teraz rurka. Podłączona była do pojemnika, który, jak powiedział jej Shayaz, zawierał roztwór substancji odżywczych. Były jej niezbędne, o ile chciała żyć. Zapytała Shayaza czy te substancje przeznaczone są dla niej czy dla robaka. Była pewna, że rozwijał się w niej. Jak zwykle Shayaz nie chciał wyjawić jej prawdy. Odwracał od niej wzrok i mamrotał jakieś przeprosiny, po raz kolejny twierdząc, że to nie jego wina.

— Jesteś szaleńcem! — wybuchnęła w jednym z tych coraz rzadszych momentów, kiedy miała jakiegokolwiek siły. — Cholerny maniak. Jesteś podobny do tych potworów w niemieckich obozach koncentracyjnych, którzy przeprowadzali doświadczenia na ludziach.

Jak zwykle uśmiechnął się smutno i głosem ciężkim od żalu nad samym sobą powiedział:

— Myśli pani, że jestem szalonym naukowcem, jak w filmach, tak? — pokręcił głową. — Nie jestem szalony. I żałuję, że nie jestem, bo może wówczas to wszystko byłoby łatwiejsze. O tak, jest w to zamieszany szaleńiec, ale to nie ja nim jestem.

Pomimo jej nacisków, nie chciał powiedzieć na ten temat nic więcej.

— Zabijasz mnie tak samo jak zabiłeś moją siostrę! — krzyczała. — Przez ciebie rośnie we mnie coś ohydneho. Żądam, żebyś mi powiedział DLACZEGO!

Ale on kręcił jedynie głową i radził, żeby leżała spokojnie, bo inaczej rurka, którą ma w ramieniu, rozłączy się. Potem zostawił ją samą, aby zmagala się z przerażeniem i ustawicznym bólem żołądka. Za każdym razem, gdy na siebie patrzyła była wstrząśnięta. Jej ciało wyglądało tak, jakby dosłownie znikało z kości. Od chwili przybycia do kliniki nic nie jadła, ani też w ogóle nie odczuwała głodu. Sama myśl o jedzeniu przyprawiała ją o jeszcze gorsze mdłości. Wiedziała jednak, że nie to było przyczyną jej gwałtownej utraty wagi. TO ROBAK, który pożerał ją od środka.

W przeciwieństwie do chudych kończyn i zapadniętej klatki piersiowej, jej brzuch był krągły i twardy. Mogłaby być w piątym albo szóstym miesiącu ciąży.

Wiedziała, że w pewnym sensie JEST w ciąży. Nośła w sobie coś, co od czasu do czasu poruszało się w niej i przemieszczało.

Były to dla niej najgorsze chwile.

— Czego pan tu szuka?

Wysoki ciemnoskóry sanitariusz odwrócił się zaskoczony. Jane wróciła na salę, żeby odwrócić na drugi bok Jimmiego, pacjenta z chorym płucem. Zapobiegało to odleżynom. Wtedy właśnie nieoczekiwanie spotkała sanitariusza. Cicho przesunął się od łóżka do łóżka, wpatrując się w twarze pacjentów.

— Pytałam, czego pan tu szuka?

— Ee... doktor ee... Ferguson przysłał mnie tutaj,! żeby mu coś przyniosł. Zostawił coś przez pomyłkę.

Jane zmarszczyła brwi.

— Doktor Ferguson? Nigdy o nim nie słyszałam] Co on tu zostawił?

Sanitariusz podszedł do niej.

— Ee... torbę. Ale w porządku. Sprawdziłem, niej ma jej tu. Siostrze, ee... czy jest tutaj pacjent o nazwisku Causey?

Podjeżenia Jane nasiliły się teraz.

— Dlaczego pan o to pyta? Kim pan jest? Nigdy pana tutaj nie widziałam.

Chwycił ją za ramię. Był silny. Bardzo silny.

— No dalej, skarbie. Nie próbuj mnie oszukiwać.] Gdzie jest Causey?

— Poszedł sobie — powiedziała ze złością. I lepiej będzie jeśli pan też pójdzie zanim zawołam strażników.

— Ej, skarbie — powiedział. — Nikogo nie zawołasz.

Uderzył nagle prawą pięścią w podbródek Jane. Jej głowa odskoczyła do tyłu z ostrym trzaskiem. Położył jej bezwładne ciało na podłodze i wyszedł z sali.

Radość z wyjścia ze szpitala podziałała na jego bóle i rozmaite dolegliwości, jak środek znieczulający. Ale teraz, idąc Hanway Street, był aż nadto świadomy swoich połamanych żeber i stłuczonych barków. Spojrzał na zegarek. Było po drugiej. Modlił się, aby Cathy

Li była w domu, a nie grała w mah-jong gdzieś na Gerrard Street, razem ze swoimi przyjaciółmi — hazardzistami.

Zadzwonił do jej drzwi i niecierpliwie czekał. Klub hiszpańskich kelnerów po przeciwnej stronie ulicy był, jak zwykle o tej porze, gwarny. Ale na szczęście ulica była wyludniona.

W korytarzu pojawiło się światło, a drzwi uchyliły się o kilka centymetrów. Cathy Li wyglądała zza drzwi zabezpieczonych łańcuchem. Jedno oko, które mógł dojrzeć, rozszerzyło się ze zdziwienia.

— Ed! Czemu nie leżysz w szpitalu?

— Wykańczało mnie szpitalne jedzenie. Posłuchaj. Potrzebuję pomocy. Jesteś sama?

— Tak. Co się stało?

— Mogę wyjaśnić to na górze? Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył.

Zdjęła łańcuch i wpuściła go do środka. Poszli do baru.

Nalała mu dużą „szkocką”.

— Jesteś pewien, że wolno ci pić? — zapytała podając mu szklanke.

Wziął szklanke i nie zwracając uwagi na pytanie Cathy, z czcią zbadał jej zawartość. Po kilku dużych łykach, wyjaśnił jej sytuację. Kiedy skończył, powiedział.

— No, już dobrze, Cathy. Przestań na mnie patrzeć tak cholernie badawczo i powiedz, czy zamierzasz powiększyć szereg ludzi, którzy uważają, że nadają się do zakładu psychiatrycznego?

Cathy Li przechyliła delikatnie głowę i powiedziała:

— Cóż mogę powiedzieć, Ed? To wszystko brzmi tak niewiarygodnie.

Causey westchnął.

— No tak, wiem. Ale pomożesz mi?

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Muszę się gdzieś zatrzymać. Nie mogę wrócić do swojego mieszkania. Będzie pod obserwacją.

Po chwili Cathy powiedziała:

— Zgoda. Możesz spać w pokoju Samma.

Sammy to jej osiemnastoletni syn. Był w Hongkongu-

— Dziękuję, Cathy — powiedział z ulgą. — I niB mów nikomu, że tu jestem. Absolutnie nikomu, nawet Baxterowi.

— Skoro o to prosisz.

Causey zawahał się, a potem powiedział:

— Mam jeszcze jedną sprawę.

— Tak?

— Czy George Turner przychodzi nadal do klubu'!

— Prawie codziennie.

— To dobrze. Chciałbym żebyś załatwiła z nim pil stolet dla mnie.

— Pewien jesteś, że to mądra decyzja Ed? — zapył tała cicho.

— Bardzo mądra. Myślę, że od niej zależy moje życie.

— Dobrze. Jakiej broni potrzebujesz?

— Ciężkiej.

Kiedy się obudził, zobaczył, że z plakatu spogląda na niego Bruce Lee. Przez chwilę zupełnie nie mógł(zorientować się w otoczeniu. Potem przypomniał sobie gdzie jest. Dotarło do niego również, że ktoś puka do drzwi. Spojrzał na zegarek. Było już po dwunastej.

— Proszę — zawołał.

Drzwi otworzyły się i weszła Cathy Li niosąc filiżankę herbaty i gazetę.

— Dobrze spałeś? — zapytała.

Z wdzięcznością wziął herbatę.

— Ostatni raz spałem tak dobrze jeszcze przed

pójściem do szpitala. W szpitalu zupełnie nie mogłem spać.

— Ed, czy aby na pewno powiedziałaś mi o wszystkim co się wydarzyło?

Zmartwił go ton jej głosu.

— Tak, oczywiście — odpowiedział. — Dlaczego o to pytasz?

— Oto dlaczego — powiedziała i położyła mu na łóżku gazetę. Nagłówek był dla niego bolesnym ciosem. „Pielęgniarka zamordowana — były policjant poszukiwany”.

— O Boże — zaczął się tak trząść, że filiżanka dzwoniła na spodeczku. Czytał dalej. „Jane Multelli, 23-letnia pielęgniarka ze Szpitala Middlesex, została po godzinie drugiej znaleziona w jednej z męskich sal, ze złamaną szyją. Jane Multelli, urodzona w Hackney, rodzice pochodzą z Indii Zachodnich, pracowała w szpitalu od pięciu lat. Policja pragnie przesłuchać byłego policjanta, Edwarda Causeya, który był jednym z pacjentów panny Multelli. Obecnie ślad po nim zaginął. Pan Arnold Dobbs, inny pacjent z tej sali, powiedział policji, że na krótko przed śmiercią panny Multelli widział jak Causey szarpał się z nią. Causey, przez siedem lat członek sił policyjnych, został zwolniony w 1980 r. wskutek akcji anty-korupcyjnej w Wydziale Spraw Kryminalnych w Londynie...”. Causey nie miał ochoty czytać dalej. Czuł, że robi mu się niedobrze.

Spojrzał na Cathy i drżącym głosem powiedział:

— Nie zabiłem jej, Cathy. Uwierz mi.

Jej twarz nie zdradzała, co myśli.

— Mężczyzna, który powiedział, że widział jak się z nią szarpałeś...

— Kłamie. To bandzior z Frontu Narodowego. Do diabła, to pewnie on sam zabił Jane. Albo tak było albo zrobił to ktoś, kogo przysłano, żeby zabił mnie. Przysięgam, że to nie ja. Dlaczego miałbym to zrobić?

— W gazecie piszą, że istnieje podejrzenie, iż zaży-J
wasz narkotyki. Przemyciłeś do szpitala strzykawkę.

— Powiedziałem ci, Cathy. Zeszłej nocy ktoś próJ
bował mnie zabić za pomocą tej strzykawki. Przecież
mnie znasz. Czy kiedykolwiek zażywałem narkotyki?
Oczywiście pomijając whisky.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

Powoli zaczynał wpadać w rozpacz. Jeśli wezwij
policję, albo go wyrzuci, to koniec z nim.

— Cathy, wiem, że jestem pijaczyna i dopóki nal
prawdę nie jestem zmuszony, to nie zwracam długów.
Ale przecież wiesz, że nie jestem mordercą. Wierzysz
mi? No powiedz, że mi wierzysz!

Po długiej chwili milczenia, Cathy zapytała:

— Chcesz coś zjeść?

— Nie — odpowiedział z ulgą — nie teraz. Nie-
zbyt dobrze się czuję. Może trochę później.

Skinęła głową i odwróciła się, żeby wyjść.

— Zaczekaj — powiedział. — A strzelba? Czy zdoł
będziesz ją dla mnie?

— Tak — odpowiedziała i wyszła.

Przez kilka minut Causey leżał myśląc o Jane. P<l
tern wstał z łóżka, poszedł do toalety i zwymiotował. **M**

Rashad chodził po biurze tam i z powrotem. Wyglądał
na wstrząśniętego. Pot zalewał mu twarz. Dwóch męż-
czyzn spoglądało na niego nerwowo. Kiedy był w ta-
kim stanie jak teraz, zdolny był do wszystkiego.

— A więc twierdzicie, że ten człowiek, Causey, tał
po prostu zniknął? — krzyknął. — Niemożliwe!

— Wszyscy nasi ludzie szukają go w Soho i nl
West End — powiedział jeden z mężczyzn. Znany był
jako „Bingles” Chesboro. Był to ten sam człowiek,
który uprowadził Joyce Winters i razem z Mułem
rzucił Causeya ze schodów. — Uważnie obserwujemy
jego mieszkanie i klub, w którym przesiaduje, na Han-

way Street. Ale nie pokazał się w żadnym z tych miejsc. Według mnie, to on zwiął z Londynu.

— Jak? Przecież na dobrą sprawę był bez grosza — z oburzeniem powiedział Rashad. — Nie. On gdzieś tu jest, siedzi cicho i czeka na okazję, żeby umknąć. Ale nie damy mu okazji. Odwrócił się do drugiego mężczyzny.

— Gdybyś tylko tego wszystkiego nie zepsuł. Powinieneś być zmusić tę sukę, żeby dokładnie ci powiedziała kiedy opuścił szpital i gdzie poszedł.

— No przecież nie miałem czasu — ponuro powiedział wysoki Murzyn. — Jeden jej krzyk i miałbym kłopoty. Tak czy owak poszło dobrze. Obwiniają Causeya, więc nie może teraz iść na gliny.

Rashad drapał się po klatce piersiowej. Swędzenie nie było jeszcze nigdy tak dokuczliwe. Doprowadzało go do szału.

— Mieliśmy szczęście, ale to nie wystarczy. Nie chcę być uzależniony od szczęścia. Wykończcie go.

Causey spędził resztę dnia w pokoju Samma, słuchając radia. Interesowały go wiadomości, ale nie dowiedział się o śmierci Jane nic ponad to, o czym czytał w gazecie. Właściwie radio poświęciło tej sprawie niewiele uwagi. Najszerzej omawiano dziwne wydarzenia, które poprzedniego dnia miały miejsce w kanałach pod dzielnicą Mayfair. Młody inżynier wyłonił się z kanału w stanie ostrego szoku, mówiąc, że dwóch jego kolegów nie żyje. Następnie oddział ratowniczy odkrył, że jednemu z mężczyzn ucięto głowę, a drugi zmarł na atak serca. Policja przesłuchiwała już mężczyznę, który ocalał, a który przebywa obecnie w szpitalu. Planuje się kolejną rozmowę. Nie odnaleziono jeszcze głowy mężczyzny.

Causey słuchał tych reportaży jednym uchem. Jeśli chodziło o niego, to miał na głowie ważniejsze sprawy niż podejrzana historia o podziemnym łowcy głów.

Trzy uderzenia w drzwi, przerwa, dwa następne uderzenia. Był to szyfr uzgodniony przez Causeya i Cathy Li. Wstał z łóżka i otworzył drzwi. Weszła, niosąc paczkę zawiniętą w szary papier.

— Mam nadzieję, że nie popełniam dużego błędu dając ci to — powiedziała surowo.

Poczuł, że ogarnia go podniecenie.

— A więc masz to? George się w końcu pojawił? *i* Skinęła głową.

— Jesteś mi winien 200 funtów. Nie licząc innych długów.

— Nie martw się, dostaniesz je — powiedział chwytając i rozpakowując paczkę.

— Zawsze tak mówisz, kiedy pytam cię o rachunki. Słyszę to już od wielu lat.

Causey usunął ostatnią z nasączonych smarem szmatek, które okrywały pistolet. Podniósł go do góry. *i*

— To automat, kaliber 45. Stary, prawdopodobnie z armii amerykańskiej, ale w dobrym stanie — powiedział z aprobatą.

— To straszne — cicho powiedziała Cathy.

— No, tak... — wyjął magazynek i zbadał mechanizm, który wydał głośny trzask. — Wygląda na to, że w porządku. Ile amunicji dał ci George?

Z kieszeni kimona wyjęła małe pudełeczko i podała mu. Otworzył je. W środku było tylko osiem naboji, *i*

— To wszystko? — był rozczarowany.

— Ile osób zamierzasz zabić?

Spojrzał na nią wymownie, a potem zaczął wkładać naboje do magazynka.

— Nie zamierzam nikogo zabijać. To tylko dla samoobrony. I po to, żeby mieć jakieś argumenty w djj kusjach. Jest wiele pytań, które chciałbym zadać pew-

nym ludziom. A to ma ich przekonać do udzielenia odpowiedzi.

— A kiedy zaczynasz zadawać te... pytania?

Zatrzasnął magazynek.

— Już niedługo. Może jutro w nocy. Ale zanim się stąd wychylę chcę, żeby wszystko jeszcze trochę przycichło. Czy Baxter był tu dzisiaj znowu?

— Tak. Zadawał te same pytania co wczoraj i przedwczoraj. Ale staje się coraz mniej subtelny. Wyraźnie wygląda na zmęczonego.

— W porządku. A co z człowiekiem Rashada? Wrócił tu?

— Nie. I nie spodziewam się, żeby miał tu wrócić. Kiedy komuś mówię, że nie ma tu wstępu, to znaczy, że nie ma.

Skinął głową. W Soho wszyscy wiedzieli, że Cathy ma ochronę. Chronił ją Tong, tajne stowarzyszenie. Nawet Rashad nie mógł tego lekceważyć. Causey włożył pistolet pod poduszkę i spojrzął na zegarek. Pierwsza w nocy. Kusiło go, żeby od razu zamówić taksówkę i pojechać do kliniki Shayaza, ale wiedział, że nie byłoby to mądre. Musiał być ostrożny. Może jutro albo pojutrze w nocy.

— Miałbym ochotę na podwójną „szkocką”, Cathy — powiedział.

Uśmiechnęła się kwaśno i powiedziała:

— Doliczę to do rachunku.

Kiedy Cathy wyszła, zaczął się zastanawiać czy jego niechęć, by opuścić ten azyl wynika z ostrożności czy też po prostu ze zwykłego tchórzostwa. Z poczuciem winy przyznał, że każdy mijający dzień zmniejsza szansę na to, że Olivia Finch wyjdzie z kliniki Shayaza żywa. O ile jeszcze w ogóle żyje.

A co z Joyce Winters? Czy rzeczywiście nie żyje? Codziennie sprawdzał we wszystkich gazetach, ale jak

dotąd nie było żadnej wzmianki na temat odnalezienia jej ciała.

Życie Joyce przyjęło wszystkie cechy groteskowego snu, ale nie była pewna czy to jej własny sen, czy może kogoś innego. Z biegiem czasu wzrosło w niej uczucie obojętności — parada nagich ciał, kobiet i mężczyzn to co z nią robili, to do czego ją zmuszali. Tak na prawdę, nic z tego wszystkiego jej nie obchodziła. Równie dobrze mógłby to być jakiś film. Czasami wyglądało to zupełnie jak film — kiedy spoglądała w poziome lustro na ścianie. Pewnego razu gapiła się na żywy obraz odbijający się w lustrze, nagie postacie. Zastanawiała się kim jest ta długonoga, ciemnowłosa kobieta, stanowiąca centrum zainteresowania pozostałych osób. Kobieta siedziała na czworakach. Dwaj młodzi mężczyźni znajdowali się z przodu i z tyłu, jak dopasowane podpórki do książek. Jeden gwałcił ją, a drugi wkładał do jej ust członek. Pod nimi leżała biała kobieta o jasnych włosach, z twarzą zagrzebaną między nogami ciemnowłosej kobiety.

Po chwili uświadomiła sobie, i była tym tylko lenko zdziwiona, że ciemnowłosa kobieta, to nie kto inny jak ona sama.

Od czasu do czasu doznawała niewyraźnego uczucia obrzydzenia; czasami przyjemne były dla niej niektóre z doznań fizycznych. W jeszcze innych momentach świadoma była tego, że ją krzywdzą. Ale heroina, którą włączano w nią regularnie, sprawiała, że w swoim kokonie znieczulenia pozostawała nietknięta emocjonalnie.

Rashad leniwie obserwował Joyce przez jednostronne lustro. Jego klienci, trzech milionerzy z Kuwejtu, wyszli i bez wątplenia dotarli już do hotelu, razem z kobietami, które dla nich znalazł.

Mule wszedł na galerię dla widzów, wycierając po prysznicu swoje masywne ciało. Rashad odwrócił się do niego. Nie po raz pierwszy zazdrosny był o zdrowe ciało pozbawione blizn, jakie miał Mule.

— Byłeś dziś dobry — z zazdrością powiedziała Rashad. — Nasi goście byli rozbawieni i odpowiednio podnieceni.

Mule wzruszył ramionami.

— To była ciężka robota. Ona jest nudna. Zbyt rozluźniona, za bardzo poza tym wszystkim. Rozumie pan?

— Tak. Ale zaczekaj aż wyzdrowieje i naprawdę uzależni się od narkotyku. Wtedy dopiero zaczniesz się prawdziwą zabawą. Przystaniemy jej podawać heroinę i sprowadzimy ją na ziemię. To będzie cholerny szok. Żeby dostać najmniejszą dawkę, będzie musiała jeść dla nas gówno. — Rashad wyszczerzył zęby w uśmiechu. Naprawdę będzie musiała **TO ROBIĆ** i nie pomoże sobie heroiną. Będzie wszystko odczuwać i **CIERPIEĆ!** Zanim z nią skończę, stanie się największą białą dziwką w mieście.

Mule patrzył na niego z mieszaniną podziwu i zaciekawienia. Nie mówiąc już o pewnej dozie przerażenia. Nigdy wcześniej nie spotkał faceta, który by tak strasznie nienawidził białych. Wszystkich białych. Mule miał białych gdzieś, ale czasem nie mógł się oprzeć myśli, że Rashad, no cóż, że może jest szalony.

Robak był ślepy, ale miał bardzo dobrze rozwinięty zmysł węchu. I teraz właśnie poczuł coś, co wywołało w nim ogromnie silne uczucie głodu. Głodu, który przez miliony lat natura wpisywała w jego DNA. Czuję CZŁOWIEKA, jednego z naturalnych żywicieli, na którym zdolny był żerować, będąc w jego wnętrzu. Z wyjątkiem człowieka, robak ten nie mógł żywić się we wnętrzu innej istoty. Aby zdobyć to, czego potrzebował, musiał używać innych sposobów.

Zaczął posuwać się wzdłuż tunelu. Za pomoc: swoich wszystkich czterdziestu odnóży.

Poszukiwania prowadzone w kanale Tyburn i w tunelach, odgałęziających się od niego, zaczęły powoli zamierać. Trwały już pięć dni i nie dały żadnych rezultatów. Nie znaleziono nic, co mogłoby wyjaśnić śmierć Grahama Corbetta. Nawet jego głowy nie udało się odnaleźć. Odrzucono początkową wersję policji, że to Ken North zabił Grahama. Wysuwano też inne przypuszczenia, jak na przykład to, że to terroryści infiltrowali kanał pod Ambasadą Amerykańską. Nie znaleziono jednak żadnych dowodów. Wiadomo było jedynie, że jakieś nieznanne osoby odcięły pewnemu młodemu człowiekowi głowę, a w wyniku tego wydarzenia inny mężczyzna doznał ataku serca.

Czterej pracownicy, którzy tego ranka przeprowadzali końcową lustrację głównego kanału, mieli własne teorie na temat tego, co się wydarzyło. Przez kilka godzin zdążyli je dokładnie przedyskutować. Teraz czekali już tylko, żeby wrócić na powierzchnię, odpocząć i napić się gorącej kawy..

— Za każdym razem, kiedy patrzę na wodę myślę, że zobaczę głowę tego biedaka, płynącą w moim kierunku — ze znużeniem powiedział jeden z mężczyzn.

— To niemożliwe. Na pewno jest już setki kilometrów stąd. Zapamiętajcie moje słowa. Pojawi się gdzieś, ale nie tu w pobliżu.

— To dziwne.

Pozostali spojrzeli na niego.

— Co takiego?

— Odkąd jestem na dole, nie widziałem ani jednego pieprzonego szczura. A przecież w tym kanale było ich zawsze najwięcej.

— No faktycznie, masz rację. Ja też nie widziałem żadnego ani nie słyszałem. A wy?

Pozostali stwierdzili, że oni też niczego nie widzieli. I właśnie wkrótce po tej rozmowie, usłyszeli hałas dochodzący z wejścia do bocznego tunelu.

— Czy komuś brakowało szczurów? — spytał jeden z nich i roześmiał się.

Zatrzymali się i latarkami oświetlili wejście do tunelu. Hałas powtórzył się. Tym razem był głośniejszy. Coś jak odgłos ślizgania.

Mężczyzna, stojący najbliżej wejścia powiedział.

— To nie wygląda na szczura.

I pochylił się do przodu, aby to zbadać.

Wtedy coś wytrysnęło nagle z wnętrza tunelu, porywając górną część tułowia mężczyzny. Następnie pozostała trójka zobaczyła jak ich kolega szamocze się, schwytny przez trzy olbrzymie, białe wargi.

Kiedy tak patrzyli, z przerażenia niezdołni do jakiegokolwiek ruchu, mężczyzna zniknął zupełnie w szerokiej, ohydnie białej jamie gębowej.

W tym momencie jeden z nich upuścił latarkę. Obudziło to innych. Zaczęli uciekać. Ten, który upuścił latarkę zaczął także biec, ale w przeciwnym kierunku.

Któryś z uciekających mężczyzn opanował się trochę.

— Zaczekaj! — dysząc zawołał do swojego kolegi.

— Nie możemy tak po prostu zostawić Harrego.

Ale ten nie zważał na to, co mówi i biegł jeszcze szybciej.

Po chwili jednak zmusił się żeby stanąć i odwrócić się. Z ogromnym wstrętem oświetlił tunel latarką. To, co ujrzął przeraziło go jeszcze bardziej. Z wejścia do bocznego tunelu wyłaniała się oślizła, biała rura. Metr za metrem posuwała się w kierunku głównego kanału.

Potem znad wody podniosła się wielka głowa pozabawiona oczu. Poruszała się w przód i w tył, wyraźnie

czegoś szukając. Głowa rozwarła się, dzieląc się na trzy olbrzymie pierścienie i zaczęła posuwać się w kierunku mężczyzny.

Ten wrzasnął, rzucił latarką w potwora i znowu zaczął uciekać.

Causey usłyszał tę historię w wiadomościach o dwunastej. Początkowo słuchał tylko jednym uchem, ale potem sprawozdawca radiowy użył słowa, które przyciągnęło całą jego uwagę.

W podziemiach Londynu wydarzył się następny bardzo dziwny wypadek. Tym razem zniknęło dwóch pracowników kanalizacji, a ich dwóch kolegów, którzy się uratowali, było w stanie ostrego szoku. Jeden z nich bredził coś o olbrzymim stworze, który wyglądał jak ogromny wąż lub ROBAK.

Robak, którego średnica wynosiła przynajmniej metr.

Kiedy Causey to usłyszał, z wrażenia zaczęło go swędzić całe ciało. Intuicja podpowiadała mu, że nie jest to zbieg okoliczności. Wszystko jakoś do siebie pasowało.

Ten nowy rozwój wydarzeń umocnił jego postanowienie. Dziać zacznie dziś w nocy. Pójdzie do kliniki Shayaza i w taki czy inny sposób wyciągnie z niego prawdę. Bez względu na ryzyko.

Odczekał do pierwszej w nocy, a potem przygotował się do wyjścia. Zdjął kołnierz chirurgiczny i ubrał płaszcz. W prawej kieszeni czuł ciężar dodający mu pewności — pistolet kaliber 45. Potem zszedł do baru, gdzie zastał Cathy robiącą porządkę.

— Życz mi szczęścia — powiedział — i nalej mi dużą „szkocką”.

Nalała, mu potrójną whisky.

— To na mój rachunek. Dokąd idziesz?

— Do kliniki Shayaza — podniósł szklanke i wypił połowę. — No dalej, życz mi szczęścia.

— Przecież wiesz, że ci życzę. Jak się tam dostaniesz?

— Wezmę taksówkę.

— Dlaczego nie powiedziałaś, żeby zadzwonić po taksówkę. Podjechałaby tutaj po ciebie. To bardziej bezpieczne.

Pokręcił głową.

— Bardziej bezpieczne dla mnie, ale nie dla ciebie. Nie chcę cię w to mieszać.

— Już i tak jestem zamieszana.

— Nie. Nikt nie może udowodnić, że tu mieszkałam.

Dokończył whisky.

— Czas ruszać.

Pocałowała go w policzek.

— Nie rób głupstw.

— W moim życiu już trochę za późno na takie rady. Ale dzięki za troskę.

Na dole ostrożnie otworzył drzwi wejściowe i wyjrzał na zewnątrz. Hanway Street wydawała się wyludniona. Nawet klub hiszpańskich kelnerów naprzeciwko pogrążony był w ciemnościach. Wyszedł, ociągając się zamknął za sobą drzwi i wąską uliczką podążył w kierunku Tottenham Court Road. Mijał właśnie zaplecze kina „Cannon”, kiedy dwa ogromne cienie oderwały się od pozostałych i otoczyły go.

— No, no, Mule. Spójrz tylko, kogo my tu mamy — powiedział ktoś wesołym głosem, kiedy ręka jak imadło zacisnęła się wokół jego prawego ramienia. Inna dłoń, jeszcze większa, chwyciła go za lewe ramię.

— O rany, to pewne Bingles. Twoja racja. Mamy sławnego detektywa.

Causey zdrętwiał. W duchu przeklinał siebie, że był taki głupi. Wyszedł prosto na nich, jak jakiś osioł.

— Kim jesteście? Czego chcecie? — zapytał ochryplym głosem, próbując wymyślić, co zrobić dalej. Kilka centymetrów od swojej dłoni miał w kieszeni pistolet, ale jego prawe ramię było ściśnięte zbyt mocno, aby mógł po niego sięgnąć. A nawet gdyby sięgnął, wątpił czy zdążyłby go wyciągnąć i strzelić.

— Kim jesteśmy? — zapytał ten, którego nazywano Bingles. Jego ton przypominał Murzyna ze starych hollywoodzkich filmów. — Chłopcami, którzy jakiś czas temu nieźle cię wystraszyli. Posłaliśmy cię, żebyś leciał jak ptak. Problem w tym, że nie nabrałeś rozumu. Znowu musimy dać ci polatać. Tyle, że tym razem nie wrócisz. Mam rację, panie Mule?

— Twoja racja, panie Bingles.

Zatrzymali się przed wyjściem ewakuacyjnym opuszczonego magazynu, który kiedyś należał do firmy płytowej. Kiedy Mule trzymał obydwie ręce Causeya, Bingles wyjął nóż sprężynowy z przerażająco długim ostrzem. Za pomocą noża przez szparę w podwójnych metalowych drzwiach podniósł zasuwę, a potem pociągnął, aby je otworzyć. Otworzyły się z piskiem.

— Już po tobie — powiedział Bingles i uklonił się. Mule popchnął Causeya do środka. Bingles zatrasnął drzwi, a potem zapalił małą latarkę. Oświetliła betonowe schody.

— Do góry, panie Causey.

Mule znowu go popchnął. Causey rozpaczliwie czekał się nadziei, że Mule puści go, ale ku jego ogromnemu rozczarowaniu, potężny Murzyn wciąż trzymał go za prawe ramię. Ramię w ramię zaczęli wspinać się po schodach. Bingles szedł za nimi, a światło jego latarki dosyć kiepsko oświetlało drogę.

— Dokąd idziemy? — spytał Causey. Miał bardzo suche usta i strasznie chciał się wypróżnić.

— Na dach — powiedział Bingles.

— Chcecie mnie zrzucić z dachu, tak?

— Popatrz! Ten biały wcale nie taki głupi, co nie?
— roześmiał się Bingles. — Ma mózg.

— Wkrótce ten mózg będzie na całym Hanway Street — powiedział Mule i również się roześmiał.

— Posłuchajcie, na pewno musi być jakieś inne wyjście — powiedział Causey. — Zrobię, co tylko będziecie chcieć. Wyjadę z Londynu. Cholera, mogę nawet wyjechać z kraju. I nie puszczę pary z ust...

— Pewnie, że nie — chichocząc powiedział Bingles.
— Nigdy.

Umysł Causeya pracował w pośpiechu. Według jego kalkulacji byli gdzieś w połowie drogi. Musi coś zrobić, zanim dotrą na dach. Tylko co?

— Nie chcę umierać — powiedział siłąc się na drżący głos. Nie było to specjalnie trudne.

— Powinieneś o tym pomyśleć, zanim wykurzyłeś Mana — powiedział Mule. — Teraz już za późno. Już po tobie.

— Nie zabijajcie mnie — prosił łamiącym się głosem. — Proszę, nie zabijajcie mnie... proszę...

— Posłuchaj no tego — powiedział Mule. — Ten biały mięczak zacznie pewnie zaraz płakać.

— Niedobrze mi... bardzo niedobrze — skamlał Causey.

Potykał się co trochę na schodach.

— A niech to szlag — zaklął Bingles.

— Niedobrze mi... Zaraz będę rzygać.

Mówiąc to, Causey odwrócił się i przepchnął się tak, że stał naprzeciw Mula.

Mule krzyknął:

— Ejże, człowieku, nie rzygaj na mnie — i odepchnął go.

W tym samym momencie, tak jak na to liczył Causey, Mule puścił jego ramię.

Causey sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął pistolet.

— Uwaga! Nie ruszać się! — rozkazał, kierując na nich pistolet trzymany w obydwu rękach, tak jak przed laty uczono go na specjalnym szkoleniu. Nie zapomniał go nawet odbezpieczyć.

Na widok pistoletu obydwaj wybałuszyli oczy.

— Cholera — mruknął Bingles. Znieruchomieli.

Causey wycofał się powoli w górę do momentu, gdy był pięć stopni nad nimi.

— Widzicie, jak pistolet się trzęsie. Jestem nerwowy, więc zachowujcie się. Nie chcielibyśmy tu żadnych przykrych wypadków, prawda?

Wpatrując się w pistolet Mule powiedziały:

— Ej, człowieku, my tylko żartowali. My nie chcieli naprawdę zrzucić cię z dachu. Prawda, Bingles?

Bingles, którego twarz pokryła się już potem, przytaknął gorliwie. — No tak, to prawda. Chcieliśmy cię tylko trochę przestraszyć.

— Wystraszyliście mnie już dosyć mocno, kiedy zrzuciliście mnie z tych pieprzonych schodów — powiedział Causey. — Więc nie wstawiajcie kitu.

— Co chcesz zrobić, człowieku — nerwowo zapytał Mule.

— Mówiąc szczerze, jeszcze się nie zdecydowałem. Nie mogę was dostarczyć glinom, bo ścigają mnie za morderstwo. Morderstwo, które popełnił prawdopodobnie jeden z was.

Obydwaj pokręcili głowami.

— W żadnym wypadku. To nie my — powiedział Bingles.

— W takim razie kto? Kto zabił pielęgniarkę?

Cisza.

— Żądam odpowiedzi, bo inaczej zastrzelę was obu.

— Do cholery, przecież tego nie zrobisz — powiedział Bingles, ale bez przekonania. Causey domyślał się, że wygląda na faceta gotowego na wszyst-

ko. I wtedy rzeczywiście poczuł, że jest gotowy na wszystko.

— Powiedziałem, że żądam odpowiedzi. Co robi Rashad? Co ma wspólnego z Shayazem? Gdzie w tym wszystkim są te cholerne robaki... I co do diabła stało się z Joyce Winters?

Żaden z nich nie odpowiedział. Po prostu gapili się na niego kamiennym wzrokiem. A potem, niespodziewanie Bingles zgasił latarkę, pogrążając ich wszystkich w zupełnej ciemności.

Bierz go, Mule! — krzyknął Bingles.

11.

Casey nacisnął spust. Oślepił go błysk, a wystrzał z 45-ki w takiej małej przestrzeni był ogłuszający. Nigdy wcześniej nie strzelał z pistoletu kaliber 45 i zaskoczyło go silne szarpnięcie. Ale mimo oszołomienia i dezorientacji wywołanych nagłym obrotem zdarzeń, na tyle zachował przytomność umysłu, że usunął się na bok i przywarł do ściany.

Poczuł, że coś dużego dotknęło go w przelocie. Wystrzelił jeszcze raz. Wydawało się, że ktoś ryknął z bólu ledwie kilka centymetrów od niego. Potem dotarł do niego odgłos spadającego ze schodów ciała. To musiał być Mule. Ale gdzie był Bingles? Przypomniał mu się sprężynowiec, którym Bingles otworzył drzwi i poczuł skurcz w jądrach. Nie mógł czekać, żeby Bingles przyszedł do niego. To on musiał się ruszyć i iść nie zatrzymując się.

Zaczął schodzić na dół, kucając nisko, łdąc, znowu nacisnął na spust. I jeszcze raz. Znowu był oślepiiony i ogłuszony wystrzałami. Kiedy dotarł na półpiętro niemalże potknął się o ciało. Sądząc po rozmiarach, musiał to być Mule. Potem usłyszał delikatny odgłos kroków kogoś schodzącego po schodach.

Causey rzucił się w kąt i wystrzelił w ciemność. Raz. Drugi. Dał się słyszeć dźwięk przypominający skrzekliwy głos kurczaka, a następnie stłumione uderzenie. Potem nastąpiła zupełna cisza. Causey czekał i nasłuchując. Wciąż żadnego dźwięku. Czy Bingles blefował, czy czekał w ciemności na dole, z nożem gotowym do pchnięcia pomiędzy żebra Causeya?

Mijały długie minuty. Causey nie miał innego wyjścia, tylko dalej schodzić na dół. Szedł powoli, zatrzymując się po każdym kroku. Próbował sobie przypomnieć, ile razy wystrzelił, ale nie mógł. Lepiej nie marować naboji, które mu zostały, zanim nie upewni się, że ma do czego strzelać.

Dotarł do następnego półpiętra. Zaczął je ostrożnie! badać czubkiem prawego buta i prawie natychmiast, wzdrygnął się, czując, że czegoś dotyka. Odskoczył, gotów, by ponownie strzelić. Ale nic się nie poruszyło. Po około trzydziestu sekundach jeszcze raz czubkiem buta dokonał badania. Tak, to ciało. Uderzył je mocno. Wydało taki dźwięk, jakby ulatywał z niego gaz. Causey stwierdził, że to faktycznie gaz. Bingles nie żył. Wiedział o tym.

Nagle poczuł ogromną ochotę, żeby się stąd wydostać. Chciał zbiec na dół krzycząc, ale zmusił się, żeby iść powoli i ostrożnie. Nie byłoby dla niego dobre, gdyby potknął się w ciemności i złamał nogę.

Wydawało się, że zejście na dół zabrało dużo czasu. I przez cały czas, czuł ciarki na plecach. Z jednej strony wiedział, że ci dwaj na górze nie żyli, ale jednocześnie spodziewał się, że znowu poczuje mocny ucisk na ramieniu i zaciągną go z powrotem.

Miał trudny moment, kiedy nie mógł otworzyć! drzwi. I niemal wpadł w panikę, ale potem nagle znalazł się znowu na Hanway Street. A woń śmieci nigdy nie była dla jego nosa tak miła.

Zamknął drzwi i oparł się o nie. Trząśł się i poczuł,!

że jest niewiarygodnie słaby. Każde włókno nerwowe w jego ciele buntowało się. Zaczął sobie także zdawać sprawę z tego, że właśnie zabił dwóch ludzi. Nigdy wcześniej nikogo nie zabił. Czuł się tak, jakby dopiero co zsunął się w przepaść. Zdarzyło się coś nieodwołalnego. Nie chodziło tylko o zabicie. Chodziło o to, że zdał sobie sprawę, iż chciał zrobić to, co zrobił.

Spojrzał na pistolet, który trzymał w ręce i włożył go do kieszeni. Zastanawiał się, co dalej robić. Najchętniej wróciłby do Cathy i upił się do nieprzytomności, ale nie mógł sobie teraz pozwolić na taki luksus. Musiał coś szybko zrobić. Zanim Rashad zorientuje się, że stracił dwóch ludzi.

Causey zmienił swój pierwotny plan wizyty w klinice. Zamiast tego złoży wizytę samemu Rashadowi. Czas wydawał się odpowiedni. Przecież miał nad tym łajdakiem przewagę. Jego pojawienie się w progu jest ostatnią rzeczą, której Rashad mógłby się po nim spodziewać.

Znowu wyjął pistolet, wyciągnął magazynek i przeliczył naboje. Jeszcze trzy. Causey przeklął cicho George'a Turnera. Kiepski drań.

Była za kwadrans druga, kiedy Causey zatrzymał się naprzeciwko klubu Rashada, przy Greek Street. Z wyjątkiem jednego oświetlonego okna na drugim piętrze, cały trzypiętrowy budynek pogrążony był w ciemnościach. Nie pozostaje nic innego, zdecydował Causey, jak tylko bezpośrednie wejście. Przeszedł przez ulicę i zadzwonił do drzwi wejściowych. Minęło trochę czasu zanim zobaczył, że światło zbliża się do hallu i usłyszał kroki. Drzwi otworzyły się i młody Murzyn we fraku, ale bez krawata, spojrzał na niego i agresywnym tonem powiedział:

— Zamknięte człowieku! Zjeżdżaj stąd!

Causey wyjął z kieszeni pistolet i przyłożył lufę do czoła mężczyzny.

— Wiesz, co to jest? — spytał Causey.

Mężczyzna przełknął ślinę i powiedział:

— Wiem, człowieku. To pieprzona spluwa.

— Dobrze. Cieszę się, że obaj jesteśmy co do tego zgodni. Nie będzie ci przeszkadzać, jak wejde?

Młody człowiek zezował na automat przyciśnięty do jego czoła.

— Nie, człowieku, możesz wejść — powiedział wysokim głosem.

— W takim razie wycofaj się, ale powoli.

Wycofał się do hallu. Causey poszedł za nim i zamknął drzwi.

— W porządku — powiedział wesoło Causey. — Twarzą do ściany, tak jak na filmach.

— Nic przy sobie nie mam — powiedział, kiedy odwrócił się do ściany i podniósł ręce.

Causey przeszukał go dokładnie i ze zdziwieniem stwierdził, że mówił prawdę. Spodziewał się, że znajdzie co najmniej nóż.

— W porządku. Możesz się teraz odwrócić.

Odwrócił się powoli. Pot spływał mu po twarzy.

— Powiem ci, co teraz zrobimy — powiedział Causey tym samym wesołym tonem. — Zobaczymy się z twoim szefem, Rashadem. Pokażesz mi drogę. Jeśli się na kogoś natkniemy, a ty dasz najmniejszy znak, że coś jest nie w porządku, strzelę ci w tył głowy, a twój mózg rozprysnie się po tej drodzej, białej koszuli, która masz na sobie.

Mężczyzna znowu przełknął ślinę i powiedział zmartwionym głosem:

— Rashada tu nie ma.

Causey podniósł pistolet na wysokość ust mężczyzny.

— Nie wstawiaj mi kitu. Rashad zawsze tu jest.

— Żaden kit, przysięgam. On i jego goryl, Bones] wyszli gdzieś parę godzin temu. Dlatego klub zamknie — to dziś wcześniej.

— Jak oto się dzieje, że ci nie wierzę?

- To prawda, człowieku.
- Dokąd poszedł?
- Nie wiem. Nie powiedział mi. On mi dużo nie mówi. Pracuję dla niego od kilku miesięcy.
- Tak? Co dla niego robisz?

Wzruszył ramionami.

- No, co... różne rzeczy.
- Na przykład?

Mężczyzna zawahał się, wyglądał na zakłopotanego-

— No cóż, ee... gram. No wie pan, w filmach video... z kobietami...

Causey uniósł brwi.

— Naprawdę? To niesamowite. Jeszcze nigdy nie spotkałem gwiazdy filmowej. A co z pielęgniarkami? Czy morderstwo przypadkowej pielęgniarki należy do twoich obowiązków?

Wyglądał na zmieszanego.

— _0 linUcgO:

Causey westchnął.

— Dajmy na razie spokój. Udawajmy, że Rashad JEST tutaj. Gdzie mógłby być?

— Myślę, że w swoim biurze. Rashad niewiele śpi.

— Nie dziwi mnie to. Zaprowadź mnie tam. Ale zanim pójdziemy, chcę żebyś mi powiedział, ile osób znajduje się w tym budynku. Nie licząc ciebie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem powiedział:

— Jeszcze jeden facet i dziewczyna. prostytutka.

— Chcesz spróbować jeszcze raz? Może wyjdzie ci inna liczba.

— Mówię prawdę!

— Oczywiście, że tak. Tylko, że odkryłem w twoich obliczeniach błąd. Zanim cię zabiję, odstrzelę ci jaja — Causey wyszczerzył zęby w uśmiechu — No, ruszaj się. — Zrobił gest pistoletem.

Mężczyzna odwrócił się niechętnie. Causey poszedł

za nim do końca hallu, a potem schodami w górę. Do-
latywała skądś muzyka. Reggae. Causey zapytał, gdzie
tak grają.

— W pokoju Stampera. Wałkoni się tam z tą pro-
stytutką.

— No dobra, nie przeszkadzajmy im. Przynajmniej
nie teraz. Gdzie jest biuro Rashada?

— Na ostatnim piętrze. Ale, mówię panu jeszcze
raz, nie ma go tam.

— Nie bierz tego do siebie, synu, ale nie bardzo ci
wierzę. A swoją drogą, jak masz na imię?

— Justin. Ale mówią na mnie Dziecioł.

— Na Boga, dlaczego?

— Ee... no cóż — Justin zawahał się. — Ponieważ
mam twardego kutasa. Jak drewno, rozumie pan. O
rety, to taki żart.

— Jestem cały w szwach, wierz mi, nie mogę się
śmiać.

Causey stwierdził z rozczerwaniem, że Justin mó-
wił prawdę. W biurze nie było Rashada. Dokonał
szybkiej lustracji miejsca, a potem zapytał:

— Gdzie jeszcze mógłby być?

— Tędy idzie się do jego mieszkania. Ale mówię
panu, że wyszedł.

— No dobra, a jednak chodźmy sprawdzić miesz-
kanie. Prowadź, ale zachowuj się bardzo cicho.

W małym mieszkaniu również nikogo nie było.
Właściwie wyglądało ono tak schludnie i czysto, że
trudno uwierzyć, że kiedykolwiek ktoś tutaj mieszkał.
Nie było tam żadnych osobistych przedmiotów, pamią-
tek, czy fotografii. Zupełnie nic, co mogłoby ukazać
osobowość właściciela mieszkania.

— Mówiłem, że go tutaj nie ma — ponuro powie-
dział Justin.

— Domyślasz się, o której wróci?

— Pojęcia nie mam.

Causey westchnął. Nic, tylko czekać.

— Z powrotem do biura — rozkazał.

Kiedy wyszli z mieszkania, Justin powiedział:

— Pan Causey, prawda?

— A więc oprócz tego, że masz twardego kutasa, to jeszcze jesteś inteligentny. Zaszedłeś daleko w organizacji Rashada. Szkoda tylko, że Rashad nie będzie miał już żadnej organizacji, kiedy z nim skończę.

— Niepotrzebnie się pan podnieca, myśląc, że szef pozwoli panu zobaczyć następny wschód słońca. Nie wie pan nawet, w co się wplątał.

Causey podszedł do biurka Rashada, pistolet trzymając na wysokości żołądka Justina.

— Znowu taki pewny siebie, co Dzieciot? Powinneś o mnie zapytać swoich kumpli, Bingleasa i Mula. Myślę, że gdyby mogli, to powiedzieliby, że mówię poważnie.

Justin zmarszczył brwi.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— To, że oni nie żyją. Zastrzeliłem ich. Dziś w nocy. — Musiał go przestraszyć, żeby nie próbował zrobić czegoś nierozważnego.

— Kłamiesz, człowieku — krzyknął głośno Justin, ale w jego oczach widać było przerażenie.

Causey wzruszył ramionami.

— Już wkrótce poznasz prawdę. A teraz powiedz mi, czy Stamper ma w swoim pokoju telefon.

Justin skinął głową.

— Jasne. A dlaczego?

— Zadzwoń do niego. Fowiedz, żeby tu przyszedł. Powiedz mu, że wrócił Rashad i chce się z nim widzieć. Aha, i niech przyprowadzi tę dziewczynę.

Causey zamilkł, a po chwili dodał:

— I powiedz mu, żeby przyniósł jakąś linkę albo mocny sznurek.

— Po co? — marszcząc brwi zapytał Justin.

— Rób, co mówię.

Causey odsunął się od biurka i pistoletem wskazał że ma użyć jeden z telefonów. Justin podszedł, ociągając się.

— Naprawdę zabiłeś Binglesa i Mula, czy tylko mnie bujałeś?

— Powiedzmy tylko, że od tej pory nie będą sil już musieli martwić o to, że będzie ścigać ich urząd podatkowy. Między innymi. No, dzwoni teraz do swojego) kumpla. I zachowuj się albo...

Causey zaczynał odczuwać zmęczenie. Wysiłkiem było udawanie mocnego faceta, kiedy w gruncie rzeczy marzył tylko o tym, aby pójść do łóżka z butelką i spróbować zapomnieć, jaki dźwięk wydało ciało Binglesa, kiedy je kopnął. A nadal jeszcze czekała go walka z Rashadem.

Okazało się, że Stamper jest niemal tak wysoki jaw świętej pamięci Mule, ale na szczęście nie tak barczysty. Za nim weszła dziewczyna. Miała jasne włosy i ubrana była tylko w męską koszulę.

— Co się do cholery dzieje, człowieku? — Stampel zapytał Justina, który zakłopotany stał przy biurku Rashada. — Po co szefowi ta linka? A w ogóle to gdzie on jest?

Causey wyszedł zza drzwi.

— Tak naprawdę, to ta linka jest dla ciebie.

Stamper i dziewczyna odwrócili się. Causey rozpoznał w niej fałszywą pielęgniarkę, która próbowała go zabić. Uśmiechnął się do niej.

— No cóż, jeśli to nie Florence Nightingale, to pewnie znana jest jako Miss Piguła.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem, nic nie rozumiejąc. Odgadł, że jest naćpana aż po czubek głowy. Stamper spojrzał na niego, a potem znowu na Justina.

— Co jest do cholery?

Justin z zakłopotaniem wzruszył ramionami i powiedział:

— To Causey, bracie. Wziął mnie przez zaskoczenie.

Stamper spojrzął z wściekłością na Causeya.

— Już po tobie. Równie dobrze możesz zadzwonić na cmentarz i powiedzieć, że jutro wpiszesz się na listę obecności.

Zrobił krok w kierunku Causeya, a kiedy ten podniósł pistolet na wysokość jego twarzy, zatrzymał się.

— Mówi, że załatwił Binglesa i Mula — powiedział z niepokojem Justin. — Dziś wieczorem.

W oczach Stamperà pokazało się niedowierzanie.

— A gównu!

Causey westchnął:

— Stamper, rzuć linkę i połóż się na podłodze, twarzą w dół.

Stamper nie ruszał się.

Causey nacisnął spust. 45-tka huknęła. Kula musiała minąć głowę Stamperà ledwie o kilka centymetrów. Wysokie lustro, które stało za nim w kącie biura, rozleciało się na kawałki. Stamper rzucił linkę i położył się na podłodze.

— Justin — powiedział Causey. — Bądź dobrym chłopcem i zwiąż go. Przeguby i kostki razem. No wiesz, tak jak się wiąże wieprza.

Justin wykonał polecenie. Causey zadowolony był z rezultatów i polecił, aby Justin również położył się na podłodze. Causey zwrócił się do dziewczyny.

— Ty. Jak się nazywasz?

— Miranda. Miranda Oates — odpowiedziała z akcentem z południowo-wschodniej Anglii. Niespokojnie przeniosła wzrok z Causeya na dwóch mężczyzn, leżących na podłodze. Zza narkotyków zaczęły wychodzić jej strach.

— W porządku, Miranda. Czyni honoru domu wo-

bec Justina. I upewnij się, czy twoje pętle są dosyć mocne.

Kiedy związała Justina, Causey powiedział:

— W porządku. Teraz twoja kolej.

Wyglądała na przestraszoną.

— Ej, nie mam z tym nic wspólnego. Ja po prostu...

— Ty po prostu na rozkaz Rashada próbujesz zabijać ludzi. Gdyby ci się wtedy udało z tą strzykawką wypełnioną powietrzem, to albo bym teraz nie żył albo byłbym bezwolną istotą. — Zrobił ruch pistoletem. — Kładź się na podłogę.

Zaczęła się trząść.

— Zabijesz mnie. Zabijesz nas wszystkich.

— To zależy. A teraz na podłogę — rozkazał.

Położyła się niechętnie. Kiedy ją związał miał sposobność, żeby zbadać jej ciało. Kiedyś było to z pewnością całkiem niezłe ciało, ale teraz zaczynało już tracić świeżość. Miała także dużo długich, wąskich blizn, jak również czegoś, co wyglądało na oparzenia papierosem.

— Nie zabijaj mnie — błagała. Jej ciało drżało. — Zrobię wszystko, czego chcesz. Wszystko.

— Dzięki za propozycję, ale nie bawi mnie pobyt na oddziale chorób zakaźnych, kiedy dopiero co udało mi się wydostać ze szpitala.

Zawiązał ostatnią pętlę i wstał. Wciąż nasłuchiwał jakichś innych dźwięków w tym budynku. Żałował teraz, że strzelił. Oprócz tego, że zostały mu w ten sposób tylko dwa naboje, to także zaalarmował innych, że coś się dzieje.

Czubkiem buta dotknął dziewczynę.

— A gdzie są inni? Justin powiedział mi, że jest was tu pięćka.

Przestraszona i zmieszana dziewczyna powiedziała:

— Nie ma nikogo innego. Tylko kobieta.

— Stul pysk — syknął z wściekłością Stamper.
Causey podszedł do niego i mocno kopnął go w żebro.

Stamper krzyknął z bólu. Causey wrócił do dziewczyny.

— Jaka kobieta?

Dziewczyna milczała.

— Inna prostytutka, to wszystko. Pewnie teraz śpi — powiedział Stamper.

— Strzał obudziłby ją — powiedział Causey.

— O nie, nie usłyszałaby go. Jest na dole, na parterze.

Causey wiedział, że kłamie.

— Pójdę i sprawdzę, co z nią — powiedział. — Ale skoro masz ochotę na rozmowę, to najpierw zadam ci kilka pytań.

— Spieprzaj!

Causey znowu go kopnął. Mocniej. Stamper wrzasnął.

— Pytanie pierwsze — kto zabił pielęgniarkę. Czy to ty?

— Jaką pielęgniarkę?

Causey kopnął go tak mocno, że z tego wysiłku jego własne potłuczone żebra strasznie go zabołały.

Stamper przestał jęczeć i wydusił łapiąc oddech:

— Bingles. To Bingles ją zabił.

Causey odwrócił się do dziewczyny. Trząsała się tak bardzo, jakby miała konwulsje.

— Czy to prawda?

— Taak — powiedziała.

Pochylił się i przyłożył jej do karku pistolet. Zaczęła jęczeć i nagle pojawiła się pod nią kałuża.

— To ostatnia szansa — powiedział.

— ON ją zabił — jęknęła. — To Stamper.

— Ty pieprzona suko — krzyknął Stamper.

Causey podszedł do Stamera.

— A więc to ty, tak?

— Co chcesz zrobić? — nerwowo zapytał Stamper, próbując odwrócić głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Na początek to — powiedział Causey i mocno przycisnął lufę 45-ki do jego policzka. Stamper krzyknął. Causey czuł pokusę, żeby go zastrzelić, ale wiedział, że nie może go zabić z zimną krwią. Nie, to nieprawda. Potrafiłby go zabić z zimną krwią, ale jutro miałby z tego powodu kiepski nastrój. Poza tym nie mógł marnować amunicji.

— Zabiłeś także Doktor Winters? — zapytał Causey.

— Nie, przysięgam, że nie — dyszał Stamper. — Spytaj innych. Potwierdzą to.

Causey chrząknął z niesmakiem i spojrzał na zegarek. Gdzie do diabła był Rashad? Im szybciej wróci, tym szybciej sprawa byłaby zakończona, w ten czy inny sposób. Causey zdecydował, że pójdzie sprawdzić, co z tą drugą kobietą i zobaczy, co Stamper próbował ukryć.

— Pochodzę tu trochę — powiedział im. — Ale tylko jeden dźwięk, a jestem tu z powrotem i wystrzelam was.

Nie zamierzał schodzić na parter. Jeśli Stamper powiedział, że jest na dole, to mógł być przekonany, że tam jej na pewno nie ma. Zdecydował, że najpierw sprawdzi resztę ostatniego piętra.

Cicho skierował się w dół korytarza. Pierwsze drzwi, które otworzył, prowadziły do małego, ale dobrze wyposażonego studia video. Sądząc z wyposażenia i rekwizytów, jakie się tu znajdowały, nietrudno było się domyślić, gdzie Miranda Oates nabyła niektóre, jeśli nie wszystkie ze swoich blizn.

Następny pokój wyglądał na pewien rodzaj galerii dla widzów. Rząd wygodnych siedzeń ustawiony był naprzeciwko okna. Po drugiej stronie szyby było ciem-

no. Wtedy zauważył, że obok okna znajduje się przycisk. Nacisnął go i zapaliło się światło, które ukazało pokój przypominający loch i nagą kobietę skuloną na brudnym materacu. Poruszyła się, gdy oślepiło ją światło, a potem podniosła głowę. Była niepokojąco znajoma Causeyowi. Po chwili rozpoznał ją.

Chwilę trwało, zanim znalazł drogę do pokoju. Kiedy już tam był, nasiliło się jego uczucie gniewu. Jej ciało pokrywał brud i rany, a włosy były tłuste i nieporządne. Ile czasu minęło, odkąd widział ją po raz ostatni? Nie więcej niż tydzień, a przecież trudno było uznać, że to ta sama kobieta.

Włożył pistolet do kieszeni i uklęknął obok niej. Patrzyła na niego pustym wzrokiem, najwyraźniej go nie poznając. Poznał po jej oczach, że jest pod wpływem narkotyków. Wziął jej rękę. Nie stawiiała oporu. Wystarczył jeden rzut oka. Ślady ukłuć.

— Joyce — powiedział niecierpliwym głosem. — To ja, Ed Causey.

Jej uśmiech przeraził go.

— Cześć, Ed — powiedziała niewyraźnym głosem.

— Ty też przyszedłeś mnie pieprzyć?

— Nie, Joyce — powiedział łagodnie. — Przyszedłem, żeby cię stąd zabrać.

Zastanawiał się gorączkowo, jak do diabła miał zamiar to zrobić, zanim wróci Rashad.

||.

Uderzył ją w twarz. Mocno. Przyniosło to oczekiwany rezultat — w jej oczach pojawiło się coś zblizonego do inteligencji.

— Uważaj, słyszysz! — krzyknął. — Chcę, żebyś została za materacem! Kula może odbić się rykoszetem, rozumiesz?

Tym razem została za materacem, a on skoncentro-

wał swoją uwagę na osadzonej w ścianie płytce, do której przytwierdzony był łańcuch. Umieścił łufę swojej 45-tki kilka centymetrów od płytki i głęboko nabrał powietrza. Tylko dwie szanse. Jeśli zmarnuje obydwie, to Joyce nadal będzie uwięziona. On będzie mieć pusty magazynek.

Wystrzelił. Kula rzeczywiście zrobiła rykoszet, alej nie trafiła w niego. Uderzyła natomiast w okno. Usłyszał brzęk szkła, ale jego obchodziła tylko płytka w ścianie. Łańcuch był nadal nienaruszony.

— Cholera — zawołał. Chwytał łańcuch i pociąg-Jnął mocno. Z delikatnym świstem odpadł od ściany.

— Dzięki Bogu — westchnął.

Pociągnął Joyce, żeby wstała i zmusił do założenia jego płaszcza. Nie było to wcale łatwe — wydawało się, że jej ciało zrobione jest z gumy, a łańcuch ciągle wchodził im w drogę. Znowu ją uderzył. Zaczęła płakać.

— Co z moim zastrzykiem? Późno już. Nie czuję się dobrze.

— Ani ja ani ty. Słuchaj, bądź grzeczną dziewczynką i rób co mówię, a wkrótce dostaniesz zastrzyk. Zgoda?

Skinęła głową, głośno pociągając nosem. Śluz leciał jej z nosa. Causey musiał sobie ciągle powtarzać, że to doktor Joyce Winters. Przez galerię wyprowadził ją z pokoju na korytarz. Nie było czasu, aby szukać tylnego wyjścia z budynku. Będzie musiał zaryzykować wyprowadzenie jej wyjściem od frontu.

Nie było łatwo zejść ze schodów. Potykała się ciągle, a wysiłek jaki musiał czynić, aby uchronić ją od upadku, powodował straszliwy ból w uszkodzonym barku i żebrach. Jednak udało im się w końcu dotrzeć do głównego halu. Oparł ją o ścianę, a potem otworzył ostrożnie drzwi wejściowe, spodziewając się, że zobaczy nadchodzącego Rashada i jego goryla.

Jęknął z ulgą, kiedy zobaczył, że z wyjątkiem kilku pijanych włóczęgów kłócących się po obu stronach uliczek, w pobliżu nie było nikogo.

— Najwyższy czas, żebym miał trochę szczęścia — mruknął.

Podtrzymując ramieniem Joyce, wydostali się na ulicę.

— No dalej, ruszaj się — powiedział do niej ze złością.

Niepewnym krokiem zaczęli iść w górę Greek Street. Jeden z pijaczków po drugiej stronie ulicy krzyknął coś niezrozumiale, ale Causey nie zwracał na niego uwagi. Miał nadzieję, że tamten nie pójdzie za nimi i nie urządzi im awantury. Ujęcie przez policję było ostatnią rzeczą, której pragnął. On, ścigany za morderstwo i ona, handlarka narkotykami, bez wątpienia nafaszerowana heroiną.

Kiedy dotarli do Soho Square, poczuł się bezpiecznie. Jedyłą osobą, którą tam spotkali był uczeń — Hare Kriskna, który na ich widok smutno pokiwał głową.

Trudna chwila nastąpiła wtedy, gdy przechodzili przez Oxford Street. W pewnej odległości od nich zobaczył wóz policyjny, ale zanim do nich dojechał zdążyli dojść do Hanway Street.

— Chcę iść do domu — mamrotała Joyce.

— Już niedługo, kochanie — dyszał Causey. — Ale najpierw pójdziemy tam, gdzie będziesz mogła odpocząć, wykapać się.

Miał nieprzyjemną świadomość, że Joyce cuchnie.

W końcu stanęli przed wejściem do „Sax Club”. Oparł się o dzwonek. Cathy uchyliła drzwi i wyrażała zaniepokojona:

— Ed?

— Cześć, Cathy. Boję się, że przytargałem ci następny kłopot.

Cathy spuściła łańcuch z drzwi i pomogła wnieść Joyce. Kiedy wnieśli ją do baru na górę, Causey opadł na krzesło, a Cathy zaprowadziła Joyce na kanapę.

— Kto to jest? — spytała Cathy.

— Pozwól mi przedstawić — doktor Joyce Winters. Uwierzysz albo nie, ale jest kimś ważnym w Szpitalu Middlesex.

— Ale co jej jest? Jak to się stało, że jest w takim stanie?

— Nalej mi dużą, bardzo dużą szkocką, a wtedy wszystko ci opowiem.

Rashad domyślił się, że coś jest nie w porządku, kiedy w holu klubu spotkał ogłupiałego Stampera z zaschniętą na policzku krwią.

— Ee... dostaliśmy dziś lanie — powiedział unikając wzroku Rashada.

— Policja.

— Ee... nie. To... — Stamper przerwał z zakłopotaniem. — To Ed Causey.

— Co takiego?

Stamper skrzywił się.

— No tak, to on. Wziął kobietę. Zabrał ją ze sobą. Ale to jeszcze nie koniec.

— Mów dalej.

— Twierdzi, że rozwalił Binglesa i Mula.

Bardzo spokojnym głosem Rashad zapytał:

— Czy to prawda?

Stamper nerwowo potarł kark.

— No... jeszcze nie wiemy, szefie. Wzywamy icrl od pół godziny, odkąd się uwolniliśmy. Ale jak dotąd nic.

— Odkąd się uwolniliście?

— No...- związał nas. Gdyby nie to, że wrócił Prince i nas znalazł, bylibyśmy nadal związani.

Rashad wciągnął głęboko powietrze.

— Jak on się tu dostał?

— Dziecioł. Wziął go przez zaskoczenie.

— Naprawdę? — powiedział lodowato Rashad. —
A gdzie jest teraz Dziecioł.

— Czekaj w biurze.

— Dobrze. Chodź ze mną.

Rashad z jawną pogardą spoglądał zza swojego biurka na Stampera i Justina. Jego krzepki goryl, trochę mniejsza wersja Mula, z kamienną twarzą siedział w fotelu — Rashad powiedział mu, że będzie potrzebny.

Odezwał się Rashad.

— Informacja, którą to wy mi dostarczyliście panowie, myślę, że nie muszę o tym przypominać, była taka, że Causey jest skończony, że to zapijaczony eks-gliniarz. A więc jak to się stało, że zdolny był, żeby zrobić to, czego dokonał dziś w nocy? Jak to się stało, że rozwalił dwóch moich najlepszych ludzi, a potem zrobił z was idiotów?

— No... nie mamy jeszcze pewności co do Binglesa i Mula — powiedział Stamper.

— A zatem gdzie oni są?

Stamper bezradnie pokręcił głową.

Justin powiedział z troską:

— Przykro mi, proszę pana, ale...

— To mnie jest przykro — powiedział Rashad.

— Zawiodłeś mnie. Bardzo. Miałem o tobie inne zdanie.

— Ale on miał pistolet! Nie mogłem nic zrobić! — z twarzy Justina spływał pot.

— My też mamy tu pistolety. Dziś w nocy odpowiadałeś tu za bezpieczeństwo, a kiedy nad ranem ktoś nieoczekiwanie dzwoni do drzwi, ty tak po prostu otwierasz. Bez żadnych środków ostrożności.

— Nie przyszloby mi nigdy do głowy, że ktoś odi
wazyłby się zaatakować pana klub.

— No cóż, ktoś się odważył i teraz na wolności są
dwie osoby, które za dużo o mnie wiedzą. Dzięki to-
bie. — Rashad zaczął się wściekle drapać po klatce
piersiowej. — Chcę, żebyś się stąd wyniósł. Przynaj-
mniej przez tydzień nie chcę cię widzieć. Pojedziesz do
kliniki. Doktor Shayaz ma tam dla ciebie trochę pracy
— odwrócił się do swojego goryla. — Bones, zawieź
go natychmiast do kliniki. I upewnij się, że robi, czego
od niego wymagają.

Goryl skinął głową i podniósł się z fotela.

Justin, rozluźniony, a jednocześnie lekko zaniepo-
kojony powiedział:

— Już pana nie zawiodę, panie Rashad.

— Wiem o tym — zapewnił go Rashad.

Kiedy odeszli, Rashad powiedział do Stamperà:

— Gdzie dziś wychodził Bingles i Mule?

— Zamierzali znowu obserwować „Sax Club*.”]
Bingles podejrzewał, że tam właśnie przebywa Causey.

Rashad skinął głową.

— Myślę, że miał rację. I wydaje mi się, że tam *teA*
wrócił Causey razem z Winters. Zbierz jak największej
ludzi i przed wschodem słońca zaatakuj to miejsce.
Chcę ich widzieć martwych. Causeya i kobietę.

Wyglądało na to, że Stamper ma wątpliwości.

— No, nie wiem, szefie. Właścicielką „Sax Club*1
jest Cathy Li.

— Wiem o tym.

— Ale jej ojciec stał na czele największego w Soho]
Tonga. Ona ma nadal różne powiązania... Mam na
myśli to, że jeśli zaatakujemy to miejsce, to wpadniemy
po uszy w tłum wściekłych Chińczyków wywijających
wielkimi nożami.

— Będziemy się tym martwić później. A teraz róbj
co ci mówię.

— Tak, proszę pana — powiedział Stamper i czym prędzej wyszedł z pokoju.

Rashad wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Nie przypominał sobie, żeby swędzenie było kiedykolwiek tak dokuczliwe jak w tej chwili. Nasiliło się, kiedy usłyszał wiadomość o wczorajszych wydarzeniach w kanale. Od razu wiedział, że relacja człowieka, który ocalał o tym, że widział na dole coś przypominającego olbrzymiego węża lub robaka, nie była żadnym wymysłem. Dlatego właśnie złożył wizytę w klinice.

Shayaz próbował na początku zaprzeczyć, że ten stwór w kanale to uboczny produkt jego badań, lecz pod naciskiem Rashada przyznał, że mogła to być glista dżdżownicowata, którą Wingate zwymiotowała, a potem spuścił z wodą w toalecie.

— Pasożyt może żyć poza organizmem żywiciela? — zapytał go Rashad. — Jak długo?

— Możliwe, że w wyniku wszystkich zmian genetycznych, które wprowadziłem do tego gatunku, nie potrzebuje on już organizmu żywiciela. O wiele łatwiej przystosowuje się do otoczenia. Tak więc albo ma żywiciela albo też kanały ściekowe służą mu jako pewien rodzaj ogromnego substytutu ludzkiego jelita. — Shayaz bezradnie wzruszył ramionami.

— Ale, że to może urosnąć do takich rozmiarów...

— Zostały usunięte wszelkie genetyczne bariery wzrostu. Powiedziałaś mi, że chcesz, aby te robaki były większe niż normalne.

— Ale nie takie duże, ty głupcze!

— Posłuchaj, Rashad. Nie kroilem tu niczego według wzoru. Starałem się w niesprzyjających warunkach łączyć różne molekuly DNA! Mówiłem ci wcześniej, że będzie to szukanie po omacku. Uczyniłem dla ciebie cuda — CUDA! I to w stosunkowo krótkim czasie!

— Ale wciąż nie dajesz mi tego, czego chcę. A czas ucieka. Ktoś może doszukać się związku pomiędzy

tym stworzeniem, a robakiem, który zabił Laureę Finch. To oznacza, że będzie tu węszyć więcej osób. ¹

Shayaz ukrył twarz w dłoniach.

— I wtedy będę skończony. Aresztują mnie. Stracą wszystko. Wszystko, na co tak ciężko pracowałem od przyjazdu do tego kraju.

Rashad powiedział zimno:

— Obiecałem ci bezpieczny wyjazd z kraju, a opłóć tego dużą sumkę. Ale jedynie gdybyś spełnił moje oczekiwania.

— Już niedługo, przyrzekam ci! — zawołał Shayaz! — Jeszcze kilka dni. Jestem prawie pewien, że gatunek, który rozwija się w drugiej pannie Finch, jest doskonały dla twoich potrzeb. Ale muszę przeprowadzić więcej badań, a do tego potrzebny byłby mi jeszcze jeden osobnik.

Rashad westchnął i z rezygnacją powiedział:

— W porządku. Zobaczą co się da zrobić. Alej przyrzekam, że jeśli przed końcem tygodnia nie dasz mi tego co potrzebuję, to aresztowanie będzie najmniejszym z twoich zmartwień.

Opuścił klinikę w złym nastroju. A teraz jego nał strój był jeszcze gorszy. Nie do pomyślenia było dla niego, że wszystkie te lata planowania, lata marzeń o zemście, miały być zmarnowane. Wszystko szło tak gładko, a potem nagle jedno niepowodzenie za drugim. Większość tych problemów miała swój początek w nieostrożności Shayaza — zamierzał go zabić bez względu na finał całej historii. A kiedy wmiszał się do tego Causey, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Ale zanim nadejdzie świt, Causey będzie już marJ twy. Rozwiązał także inny problem — dostarczył Shayazowi kolejnego królika doświadczalnego. Justin będzie bardzo żałować, że był taki głupi.

— Jak ona się czuje? — Causey zapytał Cathy Li.
— Zasnęła. Ale pewnie nie na długo. Kiedy się obudzi będzie niespokojna, no i na pewno chora. Przygotowałam dla ciebie inny materac, obok łóżka, na podłodze.

— Dzięki. Myślisz, że jest od tego uzależniona?

— Mówiłeś, że jak długo Rashad i jego ludzie robili jej zastrzyki?

— Najwyżej tydzień.

Cathy pokręciła głową.

— Nie sądzę, żeby przez ten czas uzależniła się. Ale jeśli rzeczywiście pokażą się u niej oznaki głodu narkotycznego, to dam jej trochę opium. Złagodzi to jej dolegliwości.

Causey pociągnął jeszcze trochę „szkockiej” i powiedział:

— Nigdy nie zdołam ci się odwzajemnić, Cathy. Tyle dla mnie zrobiłaś, a ja narażam cię jedynie na niebezpieczeństwo. Rashad może się domyślić, gdzie jesteśmy. Dwóch jego ludzi wiedziało już wcześniej — czekali na mnie, kiedy od ciebie wyszedłem.

— Nie martw się. Tutaj jesteś bezpieczny. I ta pani również. Przeprowadziłam rozmowę telefoniczną.

— Rozmowę?

— To nieważne. Ludzie Rashada, mówisz, że czekali na ciebie? Co się z nimi stało? Wydawało mi się, że jakiś czas po twoim wyjściu słyszałam strzały. Czy ty...?

Causey uśmiechnął się:

— To nie ma znaczenia.

Podoficer śledczy Ron Baxter był potwornie zmęczony. Tak jak wielu innych oficerów stołecznej policji, którzy mieli doświadczenie z bronią palną, został odkomenderowany do ochrony kilku grup poszukiwawczych. Grupy te, utworzone z pracowników różnych służb alar-

mowych oraz pracowników kanalizacji penetrowały obecnie system kanałów w poszukiwaniu zaginionych mężczyzn.

Baxter wspólnie z innym uzbrojonym detektywem ochraniał pięcioosobową grupę straży pożarnej z dzielnicy Euston. Ich przewodnikiem był doświadczony pracownik kanalizacji. Od ponad pięciu godzin przebywali pod ziemią i byli bardzo wyczerpani. Jeszcze pół godziny i będą mogli wrócić na powierzchnię. Zastąpi ich kolejna grupa. Baxter nie mógł się już doczekać.

— Czy to twoje urządzenie już działa? — Baxter spytał detektywa. Miał na myśli jego krótkofalówkę, nieporęczny przyrząd, posiadający na tyle silny sygnał, że można było się połączyć z Centrum Koordynacji Poszukiwań w New Scotland Yard. Przynajmniej teoretycznie, bo naprawdę to przez ostatnie parę godzin nie złapali nic z wyjątkiem szumów.

— Nie, Ed. Myślę, że wilgoć dostała się do środka!

— Co, geniuszu, to twoja fachowa opinia? — zapytał cierpko Baxter. Jego współpracownik, detektyw Peter Harmer, działał mu na nerwy. Po pierwsze, był bardzo młody, a po drugie był absolwentem uniwersytetu. Baxter, podobnie jak wielu policjantów z jego pokolenia, uważał, że policja to nie miejsce dla absolwentów.

— Już dawno mogli znaleźć to, czego szukamy • dopóki nie wrócimy do bazy nie będziemy nic wiedzieć. Cholera jasna.

— To nie ja robiłem tę krótkofalówkę Ed. Nie miej do mnie pretensji — powiedział Harmer.

Baxter chrząknął.

Brodząc w wodzie, która sięgała im niemal do pasa, szli razem z przewodnikiem na czele grupy. Baxter i Harmer nieśli karabiny Armalite, które według Baxtera, nie były tu potrzebne. Jak już wcześniej wyczerpująco wytłumaczył, cała ta sytuacja była tylko „burzą w szklance wody”.

— Całe to gówniane gadanie o olbrzymim robaku. To tylko gówno, to wszystko.

— Nie mów tu o gównie — bolesnym głosem powiedział Harmer. — Nie tutaj.

Ale w głębi duszy Baxter niepokoił się. Nie o to, co się stało z zaginionymi mężczyznami. Niepokoił go fakt, że znowu pojawiło się słowo „robak”. Nie lubił zbiegów okoliczności. Nie podobało mu się też, że wzmianki o olbrzymich robakach stają się ostatnio treścią jego życia. Odrzucił już tyrady Causeya traktując je jako produkt zniszczonego alkoholem umysłu. Dlatego nie najlepiej czuł się z myślą, że jest prawdopodobnie zaangażowany w polowanie na coś, co zostało opisane jako olbrzymi robak. To wszystko było tak absurdalne, a przecież...

Przewodnik, niosący silną latarkę, zniknął nagle pod wodą. Ogarnęła ich zupełna ciemność.

— Co...? — dyszał w ciemności Harmer.

— Światło! — krzyknął Baxter. Wiedział, że strażacy, idący z tyłu, niosą latarki. Zaczął grzebać w wodzie jak oszalały. Zakładał, że mężczyzna wpadł do dziury w podłodze tunelu. Rozbłysło kilka świateł. Baxter zastygł w bezruchu. Zaledwie kilka metrów od niego wyłoniło się z wody coś, co było wielką paszczą. Za nią można było dostrzec długi, biały tułów, który falował w ciemności tunelu.

— Chryste - jęknął Baxter. - To ROBAK.

— Nie stój tak! — krzyknął Harmer. — Strzelaj do tego świństwa.

16.

Stamper poprowadził czwórkę swoich ludzi na Hanway Street. Cała piątka była uzbrojona. Trzy osoby miały obrzyny. Stamper i jeszcze jeden mężczyzna nieśli karabiny Smith and Wesson, kaliber 38. Plan był

prosty. Rozwałą siekierą drzwi wejściowe do „Sax Club”, wbiegną na górę, znajdują Causeya i dziewczynę, i rozwałą ich. Ale Stamper dał pozostałym jasno do zrozumienia, że jeśli Chinka zostanie chociaż lekko draśnięta to koniec z nimi.

Przemykali się cicho ulicą, aż dotarli do „Sax Club”. Zebrali się wokół wejścia. Stamper wyciągnął swoją 38-kę i dał znak temu, który trzymał siekierę, aby się przygotował.

A potem wszystko się potoczyło w takim tempie, że aż do samego końca Stamper nie miał pojęcia co się do licha dzieje. Kątem oka zauważył jakiś ruch, usłyszał szyderczy śmiech, w prawym ramieniu odczuł drętwienie, a potem został gwałtownie rzucony na drzwi. Całą jego czwórka leżała na ziemi. Dwóch wiło się słabo, pozostali leżeli bez ruchu. Otoczyło ich kilka małych postaci ubranych na czarno. Światła odbijały się od toporów, które trzymali.

Stamper bardzo wolno opuścił wzrok na to, co leżało między jego stopami. Była to 38-ka, nadal ścisł ją mocno w jego prawej ręce.

Potem spojrzął na prawe ramię, kończyło się zaraz poniżej łokcia. Krew tryskała rytmicznie z kikuta. Kolana ugięły się pod nim i upadł.

Joyce Winters obudziła się krótko przed szóstą rano. Cathy nieźle się napracowała, aby ją wyszorować, ale dla Causeya nadal przedstawiała upiorny widok. Zgasił papierosa, którego palił ukradkiem i przysunął krzesło bliżej łóżka.

— Jak się czujesz?

Przez chwilę patrzyła na niego pustym wzrokiem, a potem wyglądało na to, że go poznaje.

— Okropnie — jęknęła. — Zaraz będę wymiotować...

Wziął plastikowe wiaderko, które przyniosła Cathy, a potem pomógł jej usiąść. Podtrzymawał ją, kiedy wy-

miotowała głośno do wiadra. Gdy skończyła podała jej zwitek papierowych chusteczek i szklanę wody.

— Trochę lepiej? — spytał, gdy wypłukała usta.

— Trochę — położyła się z powrotem na poduszce. — Gdzie jesteśmy?

— W klubie, w Soho. Moja przyjaciółka jest właścicielką. Jesteś tu bezpieczna. — Po chwili dodał — Pamiętasz coś?

W jej twarzy pojawił się wyraz bólu.

— Za dużo — zamknęła oczy. — O Boże, byłam gwałcona. Ciagle... ciagle... i — zaczęła płakać. — I nie obchodziło mnie to. To wszystko, co ze mną robili... a mnie to nie obchodziło.

— Spokojnie — powiedział kładąc jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się.

— Joyce, oni faszzerowali cię heroiną. Pewnie także innymi narkotykami.

— Wiem, ale... — potrząsnęła głową, jakby próbując wymazać to wszystko z pamięci. — Powinna zobaczyć się z lekarzem. Boli mnie, w środku...

— Cathy już cię zbadała. Nie jest lekarzem, ale zna się na medycynie chińskiej. Mówi, że masz kilka ran wewnętrznych, ale przestały już krwawić. Uważa, że to nic poważnego.

— Ale i tak chcę się widzieć z lekarzem. Bóg jeden wie, jakie załapałam zarazki. I chcę się upewnić czy nie jestem w ciąży.

Skrzywiła się na myśl o tym.

— Jak tylko będzie bezpiecznie zabierzemy cię do lekarza.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Bezpiecznie? Przecież policja z pewnością złapała już tych łajdaków?

— Joyce — powiedział delikatnie — nie możemy jeszcze iść na policję. Mnie ścigają za morderstwo, a ciebie... no cóż, obawiam się, że policja ma wrażenie,

że handlujesz narkotykami. Rashad cię wrobił. Upozorował twoje samobójstwo i opisał wszystko w twoim liście pożegnalnym.

Spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

— O Boże, teraz sobie przypominam. Artykuł w gazecie. Moi rodzice, Paul... oni cały czas myślą, że nie żyję. Muszę do nich zadzwonić!

Próbowała wstać. Położył rękę na jej ramieniu. Wzdrygnęła się znowu.

Causey powiedział:

— Poczekaj parę godzin. Jest dopiero szósta rano. Kiedy się uspokoisz, zejdziemy na dół i zadzwonimy.

Znowu zaczęła płakać.

— Biedna mama i tata. Co oni musieli przez ten czas przeżyć.

— Tak, wyobrażam sobie. Moja córka myśli pewnie teraz, że jej stary to morderca, skompromitowany glina i pijaczyna.

Już kilka razy miał ochotę zadzwonić do Mickey, ale zdecydował, że lepiej tego nie robić. Gdyby telefon odebrała jego była żona...

— Biedny Paul — westchnęła. — Pewnie także przeżywa piekło.

— Paul?

— Mój chłopak. Z pewnością powiedział policji, że jestem niewinna, że nigdy nie kradłam ze szpitala żadnych narkotyków.

— Na pewno powiedział. Ale inna sprawa, czy mu uwierzyli. Kiedy wręcza im się miłe, porządne wyznania gotowi są je przyjąć bez zadawania żadnych pytań. Wiem coś o tym.

— A więc co zrobimy? — zapytała. — Co MOŻEMY zrobić?

Wziął ją za rękę. Z ulgą zauważył, że tym razem nie odsunęła się.

— Nie martw się. Zastanawiam się nad tym.

Bones wszedł do biura Rashada, trzymając paczkę owiniętą w szary papier i luźno przewiązaną sznurkiem. Była pokrwawiona.

— Ktoś to zostawił pod drzwiami — powiedział ponuro Bones. — Sprawdziłem to na dole. Złe wieści, szefie.

— Co to jest?

— Lepiej jak sam pan zobaczy.

Bones położył paczkę na biurku i rozwiązał sznurerek. Potem rozwinął papier i ukazała się dłoń i część przedramienia. Czarna dłoń ścisnęła rewolwer Smith and Wesson, kaliber 38.

— Myślę, że już wiemy, czemu Stamper i jego chłopcy się nie odzywają — powiedział Bones. — To ręka Stampera. Poznają sygnet.

Bones odskoczył, kiedy z okrzykiem wściekłości Rashad chwycił rękę i cisnął nią przez pokój.

Olivia modliła się o siłę. Modliła się także o to, aby przed następną wizytą Shayaza nie stracić przytomności. To była jej ostatnia szansa.

Znowu to coś poruszyło się w niej. Naprężyła się z bólu, gryząc wargi. Za każdym razem, kiedy to coś się poruszyło, bała się, że zaczyna torować sobie drogę przegryzając jej jelita. Męczyły ją koszmarnie sny, w których widziała jak głowa robaka wyskakuje z jej napuchniętego brzucha. Budziła się wtedy z krzykiem. Spodziewała się, że cała koszula będzie we krwi.

Klucz przekreślił się w zamku. Zesztywniała. Otworzyły się drzwi i wszedł Shayaz. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Uśmiechnął się blado.

— Nie będę pytać jak się pani czuje — powiedział przepraszająco.

— Jestem słaba — wyszeptwała. — Tak bardzo słaba. Myślę... Myślę, że umieram.

Wziął jej nadgarstek i zmierzył puls.

— Hmm, właściwie serce jest wciąż mocne, panno Finch. Ma pani mocny organizm, chociaż — znowu uśmiechnął się blado — obawiam się, że w pani sytuacji nie jest to powód do radości. Proszę mi wierzyć, że chciałbym pani dać środki przeciwbólowe. Ale wywarłyby one wpływ na pasożyta.

Poruszyła wargami i wyszeptała coś.

— Co pani powiedziała? — zapytał.

Znowu poruszyła ustami. Pochylił się, aby zbliżyć ucho do jej warg. I wtedy rozwarł ze zdziwienia oczy, gdy zauważył, że na stoliku obok łóżka nie ma pojemnika z substancją odżywczą. Ale zanim zdążył się wyprostować, Olivia odwróciła się i chwyciła pełną butelkę, którą ukryła obok poduszki. Uderzyła go w głowę. Jęknął, zachwiał się i chwycił się za głowę. Usiadła na łóżku i jeszcze raz zamachnęła się butelką. Tym razem uderzyła go w sam czubek łysej głowy. Butelka roztrzaskała się i Shayaz upadł.

Olivia opadła na poduszki. Serce waliło jej z wysiłku. Ale po chwili zmusiła się, żeby znowu usiąść. Ogarniały ją zawroty głowy, ale przewyciężyła je. Spojrzała na Shayaza. Leżał obok łóżka, twarzą do podłogi. Krew sączyła się z rany na głowie.

Udało jej się wstać z łóżka. Miała miękkie nogi. Przez chwilę ogarnęła ją pokusa, aby porzucić myśl o ucieczce, ale zaraz zmusiła się, aby iść dalej. Dotarła do drzwi, przez kilka sekund stała opierając się o nie, aż wreszcie je otworzyła. Za drzwiami był nagi, betonowy korytarz. Tak jak się tego spodziewała, była w piwnicy kliniki. Niepewnym krokiem, powoli szła korytarzem, od czasu do czasu przystając, by oprzeć się o ścianę. Mdłości były nie do zniesienia, a co gorsza, pod wpływem jej ruchu, to coś w brzuchu uaktywniło się i wygładało na to, że wije się dokoła.

Korytarz kończył się schodami. Tylko jedna kondygnacja, lecz zanim Olivia dotarła do góry, czuła się

tak, jakby zdobyła Everest. Drogę zablokowały jej metalowe drzwi. Modliła się, żeby nie były zamknięte. Były otwarte. Uchyliła je i wyjrzała na zewnątrz.

Zobaczyła, że za drzwiami znajduje się garaż i warsztat. W pobliżu zaparkowana była karetka, a dalej, przez otwarte drzwi, widać było podjazd. Jej oczy napełniły się łzami radości. Brama wjazdowa była również otwarta. Wolność była ledwie kilka metrów od niej.

Napływ adrenaliny spowodował, że jej zmęczone ciało szybko ruszyło przez garaż, a potem podwórce do bramy.

Kiedy była już blisko bramy, usłyszała za sobą krzyk. Odwróciła się i zobaczyła, że z garażu wybiega Shayaz.

Szlochając zwiększyła wysiłek. Już prawie... prawie tam... Już przebiegła przez bramę! Biegła dalej, przepelniona radością, na środek ulicy. Zaczęła krzyczeć.

— Pomocy! Na miłość Boską, niech mi ktoś pomoże!

Zatrzyma się jakiś samochód. Na pewno. I zabierze ją na najbliższy posterunek policji, gdzie wszystko opowie, a potem zawiozą ją do szpitala i wyciągną z niej tego upiornego potwora.

Nagle wyłonił się przed nią jakiś człowiek.

— Musisz mi pomóc! — krzyknęła do niego.

Ale on złapał ją i zaczął ciągnąć z powrotem, tam skąd przysła.

— Nie! — krzyczała z przerażeniem. — Nie! Puść mnie! Muszę uciekać!

Próbowała się wyrwać, ale była za słaba. Zaprowadzono ją w kierunku kliniki. A potem znalazł się obok niej Shayaz, ścisnął ją za ramię. Dziękował mężczyźnie, który ją złapał i opowiadał, że to pacjentka chora na schizofrenię.

— Nie, nie — protestowała słabo. — Proszę go nie słuchać, on chce mnie zabić.

— Myślałem, że to wariatka — powiedział mężczyzna, popychając ją w objęcia Shayaza. A potem przyszedł człowiek z ochrony kliniki i Olivia wiedziała, że to nie przyniesie nic dobrego. Rozpacz jak olbrzymia paszcza pochłonęła ją całą. Zemdląła.

Shayaz dziękował wylewnie mężczyźnie.

— Zrobił pan nam olbrzymią przysługę. Trudno mi wyrazić nasze podziękowanie. Jak pan widzi ta biedna kobieta jest w bardzo ciężkim stanie. Nie mówiąc już o tym, jak wielką krzywdę wyrządziłaby sobie, gdyby pan się nie zjawił.

Zaniemówił nagle. Ku jego zdziwieniu mężczyzna wyciągnął z kieszeni płaszcza duży automatyczny pistolet i przytknął mu go do żeber.

Gdyby Causey był w dobrym nastroju, to roześmiałby się teraz. Shayaz wyglądał zabawnie otwierając i zamykając usta jak ryba złapana na haczyk, która próbuje łąpać powietrze. Człowiek z ochrony również wyglądał dosyć głupio. Oczy wychodziły mu z orbit. Causey mocniej przycisnął pistolet do żeber Shayaza.

— Doktorze Shayaz, niech pan lepiej powie swemu człowiekowi, żeby się nie ruszał. Inaczej będzie się pan musiał pożegnać z kilkoma niezbędnymi do życia organami.

Shayaz łąpał bez słowa powietrze, a potem ochrypłym głosem powiedział:

— Rób, co pan ci mówi, Les. Proszę.

Człowiek z ochrony skinał głową.

Causey powiedział:

— W porządku, wejdźmy do środka. Chyba nie chcemy rzucać się w oczy, prawda?

Cała czwórka, z Shayazem i jego pracownikiem niosącym **Olivie**, weszła przez bramę na podjazd, a potem do garażu.

— Kim pan jest? — niespokojnie zapytał Shayaz, kiedy byli już w środku.

— Nazywam się Ed Causey. Pewnie coś panu mówi to nazwisko.

Błąda twarz Shayaza jeszcze bardziej poblądła.

— Rashad mówił... — urwał w pół słowa.

— Jestem pewien, że mówił — wesoło powiedział Causey. — Pytanie, co robimy teraz? Osobiście jestem za tym żeby wezwać policję.

Wymownie spojrzął na mężczyznę z ochrony, a potem znowu na Shayaza.

— Dlaczego nie powie mu pan, żeby zadzwonił na policję.

Shayaz zamrugął oczami.

— Czego pan ode mnie chce? Zrobię wszystko, co pan powie.

— No cóż, przede wszystkim, patrząc na pannę Finch, wydaje mi się, że jest w bardzo złym stanie. Właściwie podobna jest do swojej siostry, w dniu jej śmierci. Czy ma te same problemy?

— Nie możemy tutaj o tym rozmawiać — szybko powiedział Shayaz. — Muszę umieścić pannę Finch w łóżku, a potem powiem panu wszystko co chce pan wiedzieć.

Człowiek z ochrony patrzył ze zdziwieniem.

— Doktorze Shayaz, czy powinienem...?

— Nic nie rób! — krzyknął Shayaz łamiącym się głosem. — Zostaw to mnie. Wszystko jest w porządku.

Odwrócił się do Causeya.

— Proszę mi pomóc zaprowadzić ją do pokoju.

Causey pokręcił głową.

— Najpierw ją pan zoperuje. Natychmiast. Wyciągnie pan z niej tego stwora.

— Operować. To niemożliwe.

Causey machnął pistoletem.

— Rób co mówię.

— Ale niech pan na nią spojrzy. Ona nie przeżyja zabiegu.

— A jak długo przeżyje bez zabiegu?

Shayaz spojrział na strażnika, potem wzruszył ramionami.

Causey powiedział:

— Domyślam się, że pański personel nie orientuje się za bardzo, co się tu dzieje. Mam rację?

Shayaz odpowiedział niechętnie:

— Kilka zaufanych osób wie więcej niż pozostał. Ale nikt nie zna całej sprawy.

— No cóż, cholernie się zdziwił.

Causey pchnął go pistoletem.

— A teraz niech pan ruszy tę maszynę i natychmiast przygotuje ją do zabiegu.

W pół godziny później Causey był już w superno! wczesnej sali operacyjnej i obserwował przygotowania Shayaza do dokonania pierwszego nacięcia brzucha Olivii Finch. W sali były także trzy osoby z jego personelu: anestezjolog i dwie pielęgniarki. Cała trójka patrzyła na Causeya ze zdziwieniem i ciekawością. Nie mogli zrozumieć dlaczego Shayaz mu ustępował — Causey ukrył pistolet pod fartuchem szpitalnym. Było oczywiste, że Shayaz nie wytłumaczył im o co chodzi. Ani też najwidoczniej nie wyjaśnił im skąd wzięła się na jego głowie rana, która nadal krwawiła, chociaż przed wejściem na salę operacyjną pospiesznie zakleił ją plastrem. Causey zastanawiał się jak zareagują, kiedy zobaczą, co jest wewnątrz Olivii.

— Cały czas myślę, że to błąd — powiedział Shayaz ze skalpelem w dłoni krążąc nad okropnie wyduętym brzuchem Olivii. — Widzi pan w jakim jest stanie. Za słaba na zabieg.

Causey faktycznie wstrząśnięty był jej widokiem. Z trudnością rozpoznał postać chwiejnym krokiem wychodzącą przez bramę kliniki. Wyglądała jak strach na

wróble. Ale jej nagie ciało przedstawiało jeszcze bardziej upiorny widok: nogi i ręce jak szkielet, a w tułowi widoczna każda kość.

— Niech pan nie narzeka na jej stan — ponuro powiedział Causey. — To pańska wina. Teraz niech pan tylko operuje.

Shayaz zrobił pierwsze nacięcie. Causey chciał odwrócić wzrok, ale zmusił się żeby patrzeć.

Jeszcze gorzej było, kiedy Shayaz wszedł głębiej, rozchylając nacięcie specjalnymi narzędziami. Causey miał nadzieję, że nie zemdleje. Gdyby tak się stało, to Shayaz chwyciłby jego pistolet i dla Ólivii byłby to już koniec. Wmawiał sobie, że nie patrzy na ludzką istotę krojoną przez chirurga, ale po prostu na martwe zwierzę ćwiartowane przez rzeźnika.

A po namyśle stwierdził, że jest to trafne porównanie.

Shayaz wyciągnął organy brzuszne ÓHvii. Causey patrzył z mieszaniną fascynacji i odrazy. Z wyjątkiem błyszczącego odcinka jelita, nie potrafił określić co jest co. Shayaz skinał na jedną z pielęgniarek, aby starła mu z czoła pot. Jego oczy zdradzały lęk.

— Teraz będzie niebezpieczny moment — powiedział.

— Dla Ólivii?

— Dla niej i dla mnie. Pasożyt jest zupełnie dojrzały. Pamięta pan co się stało chirurgowi, który operował siostrę panny Finch.

— Czy narkoza go nie wykończyła?

— Nie. Ilość, jaką pochłonie, nie wpłynie na niego. Żeby go uspić, potrzebna byłaby dawka śmiertelna dla pacjenta. Będę musiał zlokalizować go w jelicie cienkim, ścisnę jelito po obu końcach, a potem usunę cały odcinek.

Zaczął ostrożnie macać w jamie brzusznej.

— Czy to taka sama odmiana robaka jak u Laury?
— spytał Causey.

— Nie. Tamten to był tęgoryjec, a to jest glista dżdżownicowata, ASCARIS. Jeśli można coś o niej powiedzieć, to jest nawet bardziej niebezpieczna. Jej jama gębowa składa się z trzech, mocnych „warg”, którymi przegryza kawałki ścianek jelita. Jedyna nadzieja w tym, że się ją oddzieli zanim zaczniesz sobie wygryzać drogę.

Pielęgniarki wymieniły ostatnie z długiej serii zaintrygowanych spojrzeń. Jedna z nich odezwała się:

— Doktorze, o czym pan...?

— Cisza — warknął. — Żadnych pytań! Proszę robić to, co mówię.

Dalej ostrożnie sondował płataninę jelit OHvii. Mi jały długie chwile, aż nagle jego ciało naprężyło się.

— Ach! — wydał z siebie długie, głębokie westchnienie. — Mam go. Czuję. Teraz bardzo ostrożnie...

Zaczął wyciągać jelito z brzucha OHvii. Nawet niewprawne oko Causeya dostrzegło, że było ono o wiele grubsze i bardziej zaczerwienione niż pozostała część jelita.

A potem ujrzał jak rusza się w dłoniach Shayaza.

11.

Jedna z pielęgniarek nie mogła złapać tchu i zrobiła krok do tyłu.

— Zostań tam, gdzie stoisz! — rozkazał Shayaz, nie spuszczać oka ze skracającej się powoli tej części jelita, którą trzymał. — Przygotuj zacisk. Użyjesz go, kiedy ci powiem. A potem bądź gotowa do założenia szwów kapciuchowych wokół zacisku.

— Tak, panie doktorze — służbiście, ale z drżeniem w głosie powiedziała pielęgniarka.

Shayaz przesuwał prawą ręką wzdłuż całej długości jelita.

— Tak, to jest głowa, o tutaj. Jestem tego pewien

— mruknał. Jelito poruszało się z coraz większymżywieniem.

— Siostró, zacisk. Siedem centymetrów powyżej mojej prawej dłoni. Pospiesz się, dziewczyno!

Po kilku sekundach wahania pielęgniarka przyłożyła zacisk do jelita, a następnie zszyła mocno miejsce po obu stronach zacisku.

— Dobrze — westchnął Shayaz. Prawą rękę trzymając tam gdzie przedtem, lewą przesuwając po kawałku jelita, które wyciągnął z jamy brzusznej.

— Siostró, jeszcze jeden zacisk. O, Boże, to jest dłuższe niż myślałem. Anestezjolog, proszę przygotować największy, jaki się tylko da, zastrzyk propandydu.

— Ale ja nie mogę przerwać kontroli... — anestezjolog zaczął protestować.

Shayaz uciął tę dyskusję.

— Rób, co mówię, do cholery! — krzyknął, cały czas skupiając uwagę na długości jelita, które trzymał.

— No, mam nareszcie. Ogon. Siostró, następny zacisk. Szybko!

Casey oszacował, że pomiędzy jednym zaciskiem a drugim było ponad metr jelita. Czy robak był aż tak wielki? O, Chryste!

Kiedy dookoła drugiego zacisku założono szwy, stwór w jelitach OHvii zaczął widać się gwałtowniej i Shayaz miał wyraźne trudności, żeby go utrzymać.

— Szybciej, człowieku! — krzyknął do anestezjologa, który zbliżał się z ogromną strzykawką. — Wkłuj to w ścianę jelita, tam gdzie moja prawa dłoń. Szybko!

Anestezjolog zawahał się.

— Ale to ją zabije.

— To nie jej masz zrobić zastrzyk, ty idioto. Zrobisz zastrzyk temu co jest w środku... O, nie!

Jelito, które znajdowało się pomiędzy dłońmi

Shayaza a pierwszym zaciskiem, rozwarło się nagle i wyłonił się biały, wyglądający jak głowa olbrzymiego członka, stwór. Obie pielęgniarki wrzasnęły, a anestezjolog zaczął się wycofywać. Oczy miał rozszerzone z przerażenia.

— A co, jeśli...

— Rób zastrzyk! — krzyczał Shayaz. — Zanim si wypłacze.

Causey miał wrażenie, że mężczyzna posuwał się do przodu przerażająco powoli. W końcu jednak wkuł igłę w jelito w okolicach rozwarcia. Kiedy nacisnął tłok strzykawki, pozbawiona oczu głowa robaka pękła na trzy, podobne do zębów części. Przez kilka sekund robak wił się jak oszalały w dłoni Shayaza, a potem zupełnie znieruchomiał.

Shayaz z westchnieniem wypuścił go z rąk.

— A teraz trzeba wyciąć tę część jelita i zaszyja wszystko. Musimy się spieszyć. Co z jej sercem?

Ostatnie pytanie skierowane było do anestezjologa[^] który wciąż stał jak wryty, z oczyma utkwionymi w wystającą głowę robaka.

— No więc? Obudź się, człowieku! — wrzasnął! Shayaz. — Ruszaj się!

Anestezjolog rzucił się do swoich przyrządów, które umieszczone były na stole operacyjnym

— Ee... bicie serca miarowe, ciśnienie krwi normalne.-

— W porządku — powiedział Shayaz. W jego głosie słychać było zdziwienie. — Może faktycznie przeżyje.

Poprosił o skalpel i zaczął przecinać jelito w okolicy zacisku.

— Czy musi pan usunąć całe jelito? — zapyta* Causey. — Nie może pan po prostu wyciągnąć stamtąd robaka?

— Mógłbym, ale jak pan widzi jelito jest już poJ ważnie zainfekowane. Proszę się nie martwić. Z tym, co jej zostanie powinna normalnie funkcjonować. W

organizmie człowieka jest około siedem metrów jelita cienkiego. A teraz, jeśli pan pozwoli mi dokończyć pracę...

Casey obserwował w milczeniu jak Shayaz zręcznie wyciągnął odcinek, zawierający robaka, następnie zszył obydwie końce. Złączył nacięcie i wkrótce już zakładał ostatnie szwy na skórze. Jelito zawierające robaka piętrzyło się ohydnie na metalowej tacy. Patrzył na nie, spodziewając się, że w każdej chwili może wrócić do życia.

— No, to po wszystkim — oznajmił Shayaz. — Zabierzcie ją do sali pooperacyjnej.

To polecenie skierował do pielęgniarek. I dodał:

— Zrobiłem wszystko, co mogłem.

Następnie zwrócił się do Causeya.

— Jeśli zechciałby mi pan towarzyszyć, to moglibyśmy porozmawiać w laboratorium. Myślę, że czeka pan na to z niecierpliwością.

Wziął tacę, na której leżał robak i wyszedł z sali operacyjnej.

Casey podążył za nim do dobrze wyposażonego laboratorium, które znajdowało się w piwnicy. Jak tylko drzwi zamknęły się za nimi, odwaga opuściła Shayaza. Ze sprawnego chirurga, rządzącego na górze swym małym królestwem, stał się pokurczonym, nerwowym, a nawet wyglądającym na przestraszonego, człowiekiem.

— To nie moje dzieło — powiedział, spoglądając na tacę, którą trzymał w ręce.

Casey ściągnął maskę chirurgiczną i fartuch. Potem wyjął z kieszeni pistolet.

— A więc, może opowie mi pan całą historię?

Shayaz skinął głową.

— Oczywiście, że opowiem. Ale proszę mi najpierw pozwolić to wyrzucić.

— Co ma pan zamiar z tym zrobić?

— Włożę do pieca.

Shayaz przeniósł tacę do urządzenia, które wyglądało jak piec kuchenny.

— Niech pan tego nie robi — powiedział Causey

— Będę tego potrzebował jako...

— Dowód? — Shayaz uśmiechnął się blado. — Będzie tyle dowodów, że nie będzie pan wiedzieć, co z nimi robić.

Ale zostawił tacę na piecu.

— Co pan przez to rozumie?

— Wyjaśnię to później.

Shayaz usiadł na krześle i pochylił się, opierając podbródek na dłoniach.

— Powiedziałem już, że wszystko wyjaśnię. Co chciałby pan najpierw usłyszeć? — zapytał.

— To chyba oczywiste? Dlaczego pan to robi? Dlaczego zaraził pan tymi robakami Laurę i OHwię Finch?

— Rashad mnie do tego zmusił.

— Zmusił pana?

— Zna moją prawdziwą tożsamość. Nazywam się Abdul As-Awhan. Nie jestem Egipcjaninem, jestem Libijczykiem. — Zaśmiał się skromnie, a potem powiedział: — W tamtym okresie byłem właściwie jedynym mikrobiologiem w Libii. Przed laty, kiedy Kaddafi doszedł do władzy, wyostałem się z kraju. Niestety, mam tam nadal wielu krewnych. Gdybym nie zgodził się na współpracę z Rashadem, wiem co czekałoby moich bliskich.

Causey zmarszczył brwi.

— Dlaczego Rashad ma w Libii takie wpływy?

— Dojdę do tego. Pozwoli pan, że najpierw opowiem trochę o samym Rashadzie. To nie jest jakiś tam pospolity gangster. To terrorysta i psychopata. Wiem, że to dosyć mętny i mało przydatny termin, więc powiedzmy raczej, że to szalenie. Straszny.

— W porządku, rozumiem — powiedział Causey.
— Niech mi pan powie dlaczego zmusił pana do zarażenia tych kobiet robakami pasożytniczymi? Czy może nie miał żadnego specjalnego powodu.

— W swoim mniemaniu miał. Widzi pan, on ma w sobie obsesyjną nienawiść do białych. Szczególnie do Anglików. Naprawdę nie nazywa się Rashad. Urodził się w Kenii. W latach pięćdziesiątych jego ojciec został stracony przez Anglików, w czasie powstania Mau-Mau. Oskarżono go o przywództwo w powstaniu. Czy był czy nie był na jego czele, to nie ma znaczenia. Ważny jest wpływ, jaki na młodego Rashada wywarła egzekucja. Wyjechał z Kenii jako młody chłopak, przysięgając zemstę na Anglikach. Przez pewien czas mieszkał w Algierii, brał udział w powstaniach przeciwko Francuzom, potem wyjechał do Libii, gdzie następnie przeszkolono go na terrorystę.

— W porządku — powiedział Causey. — To terrorysta wściekły na Anglików. Ale bez sensu jest ta cała sprawa z robakami.

— W jego przeszłości jest jeszcze jeden element, o którym nie wspominałem, a który ma ścisły związek z jego obecnym stanem psychicznym. Kiedy był chłopcem stał się ofiarą zakażenia rzadkim gatunkiem robaka pasożytniczego. Ponieważ dojrzałe robaki są mikroskopijnej wielkości, bardzo trudno postawić diagnozę. No i właśnie w szpitalu, do którego go wysłano, prowadzonym przez Anglików, lekarze postawili błędną diagnozę. Leczyli go steroidami, które tylko pogarszały jego stan, aż w końcu choroba stała się nieuleczalna.

— Czy to znaczy, że on ciągle ma w sobie te robaki? — zapytał Causey.

— Tak. Są w jego skórze, tkankach mięśniowych, płucach i innych organach. Jego dolegliwości uwarunkowane są cyklem życia pasożyta, tak jak w przypadku malarii, z którą ten pasożyt ma wiele cech wspól-

nych. Ale można powiedzieć, że nie ma dnia, aby w jakimś stopniu nie cierpiać.

— Niech pan się nie spodziewa, że mnie to wzruszy.

— Nie twierdzę, że to go jakoś usprawiedliwia. Bóg jeden wie, że nigdy mu nie wybaczę tego, co mi zrobił. Jednak pomaga to trochę zrozumieć, jak pracuje jego umysł. Widzi pan, z jego punktu widzenia to wszystko się łączy. Anglicy byli pasożytami, które wżerały się w jego kraj. Zabili jego ojca. Przyczynili się do tego, że jego własne ciało zarażono pasożytami, od których nigdy się nie uwolni... Zaczyna pan teraz rozumieć?

Causey z powątpiewaniem powiedział:

— Cóż, i tak i nie. Mówi pan, że chciał, aby zarażał pan robakami pasożytniczymi wszystkich ludzi dookoła? Wygląda to na dosyć skomplikowany i mało skuteczny sposób zemsty na całym narodzie.

— Nie zrozumiał pan jeszcze wszystkiego — westchnął Shayaz. — Widzi pan, on mnie zmuszał do stworzenia takiej odmiany robaka pasożytniczego, która pod względem genetycznym spełniałaby wszystkie jego wymagania. Robak ten musiałby szybko rosnąć i to do niezwykłych rozmiarów, dużo łatwiej niż inne gatunki przystosowywać się do środowiska i musiałby być odporny na wszystkie środki używane do zwalczania takich pasożytów. Te dwie kobiety, jak i wiele innych osób, były tylko królikami doświadczalnymi.

Causeya przeszedł zimny dreszcz.

— A kiedy stworzyłby pan już ten doskonały gatunek, to co on zamierzał z nim zrobić?

Shayaz ukrył twarz w dłoniach.

— No więc?

Zduszonym głosem Shayaz powiedział:

— Planował wypuszczenie zapłodnionych jajeczek do wszystkich zbiorników wody w Anglii. Pojedyncza

próbówka może pomieścić miliony jajeczek. Przetrawiłyby one wszystkie procesy oczyszczania wody i znalazłyby się prawie w każdym kranie w Anglii. Większość ludności zostałaby zarażona. Zanim pojawiłyby się pierwsze objawy, byłoby już za późno.

— Chryste!

— Rashad planował to przez wiele lat. Ta obsesja trawiła go. Po kilku próbach przekonał ostatecznie jeszcze jednego szaleńca, aby go poparł i sfinansował to zamierzenie.

— Kadafi?

— Niewyczerpane źródło pieniędzy umożliwiło mu przeprowadzkę do Soho, wykupienie całej konkurencji i założenie własnej siedziby. Pozowanie na gangstera zapewniło mu przykrywkę i pozwoliło także na prowadzenie kampanii przeciwko białym, chociaż trzeba przyznać, że na mniejszą skalę. Podejrzewam jednak, że jego pragnienie poniżenia kobiet wynika z innych niż rasowe przyczyn. Myślę, że jego stan fizyczny unie możliwia mu stosunki seksualne i dlatego...

Causey przerwał mu.

— Nie udało się panu nigdy stworzyć tego specjalnego gatunku?

— Byłem bardzo blisko — spojrział na okaz, leżący na tacy. — Myślę, że to właśnie jest już ostateczna odmiana, ale nie skończyłem jeszcze badań, które by to potwierdziły. Muszę wyhodować jeszcze jednego robaka.

Causey z ulgą powiedział:

— A więc dzięki Bogu Rashad nie dostał nigdy jajeczek, które chciał.

— Nie, ale muszę panu powiedzieć, że...

Causey uniósł dłoń.

— Proszę posłuchać.

Była to syrena policyjna. Zbliżała się. Causey podszedł do drzwi laboratorium i otworzył je.

— Wygląda na to, że wbrew pana zakazom straż-

nik wezwał jednak policję. Albo ktoś inny z personelu.

Dźwięk syreny narastał, a potem nastąpiła cisza. Samochód zatrzymał się przed kliniką.

— Nie mamy wiele czasu. Co jeszcze chciał mi pafl powiedzieć?

Odwrócił się do Shayaza i cofnął się na widok tego, I co zobaczył.

Shayaz podrzynał skalpelem własne gardło.

11.

— Nie! — wrzasnął Causey podbiegając do Shayaza. Ale było już za późno. Mógł jedynie patrzeć bezradnie, jak Shayaz upada na kolana z przerażającym bulgotem. Krew trysnęła na podłogę wyłożoną białymi kafelkami.

Causey zdawał sobie sprawę, że jeśli zostanie w lan boratorium, to prawdopodobnie zostanie oskarżony d kolejne morderstwo. Podbiegł do drzwi, zostawiając za sobą konającego Shayaza.

Kiedy dotarł do garażu, zobaczył, że brama wjazdowa jest teraz zamknięta. Zastanawiał się, co do diabła zrobić, kiedy do garażu wszedł mężczyzna w znajomym niebieskim mundurze.

Nie był to policjant, lecz kierowca karetki, Irland[^]czyk, którego Causey ciągnął kiedyś w barze za język. Kiedy zobaczył Causeya, zatrzymał się i zmarszczył brwi.

— Co pan tu robi? — zapytał.

— Właściwie, to szukam wyjścia. Myślę, że je właśnie znalazłem. Nie miałby pan ochoty podwieźć mnie swoją karetką, co? Cholernie się spieszę.

— Pan chyba sobie żartuje!

Causey wyciągnął pistolet.

— Nie, nie żartuję. Jedźmy już, dobrze?

Kiedy wrócił do klubu, Joyce wyglądała już trochę lepiej. Nie dobrze, ale zdecydowanie lepiej. Gdy wszedł do kuchni miała na sobie jedno z kimon Cathy i piła właśnie zupę. Udało jej się nawet do niego uśmiechnąć.

— Jak poszło? — zapytała.

Usiadł ciężko za stołem naprzeciwko niej i westchnął.

— Daj mi chwilę, żebym mógł najpierw ochłonać, zgoda? Czuję się tak jakbym spędził rok w bębnie wirówki.

Zapalił papierosa i spostrzegł, że drży mu ręka.

— Sam się tym zabijasz — powiedziała.

Wyszczerył do niej zęby w uśmiechu.

— Musisz czuć się lepiej, bo znowu zaczynasz mówić jak lekarz.

Następnie opowiedział jej, co wydarzyło się w klinice.

— Czy Ołwia wyjdzie z tego? — zapytała, kiedy skończył.

— Shayaz uważał, że tak. Do tej pory przypuszczalnie przewieziono ją już do innego szpitala. Żałuję, że nie mogłem kręcić się w pobliżu kliniki, ale nie było możliwości. Gliniarze najpierw by mnie aresztowali, a za tydzień wysłuchaliby, co mam do powiedzenia. Muszę się upewnić, że Rashad zostanie jak najszybciej aresztowany. Ale nie pytaj mnie jak mam zamiar dokonać tego cudu.

— Teraz policja z pewnością ci uwierzy — powiedziała Joyce. — Po tym co wydarzyło się w klinice.

— Co się wydarzyło? Trzy osoby z personelu Shayaza widziały jak wyciągnął z brzucha OHvii ogromnego robaka pasożytniczego, a potem znaleziono Shayaza z poderżniętym gardłem. Jak przy takich zdarzeniach przekonam gliniarzy, żeby aresztowali Rashada? — nerwowo bębnił palcami w stół. — A może warto jeszcze raz spróbować przekonać Baxtera? Nie

wierzę mu, ale przynajmniej nie będę musiał wyjaśniać wszystkiego od samego początku.

Odnalezienie Baxtera przez telefon wymagało sporo wysiłku, a kiedy w końcu był już na linii, wyglądało na to, że jest bardzo pijany.

— Ed, stary chłopie, wspaniale, że dzwonisz. Jak leci?

— Jak leci? — spytał ze zdziwieniem Causey. — Ron, pewnie umknęło ci z pamięci, że zostałem oskarżony o morderstwo. Ty i wszyscy inni gliniarze w Londynie, poszukujecie mnie, a ty mnie pytasz jak leci? O, Jezu!

— A tak... zapomniałem. — Potem czknął.

Causey zastanawiał się, co się z nim do diabła dzieje. Nigdy przedtem nie pił na służbie. No. przynajmniej nie w takich ilościach.

— Ron, chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchał. Połączyłem już wszystkie wątki. Całą tę historię. Mogę wyjaśnić wszystkie związki — Shayaz, Rashad. robaki.

Po drugiej stronie panowała cisza.

— Ron, słuchasz mnie?

Baxter czknął, a potem powiedział:

— Nie opowiadaj mi o robakach.

— Słuchaj Ron. Przysięgam, że to prawda. Musisz mnie wysłuchać...

— Dziś rano widziałem największego na świecie robala. Cholernie był wielki. Nie tylko że go widziałem, ja zastrzeliłem to bydlę...

— Ron, przestań bełkotać i wysłuchaj mnie. To... — urwał, gdyż dotarły do niego słowa Baxtera. — Co zrobisz?

— Zastrzeliłem go. To znaczy ja i jeszcze jeden gość. Ale kupa czasu minęła zanim zdechł. Wił się, skręcał, okropne to było. A wiesz, jaki był długi? Ponad trzysta metrów. Cholera, Ed. to świństwo niemal mnie zeżarło. — Wydał z siebie dźwięk podobny

do łkania, a jednocześnie do chichotu. — Przyrzekam ci, Ed, że jeśli kiedykolwiek zaczniesz jeszcze mówić o robakach — olbrzymach, to cię wysłucham.

— A więc zrób sobie filiżankę kawy, tylko mocnej, i słuchaj teraz, bo mam ci mnóstwo do opowiedzenia.

Piętnaście minut później Causey odłożył słuchawkę i z triumfalnym uśmiechem odwrócił się do Joyce.

— Nareszcie! — zawołał.

Minęły prawie trzy godziny zanim zadzwonił Baxter. Sądząc po głosie, był prawie trzeźwy.

— Chcesz najpierw dobrą czy złą wiadomość?

Causey warknął:

— Chcę po prostu usłyszeć, że aresztowaliście Rashada i że jest w drodze do więzienia w Broadmoor.

— To właśnie ta zła wiadomość. Rashad jest nadal na wolności. Półtorej godziny temu Oddział Specjalny zrobił nalot na jego siedzibę. Złapali kilku ludzi, ale Rashad a wśród nich nie było.

— Psiakrew.

— Nie martw się. Złapiemy go.

— Tak, tak. Na pewno go złapiecie — cierpko powiedział Causey. — Pewnie jest już z powrotem w Libii. No, a jaka jest ta dobra wiadomość? Funt stoi wyżej niż dolar?

— Chłopcy z wydziału medycyny sądowej, którzy byli w klinice Shayaza, potwierdzają twoje zeznania. Jest pewne, że w swoim laboratorium hodował robaki. A jego personel przyznaje, że działo się tam wiele dziwnych rzeczy. Przesłuchiwaliśmy osoby, które brały udział w operacji, o której mi opowiadałeś i potwierdzili twoją wersję.

Causey podniósł oczy do sufitu i oparł się pokusie, żeby powiedzieć coś ironicznego. W zamian za to spytał:

— A jak się czuje Olivia?

— Jest na Oddziale Intensywnej Terapii w Szpitalu Middlesex. Słyszałem, że ma duże szanse żeby z tego wyjść.

— No, to jest coś — odwrócił się do Joyce i uniósł do góry kciuk. — Jeśli już jesteśmy przy Szpitalu Middlesex; czy ciągle jestem ścigany za morderstwo?

— Nie. Jedną z osób, którą aresztowano w klubie Rashada była narkomanka Miranda Oates. Załamała się przy przesłuchaniu. Wyśpiewała wszystko jak przysłowiowy kanarek. Wylała na Rashada tyle brudu, że będziemy potrzebować sporo śmieciarek, żeby to wszystko wywieźć. Nie uwierzyłyś w jakie sprawy zamieszany jest Rashad.

— Nie bój się, uwierzyłbym — zapewnił go Causey. I

— Tak czy owak, ona zupełnie cię oczyściła, Dr] Winters także.

Causey poczuł jak opada z niego niewidzialny ciężar. Poczuł się nagle lżejszy o kilka kilogramów.

— Dzięki Bogu — zakrył dłonią słuchawkę i odwrócił się do Joyce. — Już dłużej nie będziemy się ukrywać przed wymiarem sprawiedliwości.

— Czy doktor Winters jest z tobą — zapytał Baxter. I

— Tak.

— No cóż, będziecie musieli przyjść jak najszybciej i złożyć zeznania. Nie masz nic przeciwko temu, żebym wysłał po was samochód?

— Nie. Myślę, że nie. Jesteśmy u Cathy.

— Wiem. Poznałem po numerze. Cały czas się tam ukrywałeś, prawda?

Causey powiedział:

— Pewnego dnia, będzie z ciebie niezły gliniarz — odłożył słuchawkę.

Uśmiechając się szeroko do Joyce powiedział:

— To aż się prosi o największą w mojej zawodowej karierze pijacką szklankę „szkockiej”.

Właśnie wrócił z baru niosąc kubek pełen whisky, kiedy znowu zadzwonił telefon.

— To pewnie Baxter o czymś zapomniał — podnosząc słuchawkę powiedział do Joyce. Ale to nie był Baxter. To Mickey, jego córka.

— Mickey! — wrzasnął, mile zaskoczony. — Skąd do licha wiedziałaś, że tu jestem?

— Tatus? Oh, tato, szukałam cię, przyszłam do twojego mieszkania. Tak się martwiłam. Mama powiedziała... — głos ugrzązł jej w gardle i nie mogła mówić. Causey poczuł się niedorzecznie wzruszony. Nie mówiła do niego w taki sposób, od czasu kiedy była małą dziewczynką. Jeśli nawet żywiła do niego jakieś uczucie, to od kiedy stała się nastolatką, dobrze to ukrywała.

— Ej, Mickey. Wszystko dobrze — powiedział uspokajająco. — Wszystko jest już w porządku. Policja już mnie nie szuka.

— Tatku — łkała, a potem zaczęła płakać.

— Nie płacz, kochanie. Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze. Skąd dzwonicz?

— Od... od twojej sąsiadki z dołu. Glorii. Powiedziała, że mogę skorzystać... skorzystać z jej telefonu.

— Wracaj do mojego mieszkania. Zaraz tam będę — powiedział. Nie podobało mu się, że jego córka jest w mieszkaniu Glorii.

— Och, tatusiu — powiedziała ze szlochem i odłożyła słuchawkę.

Causey położył słuchawkę i odwrócił się do Joyce.

— Moja córka. Bardzo załamana. Muszę się z nią zobaczyć. Powiedz Baxterowi, że złożę później zeznanie.

— W porządku — powiedziała niepewnie. — Ale znacznie bardziej wolałabym, gdybyś poszedł ze mną.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę.

— Przykro mi, Joyce. Wiem, że przeżywasz ciężkie

chwile, ale muszę pojechać do Mickey. Rozumiesz, prawda?

Westchnęła i skinęła głową.

— Tak. Jedź. Dam sobie radę.

Idąc szybko przez Soho w kierunku Old Compton Street, Causey czuł się całkiem dobrze. Pomyślał, że tak ogólnie wszystko wyszło mu na dobre. Zdołał uratować obydwie kobiety, chociaż nie udało się niestety oszczędzić im strasznych cierpień. Ale przynajmniej przeżyły. Pokrzyżował także szalone plany Rashada. Pomyślał, że jak na starego pijaczka to wcale nieźle. I wyglądało na to, że w ramach premii jego relacje z Mickey zmieniają się na lepsze.

W podskokach wspinał się po schodach zupełnie nie jak człowiek, który miał pęknięty kręgosłup i trzy pęknięte na wpół zagojone żebra.

Nie zatrzymał się przy mieszkaniu Glorii. Ona mogła jeszcze poczekać. Miał jej cholernie dużo do powiedzenia, ale to nie czas na to.

Kiedy dotarł na swoje piętro, zdziwił się widząc, że w końcu założono żarówkę. Najwyraźniej jego upadek wywołał u gospodarza wyrzuty sumienia. Czego to człowiek nie musi wyrabiać, żeby dostać w tym domu nową żarówkę. Zastukał do drzwi.

— Mickey! To ja! Tata!

Właśnie, kiedy miał zamiar wyjąć klucz, drzwi otworzyły się.

Rashad celował w jego twarz pistoletem małego kalibru i powiedział:

— Proszę do środka tatusiu...

|||

Zdrętwiały z przerażenia Causey wszedł do swojego mieszkania. Jednym ruchem oka stwierdził, że pokój jest pusty. Gdzie Mickey?

Rashad zamknął za nim drzwi, następnie delikatnie dotknął karku Causeya lufą małego pistoletu.

— Jestem pewien, że masz przy sobie broń, Ed. Wyjmij ją bardzo powoli i rzuć na podłogę.

Causey wyciągnął z kieszeni 45-kę i rzucił. Usłyszał jak Rashad kopnął ją.

— A teraz siadaj na łóżku, Ed.

— Gdzie moja córka? Co z nią zrobiłeś?

— Spokojnie Ed. Jest na dole u naszej wspólnej przyjaciółki Glorii. No, rób, co mówię.

Causey podszedł do łóżka i usiadł. Dobrze chociaż że Mickey żyje. Jeśli Rashad dałby mu tylko jakąś okazję nawet niewielką, to zaatakuje go nagle i skreśli mu kark.

Z jedyne go krzesła, jakie było w pokoju Rashad rzucił ubrania i usiadł twarzą do Causeya, w ręce trzymając mocno Browninga, kaliber 25. Jedyne jego oczy zdradzały stopień zaniepokojenia.

— Przyszedłem tutaj w nadziei, że spotkam człowieka, który sprawił mi ostatnio tyle kłopotów, a jakim szczęśliwym trafem natknąłem się na jego uroczą córeczkę — Rashad uśmiechnął się tak, że Causey poczuł się jeszcze gorzej. Dlaczego ze sposobu w jaki Mickey mówiła przez telefon, nie wywnioskował, że coś jest nie tak? Przeklinał siebie za taką głupotę. Za bardzo pochłaniała go radość z myśli, że jego córka odkryła w końcu jak wiele znaczy dla niej jej sary.

— Muszę powiedzieć, Ed, że mnie rozczarowałeś — ciągnął dalej Rashad. — Wyglądasz dosyć żałośnie.

— Szkoda, że nie widziałeś mnie za młodych lat.

— Wiesz oczywiście kim jestem?

— Agentem ubezpieczeniowym?

— Bez żartów, proszę.

— Tak, wiem kim jesteś. Jacques Rashad. Zdolny do wszystkiego szajbus. Były alfons. Kat. Terrorysta. I człowiek, który miał szalony plan, by zaatakować

Anglików używając do tego robaków. Nie pominąłem niczego?

W oczach Rashada pojawił się niebezpieczny błysk i Causey natychmiast pożałował swoich bezceremonialnych określeń.

— Myślisz, że wygrałeś, prawda Ed? — miękko powiedział Rashad. — No cóż, nie jest tak. Mój „szalony plan” powiedzie się przynajmniej częściowo.

— Co masz na myśli? — z niepokojem zapytał Causey. — Shayaz mówił mi, że nie ukończył jeszcze swoich badań. Nie wyhodował nigdy ostatecznej odmiany robaka.

— To prawda. Ale kiedy znaleziono w kanale ten olbrzymi okaz, zaniepokoił mnie taki obrót sprawy. Dlatego zabezpieczyłem się i w czasie mojej ostatniej wizyty w klinice wzięłem kilka próbek zawierających jajeczka robaka, wyhodowanego wcześniej. Przyznaję, że to kompromis, ale w tych okolicznościach... — wzruszył ramionami.

Causey przypomniał sobie ostatnie słowa Shayaza — że miał mu coś jeszcze do powiedzenia. To właśnie o to chodziło! Rashad wyniósł jednak jajeczka z kliniki.

— Co zamierzasz z nimi zrobić?

— Już to zrobiłem. Zawartość próbek została dziś wpuszczona do zbiorników wody w Londynie i otaczających go hrabstwach. — Spojrzał na zegarek. — Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, a jestem pewien, że tak, to pół godziny temu zawartość ostatniej próbki została wpuszczona do zbiornika w Ponder's End.

Wyszczyrzył zęby spoglądając na Causeya

— Może szklankę wody?

Causey gapił się na niego.

— Blefujesz — powiedział.

— Dlaczego miałbym się wysilać na blef? — pogardliwie zapytał Rashad.

— Larwy nie przeżyją. Chlor je zabije. To się nie uda, Rashad.

— O, myślę, że się uda, Ed. Być może nie jest to doskonała odmiana, ale wierzę, że wystarczająca ilość jajeczek przetrwa na tyle długo, żeby prawie każdy z mieszkańców Londynu miał co najmniej jedną, zdrową i głodną glistę dżdżownicowatą — zaśmiał się na samą myśl o tym. — W ciągu tygodnia zaczną się tu dziać ciekawe rzeczy. Oczywiście ci pechowcy, którzy zaferują gościńię więcej niż jednemu robakowi, będą już martwi. Nasze badania wykazały, że współzawodnicstwo robaków w pojedynczym systemie trawiennym, wywołuje tragiczne skutki dla żywiciela.

Casey wiedział już, że to prawda. Rashad rzeczywiście to zrobił. Powinien jakoś zawiadomić władze zanim będzie za późno. Tylko jak? Patrzył na lufę małego pistoletu. Nie było sposobu, żeby mógł przemierzyć odległość, dzielącą go od Rashada i żeby nie został w tym czasie zastrzelony. Jeśli on zostanie zabity, to znaczy, że Mickey pozostanie w rękach Rashada. A to było nie do pomyślenia.

Próbując zyskać na czasie, Causey powiedział:

— W Londynie mieszka dużo czarnych. Ich także zabijesz.

Rashad popatrzył spode łba.

— Dobrze im tak. To przede wszystkim za to, upodlili się przyjeżdżając tu.

— Ale wielu z nich urodziło się tutaj. Nie mieli wyboru.

Wzruszył ramionami.

— Nic nie można na to poradzić! — podrapał się po klatce piersiowej. — Ale ich ofiara nie pójdzie na marne. Nie szkoda żadnej ofiary, aby zniszczyć ostatecznie to przekłete centrum imperium zła, które rozprzestrzenia po świecie swoje pasożyty. Pasożyty, które przez ponad sto lat wysysały krew mojego ludu.

Opadły zasłony z jego twarzy, a w jego oczach od-
stąpiło się piekło nienawiści i szaleństwa, które miał w
sobie. Causey naprężył się. Nadszedł czas działania.
Zanim Rashad nie zapanuje nad sobą.

Lecz właśnie wtedy Rashad odzyskał nagle kontro-
lę nad sobą. Uśmiechnął się do Causeya i powiedział:

— Nie próbowałbym tego.

— Próbował? Czego? — niewinnie zapytał Causey.

Rashad spojrzął na zegarek. Potem wskazał na pu-
stą filiżankę, stojącą na szafce.

— Wygląda na to, że chce ci się pić. ǲdź i nalej tu
wody, a potem wypij.

Causey nie poruszył się.

— Spieprzaj.

— Rób co mówię — podniósł broń.

Causey podniósł się powoli. Skoro Rashad chciał,
żeby napił się wody, oznaczało to przynajmniej, że nie
zamierza zabić go od razu. Wziął filiżankę. Pomyślał
też, że istnieje szansa, iż larwy nie dotarły jeszcze do
wodociągów.

Ostrożnie obszedł łóżko i właśnie miał wejść do
kuchni, kiedy Rashad powiedział:

— Nie. Skorzystaj z kranu w łazience.

Causey odwrócił się do niego marszcząc brwi.

— Dlaczego?

— Po prostu zrób co mówię!

Causey popatrzył na drzwi do łazienki. Nagle prze-
szedł go chłód.

— Ruszaj się!

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Był bliski krzy-
ku. Spodziewał się czegoś złego, ale to co zobaczył
przekraczało jego wyobrażenia. Mickey leżała w jego
małej wannie. Rashad troskliwie zostawił jej twarz pra-
wie nie tkniętą, tak żeby Causey mógł ją bez trudu
rozpoznać. Reszta jej ciała była tak straszliwie pokiere-
sowana, że w niektórych miejscach były to dosłownie

strzępy mięsa. Gdyby odkręcił kran, to większa część jej ciała zostałaaby splukana.

— Mickey — jęknął.

Na podłodze leżało jej pokrwawione i podarte ubranie. Rashad musiał użyć maczetę. Była to egzekucja Mau-Mau.

W ostatnich latach zastanawiał się czasami po co nadal żyje. Teraz już wiedział. Był zdziwiony, że nie uświadomił sobie tego wcześniej. To Mickey była powodem. Jedynym.

Odwrócił się.

Rashad strzelił do niego, kiedy wychodził z łazienki. Ale kula, która weszła przez prawy bok pomiędzy dwoma żebrami i utknęła w prawym płucu, nie zwolniła nawet jego ruchów.

Zanim Rashad mógł ponownie strzelić, Causey zdołał go dopaść. Ciężar ciała Causeya powalił Rasha-da na ziemię.

Causey zgarnął z podłogi 45-kę. Wiedział, że jest tam tylko jedna kula. Musi ją dobrze wykorzystać.

Rashad zerwał się na nogi i strzelił. Tym razem trafiła Causeya w szyję. Kula przeszła prosto przez mięsień, tuż obok lewej tętnicy szyjnej.

Causey wystrzelił. Wydawało się, że głowa Rashada rozlatuje się na kawałki. Kula trafiła go w dolną szczękę, rozszarpała ją, potem odbiła się do góry i przez podniebienie wdarła się do mózgu. Wyszła górną częścią czaszki.

Rashad wyrzucił w górę ramiona, jakby chciał wyrazić swoje oburzenie tym, co go spotkało. Potem spadł z trzaskiem obok łóżka.

Causey patrzył na niego przez chwilę, a potem chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. Krew lała się z rany na szyi. Miał trudności z oddychaniem.

Potykając się szedł po schodach i otworzył drzwi do mieszkania Glorii.

— Gloria, pomocy — jęknął. — Zadzwoń...

Ale Gloria leżała na podłodze, z kształtną dziurą w czole. Zobaczył, że telefon został roztrzaskany.

Poszedł z powrotem na półpiętro. Trudno mu było stać prosto. Zakaszłał i z jego ust poleciała jaskrawo-czerwona krew tętnicza.

Przechodząca ulicą kobieta wrzasnęła, ujrawszy słaniającego się na nogach pokrwawionego Causeya. Cofnęła się, gdy przechodził chodnikiem, a potem upadł do rynsztoku.

Młody Murzyn, który stał w sąsiednim wejściu i ścigał klientów do mieszczącego się wewnątrz klubu ze striptizem, znał Causeya z widzenia. Podbiegł do niego.

— Ej, człowieku! — krzyknął przerażony. — Postrzelili cię...

Causey próbował coś powiedzieć. Znowu krew trysnęła mu z ust. Murzyn pochylił się nad nim.

— Co? Co chcesz powiedzieć?

Causey zdołał wyszeptać zaledwie kilka słów, a potem znowu trysnęła krew tętnicza. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz i skonał.

Młody chłopak wstał. Był zaintrygowany. Z klubu wyszła striptizerka.

— Co on powiedział, Leroy? Czy powiedział kto go zastrzelił?

Z zakłopotaniem pokręcił głową.

— Nie uwierzyłabyś. Powiedział tylko „Nie pijcie wody”.

Dziewczyna gapiała się na przesiąknięte krwią ciało Causeya, a potem zaśmiała się nerwowo.

— Cholera. Mam nadzieję, że kiedy będę umierać, to moje ostatnie słowa będą mądrzejsze.

DATE	DESCRIPTION	AMOUNT
1917-01-01	Balance forward	100.00
1917-01-15	Interest on loan	5.00
1917-02-01	Payment received	20.00
1917-02-15	Interest on loan	5.00
1917-03-01	Payment received	20.00
1917-03-15	Interest on loan	5.00
1917-04-01	Payment received	20.00
1917-04-15	Interest on loan	5.00
1917-05-01	Payment received	20.00
1917-05-15	Interest on loan	5.00
1917-06-01	Payment received	20.00
1917-06-15	Interest on loan	5.00
1917-07-01	Payment received	20.00
1917-07-15	Interest on loan	5.00
1917-08-01	Payment received	20.00
1917-08-15	Interest on loan	5.00
1917-09-01	Payment received	20.00
1917-09-15	Interest on loan	5.00
1917-10-01	Payment received	20.00
1917-10-15	Interest on loan	5.00
1917-11-01	Payment received	20.00
1917-11-15	Interest on loan	5.00
1917-12-01	Payment received	20.00
1917-12-15	Interest on loan	5.00
1918-01-01	Balance forward	100.00

KOLPORTAŻ NASZYCH KSIĄŻEK PROWADZA:

„FANTOM PRKKS” s.c.

Gdańsk, ul Łoży 3 tel. 56 74 64

KSIĘGARNIA „SVARO”

Poznań, ul. Łukasiewicza 2 tel. 66 05 50

KONTRAKT - MAX

00-159 Warszawa, ul. Nowotki 31/218 tel. 31 35 44
wgodz. 9.00 - 19.00

KSIĘGARNIA „WSPÓŁCZESNA”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 5 tel. 22 19 52

VIDEO COLOR

Pabianke, ul. Chłodna 4 tel. 15 31 64

KURIER STACH

Kraków, ul. Widok 7 tel. 11 50 35

PRYWATNA SKŁADNICA KSIĘGARSKA „BAJKA”

Wrocław, ul. Kleczkowska 52, Port Miejski

tel. 21 12 23



NASTĘPNY HORROR
WYDAWNICTWA PHANTOM PRESS

GUY N. SMITH
„DZWON ŚMIERCI

„DŹWIĘK TAJEMNICZEGO,
SPROWADZONEGO Z TYBE-
TU DZWONU WYZWAŁA ZŁE
MOCE...

MAŁYM, SENNYM MIASTE-
CZKIEM WSTRZĄSA SERIA
NIESAMOWITYCH WYDA-
RZEŃ."